

N 64.

# KIERMASY NA WARMJI

Napisał

X. W. BARCZEWSKI

---

Wydanie czwarte, znacznie  
rozszerzone



OLSZTYN.

Czeionkami drukarni „Gazety Olsztyńskiej”.

1923.



57953

Przedruk wzbroniony.

K/125/74



## Kilka słów wstępnych.

Podaję mały obrazek z życia i obyczajów ludu warmińskiego, chcąc przez to nasamprzód współziomków moich zachęcić i zagrzać do gorliwego zajęcia się ojczystym językiem, do czytania i pilnego ćwiczenia się w polskiej mowie, bo tylko na podstawie swego własnego języka można się łatwo i skutecznie nauczyć mów obcych — a dalszych czytelników zapoznać poniekąd z bogobojnym i poczciwym ludem warmińskim, z którym zapoznali się w ostatnim czasie częściej i więcej — w Gietrzwałdzie.

Zaiste dziwna to rzecz i zastanowienia godna: gdy niepohamowanym zbiegiem różnych okoliczności zaginęły Łąki pod Lubawą, powstał Gietrzwałd pod Olsztynem, nowa gwiazda pociechy i nadziei na ziemi polskiej. Może bliska już przyszłość wytłumaczy nam to niejasne jeszcze zjawisko, nie wywołane żadną agitacją, żadną narodową ideą, lecz powstałe naraz samo z siebie. Gietrzwałd stał się nagle niepoślednim miejscem pielgrzymek — przyciągającym jak cudowna Częstochowa do Matki miłosierdzia znękaną ludność z całej Polski.

Tam na Warmji znajdziesz niestrudzoną gościnność, o której mowa będzie w „Kiermasach.“

Mały uszczerbek o kiermasach na polskiej Warmji podałem w październiku 1883 w feljetonie „Piel-

grzyma“, nieco więcej r. 1886 i 87 w „Kurjerze Poznańskim“. Już wtenczas próbowałem osobom rozmawiającym się wkładać w usta nasz dżalekt w a r m i j s k i ; i tak w trzecim i obecnie w czwartym wydaniu znajdzie łaskawy czytelnik rzecz dżalektu dalej rozwiniętą i rozróżnienie *a-* i *e-*dżalektu warmijskiego i nieco dżalektu mazurskiego, jak go na pograniczu warmijskiem codziennie słychać.

Dżalekty te są takie stare jak polska mowa i niezbity to dowód, że Warmjacy i Mazurzy należą do jednego wspólnego narodu polskiego.

Niektóre ustępy „Kiermasów“ III. wydania podała „Praca“ w Poznaniu, tak samo „Ermländische Zeitung“ w Bruniewie (Braunsberg, Ostpr.) w tłumaczeniu niemieckiem przez E. B.: pod nagłówkiem: „Eine Kirmes im südlichen Ermland vor fünfzig Jahren“.

B r u n s w a ł d , w listopadzie 1922.

*X. W. Barczewski.*



## I.

### Opis Warmji.

Warmja, najmłodsza córka szlachetnej Macierzy polskiej, usadowiona na żyznej glebie starodawnych Geto — Prusaków, — mieści dwie przeciwne sobie narodowości w szczupłych granicach swoich: polską i niemiecką, z których ostatnia po zwycięstwie albo raczej częściowem wytępieniu pogańskich Prusinów przez hardy Zakon krzyżacki przybyła tudotąd za pośrednictwem warmijskich biskupów, ówczesnych panów kraiku naszego, z całej prawie niemieckiej ojczyzny, szczególnie z Flandryi, Lubeki i Śląska, pierwsza zaś, oprócz tubylczej, z wschodniej i zachodniej Polski, a mianowicie z ziemi chełmińskiej, dalszego Mazowsza i także ze Śląska. Obie te narodowości przedziela naturalna granica — wielki las, ciągnący się nieprzejrzanem prawie pasmem od Świętołipki do Gietrzwałdu, któreto miejscowości, dwanaście mil od siebie odległe, równie słyną z cudów i wspaniałych świątyń, wystawionych na cześć Najświętszej Marji Panny, a stoją jakby silne, niewzruszone posterunki na ostatnich krańcach katolickiej Warmji.

W las — w pojedynczych swych częściach różnie przezwany — był niegdyś ogromny i mieścił w swem dzikim łonie żubry, dziki, niedźwiedzie, wilki, jelenie, oprócz licznych zwyczajnych zwierząt; dzisiaj, znacznie przeredzony i poniszczony, słabe już tylko zdoła wykazać ślady dawnej swej strasznej wielkości. Począwszy od nadleśnictwa Sadłowa, między polskiem miastem Biskupcem a niemieckiem Reszlem, napotykamy po lewej stronie tego lasu czysto polską ludność



w Surmówce, Stańslewie, Bredynku, Stryjewie, po prawej niemiecką w Sapławkach, Kabinach, Kieli (Samlack, Kabinen, Kellen), w środku zaś jak w Otrach, Bocianowie, Bęsi, w kolonji Łabusze, Wólce t. d. mieszaną; lecz z przyczyn łatwych do zrozumienia obecnie przeważnie niemiecką.

Dalej rozłącza las polskie Biesowo i Biesówko od niemieckich Tejstym, Kiekit (Teistimmen i Kiekitten), a leśnictwo Ryczybałdy, Zerbuń i Kierztanowo od Bürgerdorfu i Zyborcka. Następnie dzieli pomniejsze lasy: polskie Lamkowo od niem. Derca, Tęguty od Fleminga (Fleming), Tuławki od Jaśniewa (Eschenau), Spręcowo od Dolnych Kapk (Unterkapkeim), Buchwałd od Rosengartu, Jonkowo od Sztembarka (Steinberg), Bałag od Mieszanych Sióstr (Schau stern) i niem. Kokendorfu w pobliżu rzeki Pajarji.

Naturalna ta granica dzieli Warmję na dwie nierówne części: na większą niemiecką z powiatami brunsberskim, liparskim i reszelskim (nie całym) — i mniejszą polską z powiatem olsztyńskim i jedną trzecią powiatu reszelskiego, otoczoną z dwóch innych stron polską ludnością mazurską. Rzeka Pajarja tworzy w całym niemal swym biegu (od Gryźlin, Gietrzwałdu do Brunsbergi) granicę między ludnością katolicką a protestancką — w górnym biegu mazursko-polską, w średnim i dolnym niemiecką.

Polska Warmja liczy około 90 tysięcy katolickiej ludności, z której przeszło 60 tysięcy polskiej, i obejmuje trzy miasta z okolicami, i to: Olsztyn nad Łyną z starodawnym dobrze zachowanym zamkiem, trzema pięknymi kościołami katolickimi, większą załogą wojskową i centralnym dworcem; od kwietnia roku 1886 wychodzi tu pierwsza gazeta polska („Gazeta Olsztyńska“). Wartenbork z klasztorem pofranciszkańskim i Biskupiec, znany z ożywionych targów jak nie mniej z prawości mieszkańców swoich.

Politycznie należy polska Warmja do Prus Wschodnich, etnograficznie do starodawnej ludności polskiej w trójkącie otoczonej z jednej strony katolikami nie-



mieckimi, z dwóch drugich stron protestancko-polskimi Mazurami.

Ludność ta polsko-warmijska podzielona jest w 4 dekanatach na 27 parafji. Dekanat olsztyński zawiera parafje: dwie olsztyńskie, dywicką, brunswałdzką, gietkowską, jonkowską, kokendorfską, sząbarską, gietrzwałdzką, sząbrucką, bartęzką, gryźlińską, orzechowską, butryńską; dekanat wartemborski obejmuje parafje: wartemborską, starowartemborską klebarską, klewkowską, purdzką, giławską, bartółtowską, ramsowską, lankowską, i sentalską, obecnie do dekanatu gutsztackiego przyłączoną. Do przeważnie niemieckiego dekanatu zyborskiego należą polskie parafje: biesowska, stańslewska i biskupiecka, największa w całej Warmji. W niemieckim już dzisiaj dekanacie reszelskim nie daremnie chyba walczą o byt swój resztki polskiej ludności parafji kielskiej i legińskiej. Liczne poprzekręcane nazwiska przypominają potomstwu ich pamięć. Z legińską parafją graniczy Świętolipka na ziemi mazurskiej, sławna z wielu cudów, znana z licznych pielgrzymek, zwłaszcza z ziem polskich. Obecny klasztor z prześlicznym kościołem zbudowali Jezuita za czasów polskich; święcił go biskup Stanisław Zbąski 15 sierpnia 1693 r.

Lecz przypatrzmy się nieco i ziemi warmijskiej! Dwie rzeki: Pasarya i rybołodna Łania, u nas Łyną zwana, kilka strużek jak: Gilbynek przy Gietrzwałdzie, Wadąg w pobliżu Dywit, Kiermas przy Purdzie i Wartemborku, Dymmer przy Biskupcu, wiele jezior, jak wielki Dadaj i Wulpynk, Košno, Łańsk, Pluszne, Ukiel i Mosąg obdarzają powolnych mieszkańców naszych dobrą wodą i różnorodnemi rybami i rakami. Szkoda tylko, że chciwy Berlin pochłania nam nielitościwie smakowite pletwonogi, a żydzi warszawscy niepomowanym trybem starozakonnego gustu i zwyczaju drogocenne pluskowęsy nasze. Nie darują nawet ani rybom ani rakom! Ale i za to wynagrodził nas miłościwy Stwórca innemi dary...

Częste góry i pagórki należące do uralско-bałtyckiego wzgórze, wspaniałe lasy sadłowskie około Bi-



skupca, Łapka pod Wartemborkiem i ramuckie za Olsztynem, liczne gaje i różne gaiki urozmaicają przyjemnie cichy zakątek nasz, na którym liczne widać sioła i sterczące ku niebu piękne wieże kościelne, a wieś wsi rękę podaje i w łańcuch wielki je wiąże licznymi zabudowaniami gospodarzy i chałupników osiadłych nad jeziorami, bagnami i strużkami.

Szerokie drogi ładnie szczepami obsadzone, domy i ogrody drzewami raźnie zagajone, wskazują na dobrobyt, a przy drogach i domach mnóstwo krzyżów i kaplic niezbite dają świadectwo o głęboko zakorzenionej wierze i miłości do Krzyża na wskroś katolickiej ludności warmijskiej.

Trzy trakty warszawskie przerzynały polską Warmję na wkroś, które do dziś dnia nie wytarły się jeszcze z pamięci ludności tutejszej: pierwszy od Bałd na Przykop, Butryny, Nowawieś, Patryki, Skajboty, Mokiny, Wartembork, Kronowo, Wiercub, Zyborg — drugi od Bałd na Butryny, Zazdrość, Jondorf, Olsztyn, Dywity, Spręcowo, Gutsztat — do Licparka, rezydencji biskupów polskich, którzy tu dotąd, jako do środka djecezji, mieszkanie swe z Fromborka przenieśli. Temi traktami bowiem ciągnęli biskupi po zatwierdzeniu swoim przez króla z licznymi orszakami z Warszawy na swe nowe stanowisko. Wiele tu sobie jeszcze opowiadają o hojności i dobroci tych Panów jako też o wspaniałości i grzeczności ich orszaków. W Bałdach, ostatnim majątku mazurskim, odległym tylko o parę tysięcy kroków od warmijskiej granicy, stawali zwykle biskupi z całym orszakiem, bo tu odbierali pierwszy hołd i pierwsze przywitanie od swych djecezjan. Z przyległych Butryn wyszli im kapłani i lud z chorągwiami, muzyką i śpiewami naprzeciw, witali i wprowadzali do kościoła butryńskiego. Po nabożeństwie udawali się wszyscy na przykopskie pole, gdzie były wystawione wygodne namioty dla uraczenia wysokich i miłych gości. Uroczę to były i niezapomniane chwile dla serc polskich Warmjan. Trzeci trakt pocztowy z Warszawy do Królewca zwany



„polnische Strasse“ na Wielbark, Szczytno, Dźwierzuty, Biskupiec, Biesowo, Lutry, Byszynek, Barsztyn, Iławkę (Pr. Eylau) — do Królewca (Königsberg).

Podobne trakty istnieją od dawna do Świętoliпки, a od r. 1877 otwierają się nowe do Gietrzwałdu, dokąd biegnie oprócz Warmjan pojedynczo i w kompanjach stroškana ludność z Kongresówki i całej Polski. Do Świętoliпки urządzone są i ustalone od dawna pielgrzymki do Najśw. Panny z poszczególnych parafji z kapłanem na czele. Dzieje się to zwykle latową porą około uroczystości Piotra-Pawła i Nawiedzenia Najświętszej Marji Panny. Olsztyńska kompania idzie rocznie traktem przez Nikielkowo, Łęgajny, Wartembork, Ruszajny, Debrąg, Kramarowo, przy Katrejnach i Marcinkowie Nowem przez Rydbach, Biskupiec, przy Węgoju, Stryjewie, Dębowie, przez Beś, Kabiny, Sąplawki, Szowejdy, Robajny do Świętoliпки.

Nowszych traktów, które wprowadzie z innej powstały intencji i w inny zbudowane sposób, liczy mała Warmja aż sześć. Są to koleje żelazne: a) toruńsko-wystrucka, przeryniająca cały kraik nasz wzdłuż ze stacjami: Biesal (Biesellen) na Mazurach, (2 kilometry od granicy warmińskiej, 4 od Gietrzwałdu), Zamajsdorf (Hermsdorf), Olsztyn (Allenstein) Łęgajny, Wartembork, Gipsowo (Wieps), Rotflis przy Biskupcu i Bergental; b) malborsko-olsztyńska ze stacjami warmińskimi: Giemry, Wołowno, Jonkowo, Gietkowo, Olsztyn; — c) królewiecko-olsztyńska ze stacjami: Buchwałd, Gietkowo, Olsztyn; d) olsztyńsko-łecka ze stacjami: Olsztyn, Klewki, Marcinkowo; e) olsztyńskonioborska przez Bartąg, Stawigudę, Gryżliny; f) kolej Cynty — Rudzianne przez Zyborg, Zerbuń (Sauerbaum), Rotflis, Biskupiec, zkad jedna odnoga na Dąbrowkę do Ządzborka, druga na Rudziski, Kobyłty, Dzwierzuty do Szczytna (Ortelsburg).

W skład zaś djecezji warmińskiej (Bistum Erm-land) wchodzą oprócz: a) polskiej Warmji, b) niemiecka Warmja z 6 dekanatami, 3 powiatami, reszelskim (oprócz Biskupca), licarskim (Heilsberg [Licbarg, Licperk] nad Łyną, z dużym a pięknym zam-



kiem, dawną rezydencją Biskupów polskich) i brunberskim, w którym Brunsberk (Bruniewo po niem. Braunsberg) z królewską akademią dawniej liceum, założone przez Hozjusza, seminarjum duchownem, na Warmji „kamiennym domem“ zwane, gimnazjum, seminarjum dla nauczycieli i innemi zakładami. Do tego powiatu należą Frauenburg (Frombork), małe miasteczko nad Hafą z wspaniałym tumem gotyckim, starą wieżą Kopernika, z nowym pałacem biskupim i 10 kurjami kanoników warmijskich; dalej Melzak nad piękną doliną Walsz i Ornetą (Wormditt) niegdyś głośna z tabaki orneckiej; c) tak zwany Palatynat nad Wisłą z pięcioma dekanatami, sztumskim z polską, kiszporskim, nytyskim i malborskim z mieszana i elblązkim z niemiecką ludnością; d) sambijsko-litewski dekanat, obejmujący główną część dawniejszej djecezji sambijskiej, w którym Królewiec liczy na 12000 niemieckich i polskich, a Tylża 3000 i Kłajpeda 1500 niemieckich i litewskich katolików; nareszie; e i f) 2 mazurskie dekanaty w protestanckich Mazurach z szesnastu stacjami misyjnymi, przeważnie polskimi, Opaleniec, Wielbark (Żelbark), Lesiny z Lipówcem, Klön, Szczytno (Scytno), Jańsbork z Orzeszem, Łek (Ełk), Margrabowa (Olecko), Dźwierzuty (Mensguth), Ządzbork (Sensburg), Pasym, Prawdziski, Gołdap, Węgobork (Angerburg), Lec z Rynem i Rastembork, w których przeszło 10000 katolików. Świętolipska parafja, leżąca także w polskich Mazurach, należy do dekanatu reszelskiego i liczy na 1500 katolików mieszanej, t. j. niemieckiej i polskiej ludności.

W całej djecezji warmijskiej jest katolickiej ludności polskiej na 100.000, niemieckiej na 230.000, protestanckiej dwa miliony.

## II.

### Historja Warmji.

Jak daleko pamięcią sięgnąć można, mieszkań według wiarogodnych źródeł historycznych w przeważnie większej części dzisiejszej prowincji wscho-



dnio-pruskiej przed nadejściem niemieckich Krzyżaków ród Geto Prusaków czyli Prusinów (Pruteni, mądry) podzielony na różne mniejsze plemiona, o czem świadczą imiona: Warmja, Sambja, Galindja, Natangja, Bertungi (dzisiaj Bartąg), Sudowja, Nadrowja, Szalowja itd. Kiedy ci Prusini do naszych stron przybyli, nikt dokładnie nie dociecze, bo sami o sobie nic nie napisali, kiedy się tu już dawno usadowili. Prawdopodobnie sprowadzili się tu dotąd krótko po wielkim pochodzie ludów (375 po Chrystusie), kiedy się ztąd Goci, do pięknej Francji, cudownych Włoch, ognistej Hiszpanji i gdzieś tam dalej jeszcze na południe aż do skwarnej Afryki wynieśli. Lecz z czasem zmienił się ten pochod ku południowi w parcie na wschód i pozostał do dni naszych. Już Karól Wielki (748—814), Otton I (936—993) i jego następcy podbijali ogniem i mieczem spokojne szczepy słowiańskie pracujące w ziemi swojej na dalekim Wschodzie, i tępił ich mienie. Pozostali wprowadzie z onego potopu Serbowie Łużycy i Weneci nad Szprewą lecz już w tak szczupłej liczbie, że chyba na świadectwo niczem nie uniewinonego, nielitościwego postępowania hardych sąsiadów swoich z Zachodu. Nie lepiej postąpili zakonni Krzyżacy z Prusinami, po których, oprócz kilku nazwisk, ani śladu nawet nie pozostało. Pięćdziesiąt siedem lat (1226—1283) trwała ta krwawa walka, w której po wyniszczeniu pojedynczych szczepów prusińskich podbili spustoszony ich kraj.

Pierwszym niemieckim Biskupem podbitej Prutenji był Chrystyn 1215 do 1245. Roku 1243 podzielono Prutenję odtąd Prusami (Borussia, Prussia) zwaną a nowych jej mieszkańców Prusakami, która to nazwa na całe późniejsze przeszła królestwo pruskie, — na cztery biskupstwa: a) warmijskie z rezydencją Biskupów w Brunsbergu, później we Fromborku, Licparku i znowu Fromborku, b) sambijskie z Królewcem, c) pomezzańskie z rezydencją w Kwidzynie, d) chełmińskie z Chełmnem, Chełmżą, a od r. 1824 z Pelplinem. Dwa z nich zaginęły w reformacji pod wpływem margrabiego Albrechta r. 1525. Sambijski



biskup Georg von Polenz i pomezkański Eberhard von Queiss przyjęli nową naukę Marcina Lutra. Tylko starodawne tury w Królewcu i Kwidzynie i dużo starych kościołów po wsiach i miastach świadczą jeszcze o katolickim swym pochodzeniu. Główną przyczyną upadku była tu zawistość Biskupów od zawodu krzyżackiego.

Przeczuwał to pierwszy Biskup warmijski Anzelm (1250—1378), dla tego też, chociaż sam pochodził z zakonu krzyżackiego, wszelkimi starał się siłami emancypować się z pod jego protekcji i odradzał wybierać Biskupów dla Warmji z tegoż zakonu. Tak to z czasem Biskupi warmijscy zostali własnymi panami kraju swego i przyjęli tytuł książęcy, który im został aż do pierwszego rozbioru Polski 1772 do wcielenia księstwa warmijskiego do państwa pruskiego. Główną troską pierwszych Biskupów warmijskich było zaludnienie spustoszonego przez Krzyżaków kraju. Następca Anzelma, Henryk z Lubeki, sprowadzał z ojczystrych stron swoich kolonistów Niemców i zaludnił północną część Warmji, zwaną Kezławską czyli Koślińską. Biskup Eberhard zaś z Nisy (1301—1326) średnią część (wrocławską) obsadził niemieckimi Ślązakami. Obie te części różnią się po dziś dzień wielce odrębnymi dialektami.

Razem z tymi kolonistami napływała zwolna do południowej części biskupstwa warmijskiego z pogranicznej Polski i z Górnego Śląska polska ludność, zajmując opróżnione po wytopionych Prusinach sioła.

Ta polska kolonizacja południowej Warmji aż do owej naturalnej granicy leśnej, o której na początku była mowa wtenczas nabrała dopiero większych rozmiarów, kiedy biskupi warmijscy od Henryka IV (1401 do 1415) sprzykrzywszy sobie brutalne napady i nieznośne udęczenia przebiegłych Krzyżaków, oddali się dobrowolnie pod pobłażliwe rządy króla polskiego. Atoli obecny stan rzeczy na polskiej Warmji zaprowadzili dopiero Biskupi polskiej narodowości, począwszy od uczonego Dantyszka (1537—48) i wielkiego Hożjusza (1551—1579) i Kromera, którym głównie



zawdzięcza cała djeceja nieskazitelne zachowanie i ustalenie wiary katolickiej.

Od wspomnianego Kardynała Hozjusza 17 polskich Biskupów z kolei rządziło księstwem warmijskiem. Byli nimi Kromer, Andrzej Batory, Tylicki, Rudnicki, Kardynał Albert z królewskiej rodziny Wazów, syn Zygmunta III (1583—1632), Szyszkowski, Konopacki, Leszczyński, Wydźga, Kardynał Radziejowski, Zbąski, Załuski, Potocki, czynny na synodach Szembek, dowcipny Grabowski i znakomity mówca i poeta Ignacy Krasicki. Wspaniałomyślność i mądrość rządów ich przypominają niedwuznacznie oprócz powyższej kolonizacji różne instytucje dobroczynne, jak nowy kościół i klasztor w Świętolipecz z czasów Biskupa Zbąskiego, zakład Potockiego dla ubogich konwertytów w Bruniewie, nowy klasztor w Krosach ukończony także pod Potockim roku 1715; dalej fundusze Biskupa Szembeka i innych we Fromborku, fundacje po różnych kościołach i parafjach, nareszcie dobrobyt ludności i cudowne prawie zachowanie i wzmocnienie wiary w djecezji, otoczonej ze wszech stron innowiercami. Wszystkie te pamiątki po naszych Biskupach polskich wryły się niezatartemi zgłoskami w pamięci wdzięcznego ludu warmijskiego.

Ze zaś ci książęta kościoła nie ściągali sąsiedniej ludności mazurskiej do kraju swego, w tem przyczyna, iż polskich Mazurów, należących politycznie do luterskiego księstwa pruskiego, wcielono już wtenczas mimo ich woli i wiedzy do kościoła protestanckiego.

Pozostała tedy najbliższa z kolei ziemia katolicka chełmińska i Mazowsze, z których głównie, a szczególnie z pogranicznych miast i wsi jak z Janowa, Borowego, Bukowca, Bogdan, Woli, Nowejwsi, Chorzela, Myszyńca, Dąbrowy, Rudy, Kolna, Grabowa, Wąsosza, Szczuczyna, Lipnik, Grajewa, Rajgrodu aż do Augustowa przybyła polska ludność do południowej Warmji. Miejsca te są 5—15 mil odległe od granicy warmijskiej. Główne dowody, na których opieram powyższe twierdzenie, są: a) wspólny, albo przynajmniej bardzo podobny dialekt, o czem niżej wię-



cej; b) dziwna łączność wzajemna tamtejszej ludności z naszą, uwydatniająca się rok rocznie na pielgrzymkach do miejsc św. Z wspomnianych miejscowości dąży ludność co rok na św. Piotra i Pawła i Nawiedzenie Najśw. Panny do Świętolipki, z niektórych, jak z Myszyńca, Chorzew stałych kompanjach, i to już od lat niepamiętnych. To samo dzieje się w najnowszym czasie z Gietrzwałdem, z nierównie tylko większym udziałem tej samej ludności. Bawiąc u nas, zachowują się ci pielgrzymi tak otwarcie, naiwnie i pewno, jak w domu, jakby przeczuwali, że my razem z nimi od tych samych pochodzimy przodków. Warmjacy zaś, jakby na odwet, zawsze chętnie uczęszczali do Żaromina, do Łąk, Warszawy i Częstochowy. Warszawa nie dawno jeszcze więcej wabiła polskiego Warmjaka, niż Berlin, mimo trudności przechodu przez granicę. Obecnie tam jeszcze znajduje się cała warmijska kolonja robotników. Nie tak dawno ciągnęli Warmjacy gromadnie na robotę do Warszawy, a gospodarze jeździli zimową porą za granicę z rybami dla żydów. Przy wszystkich takich spotykaniach tamtejszej ludności z naszą nie spostrzeżono niedowierzania i złości, ale wszędzie widziano bratnią spojność i miłość; nawet krewność. Jeszcze słyhać tu i owdzie, że niektóre rodziny na Warmji wspominają o krewnych swoich w Polsce kongresowej. Ostatnie wydania i w tej rzeczy dały niektóre wyjaśnienia. Te same nazwy Zawadzkich, Pieków, Szczygłów, Jabłonków, Graboszków, Lubomirskich, Wiśniewskich, Borowskich, Zakrzewskich itd., te same nazwy miejscowości jak Wola, Wólka, Bukowa, Bogdany, Nowe wsi itd. na Warmji i w Królestwie, ta sama nareszcie mowa — bez mazurzenia dają silny dowód pochodzenia części naszej ludności z wspomnianych okolic.

Atoli i kolonizacja południowej części niemieckiej Warmji w 14. stuleciu przez śląskich biskupów nie pozostała bez wpływu dla polskiej Warmji. Wyraz: falarz (Erzpriester) farasz i jedrny „a“ djalekt zachodzą także i na Górnym Śląsku. Lecz i ztąd Warmjacy nie mazurzą — bo nie „scypią“ nie „sycą“, jak w niektórych powiatach na Śląsku.



III.

Dialekt warmijski.

Dialekt warmijski różni się od innych polskich dialektów niezwykłą miękkością. Warmjak miękczy o stopień dalej, niż gramatyka podaje, lecz o tem przy innej okazji. Niech tu wystarczy podanie głównych właściwości dialektu naszego:

a) Miękkie *i* — *ji* brzmi u nas jak *zi* po spółgłoskach *b*, *w*, przyczem *w* wypada, n. p. bzić — bić, bziuł — bił, bzierze — bierze, bzieda, bziodra; zino — wino, ziosna — wiosna, ziory — wiory, zietr — wiatr, panozie (pany) — panowie; po *f*, *p* jak *si*, przy czem *f* wypada, n. p. siga — figa, sigielek — figielek, silut — filut, osiera (łosiera) — ofiara, siuleczka — chwileczka (bo tu *w* brzmi jak *f*), ale fygura, Fynka (Józefinka) u cudzośćów; psies — pies, psiwo, psióro, psiuł — pił; rozlać — rozlać; kolnierz — kołnierz.

b) Zachowano tu także jeszcze stare formy konjugacji i deklinacji, jak końcówki *wa*, zamiast *my*. *ta* zamiast *cie*, mawa, mata, będziewa, będzietą, w terażniejszości; w przeszłości: *u* zamiast *i*, bziułem, (biłem), bzilim, bzilišta, bzili; w deklinacji w trzecim przypadku często *u* zamiast *owi*, człozieku — człowiekowi, panu — panowi, w liczbie mnogiej: pany — rzadko panozie, panowie doktory w drugim przypadku rodzaju żeńskiego końcówkę „ów:“ żonów, córków, grów (z gier) przymiotniki mają w 2 i 3 przypadku rodzaju żeńskiego w liczbie pojedynczej *y* zamiast *ej*, n. p. swoi dobry córki, i swoi dobry córce.

c) Przed *o* na początku stawia się zwykle jeszcze *ł*, i tak mówi się łorać — orać, łutarcz — ołtarcz, łosiera — ofiara.

d) Zamiast *ż* mówią nieraz *ź*, jak: zielazo — żelazo; zamiast *cz* nieraz *ć*: cias — czas.

e) Używa się często mętnego *σ*: pán niemal jak pon) mąwa, ławka (tak zw. spiritus asper).

f) Częste germanizmy i niemieckie wyobrażenia — szpecą także naszą polską mowę.



To są główne właściwości dżalektu warmijskiego. Z szczególnych wspomnę, że w miastach Wartemborku i Olsztynie nie mięczą *m* i *n* i mówią *kamnene* = kamienie; próbują to i w Biskupcu i niektórych wioskach, lecz nie z takim powodzeniem; w paru wsiach zamiast miękkiego *m* używają, *ń*, *panieć*, *mani* — mami, do niasta (w Bredynku).

Przytem po wsiach, gdzie germanizm jeszcze nie tak dotarł, wiele lepiej mówią po polsku, jak w miastach, gdzie kształconym w niemieckim tylko języku nie starczy polskich wyrazów dla niemieckich wyobrażeń.

Jak w ogóle w każdym kraju i każdym języku niemal każda wieś ma swoje narzecze lub przynajmniej swoją właściwość w wymowie, tak i u nas, dokąd ludność z różnych przybyła okolic, w których także różnemi mówią narzeczami.

Atoli dwa główne prądy wymowy łatwo rozróżnisz na polskiej Warmji; nazwiemy je „*a*” dżalektem i „*e*” dżalektem.

W pierwszym obraca się ludność wiejska koło Olsztyna i mówi: *sia* = się, *bańdziewa*, *gasi* (= gęsi) *pamiańc*, *śwanta* (= święta), — w drugim ludność miejska i po wsiach, koło Biskupca i Wartemborka mówi: *się*, *będziewa*, *gęsi*, *pamięc* (w Wartemborku i Olsztynie nawet *bendziewa*, *gensi*, *pammenc*, *byndzie*).

Dziwnie ta różnica uwydatnia się w nazwach pojedynczych miejscowości. „*A*” dżalektem mówią n. p. w Gietrzwałdzie, Rantynach, Sząbargu, Szwałstrach, Wangajtach (Węgajty), Sząbruku, tak samo mówi Kafilis, Buchwałd, Brunswałd, Bartąg, Rybaki (Łańsk), Ząbie, Kaletka, Zazdrość, Linowo, Szwałd, Track, Klebark, Skajwoty, Patryky, Wyrandy, Marcinkowo, Pajtuny, Wały, Gróśk i Purda, „*e*” dżalektem mówi Stańslewo, Bredynek, Stryjowo, Dębowo, Bęś, Biskupiec, Zabrodzie, Biesowo, Biesówko, Zerbuń, Wartembork, Debrąg, Jecpark, Nerwiki, Leśno; mieszano mówią w środku polskiej Warmji w Lemkowie (Lamkowie), Lamkówku (Muchorowie), Otendorfie, Dąbrówce, Spręcowie, Szynowie, Szyprach, Lęgajnach,



Kaplitynach, Bogdanach, Mokinach, Podlzie, Kluczniku i Giławach.

Obydwoch tych dialektów używać będziemy w następujących „Kiermasach“.

Jakkolwiekbyż różnią się wspomniane dialekty od poprawnej mowy polskiej, jednak wyszły z niej, należą do niej i nie stoją nawet odosobnione. Całe pogranicze Kongresówki, graniczące z pruskiemi Mazurami, Powiśle i Śląsk, mowi podobnie. Od ludu z Myszyńca i całej zielonej puszczy słyhać wyrazy: *sia* (— *się*), *panozie*, *psiwo*, *śwanta* (jak u nas — *święta*), tak samo w okolicy Rajgrodu i Augustowa \*). Tam jednak zachodzi ta różnica, że mowa Mazowska pogranicznego w Kongresówce, mając mistrzów kształciła się dalej i postępowała z czasem, — warmijska zaś pozostała na tym samym stopniu, który zajmowała przed 350 latami; albo raczej nie mając mistrzów języka, oprócz Niemców, spadła niżej, nasiakając coraz bardziej szpecącemi ją germanizmami i niemieckimi wyobrażeniami.

Wypada mi tu jeszcze wspomnieć kilku słowy o sąsiednim nam dialeckcie mazurskim. Odrębność jego głównie na tem polega, że jest wiele twardszy od naszego. Zamiast *ż* Mazur zawsze mówi *z*, zamiast *sz* zawsze *s* i zamiast *cz* zawsze *c*, np. *zyto*, *Boze*, *zobaczyć się*, *sabla*, *capka*, *scygieł*. Warmjacy odznaczają to jednym wyrazem, mówiąc: „Mazur *scypsie*“. Wspólnie z nami mają Mazurzy miękczenia *zi* i *si* zamiast *i*, *mawa*, *bedzieta* itd., od germanizmów czystszy język mazurski od naszego, chociaż niestety też nie wolny. W kościelnych zaś wyrazach wiele jest niemieckich (z wiary protestanckiej) pojęć i słów.

#### IV.

#### Ludność warmijska.

Ludność warmijska jest głęboko religijna, pracowita, spokojna i nadzwyczaj konserwatywna. Temu

\*) Corocznie można się przysłuchać tej mowie pielgrzymów, zwiedzających z tamtych okolic Świętolipkę i Gietrzwałd. Nadto zwiedziłem na kilku miejscach pogranicza Kongresówki, Powiśle i Śląsk.





konserwatyzmowi mają niemieccy współobywatele nasi do zawdzięczenia przewagę we wszystkich zawodach; lecz temu samemu konserwatyzmowi zawdzięczamy, że lud pozostał polskim, że się oparł wszystkim germanizatorskim zapędom i że na długo jeszcze takim pozostanie.

Prawy Warmjak nie wstydzi się swego dżalektu, lecz jędrnie i żwawo nim się wyraża. Ale gdy usłyszy poprawnie mówiącego Polaka współziomka, mniej mówi; — woli się przysłuchiwać dźwiękom poprawnej mowy, przyczem widać po nim nieklamana radość i ukontentowanie. Zachęcony lepszą wymową, próbuje często „z wysoka“ mówić, co mu się przecież nie bardzo udaje, bo wtenczas więcej jeszcze błędów robi i swą naturalność traci, z którą mu tak bardzo do twarzy. I tak mówi: obrawił, wimno (zimno).

Książki lub czasopisma lud warmijski chętnie czyta, ale najczęściej tylko żywoty świętych, legendy itp. treści religijnej. Żywoty Świętych, Piotra Skargi, wielu posiada na własność gospodarzy i „ogrodników“; czytają je dla siebie i w rodzinie, w żywym różańcu i przy innych zgromadzeniach. Tak samo wiele tu znają pieśni nabożnych, które śpiewają w domu i na polu, w kościele i kompanjach, idąc „z ofiarą“ (z łosierą) do swych kościołów i krzyżów lub pielgrzymując do miejsc cudownych. Przy takich śpiewach jeden „przepowiada“ (przepozieduje), a wszyscy za nim wtórują. Niejednych pieśni w żadnej, jak mówią, nie ma drukowanej książce, dla tego przepowiadacze (promotorzy) mają swoje pięknie i wyraźnie pisane kantyczki, z których w danym razie z właściwą sobie powagą „przepoziedują“. Honorowy urząd ten często zostaje w rodzinie i przechodzi z ojca na syna i wnuka.

Piękną książkę do nabożeństwa każdy musi mieć w kościele, bo „bez książki nie mógłby się umodlić“. Kto się w szkole nie wyuczy po polsku czytać, to później widząc do tego potrzebę, nauczy się „na książce do nabożeństwa“ w domu.

Do śpiewu używają kantyczek i zbiorów starych i nowych, drukowanych i pisanych.



Z kalendarzy największym się dawniej cieszył popytem dowcipny: „Sierp Polaczka“ obecnie w większej są cenie kalendarz Maryański, kalendarz „Pielgrzyma“, „Skarb“ itp. W ogóle nie równie więcej rozchodziłoby się u nas książek, gdyby miasta nasze miały polskie, albo przynajmniej życzliwsze nam księgarnie.

Z gazet coraz więcej zapisują sobie Warmjacy na pocztach i wprost w redakcji. Najpoczytniejsze z nich są: „Gazeta Olsztyńska“, „Pielgrzym z Krzyżem“, „Przyjaciel Ludu“, „Przyjaciel“ i „Katolik“; mniej czytane: „Orędownik“, „Wielkopolanin“, „Warta“, „Gwiazda“, „Monika“, „Gazeta Świąteczna“, „Kurjer Poznański“, „Goniec Wielkopolski“, „Gazeta Grudziądzka“, „Gazeta Toruńska“ i inne.

Od kilkunastu już lat było szczerem życzeniem wielu polskich Warmjaków, mieć swoją gazetę polską. Lecz różne trudności, przedewszystkiem brak odpowiedniego redaktora Warmjaka, znającego stosunki miejscowe, niepojęta niechęć niemieckich współobywateli naszych przeciwko wszystkiemu co polskie, obawa nareszcie przed zamałą liczbą czytelników, odwlekały wypełnienie życzeń naszych aż do kwietnia roku 1886, odkąd wychodzi w Olsztynie, najgłówniejszym mieści na Warmji, tak wielce atakowane piśmiśko, 3 razy na tydzień, obecnie co dzień wychodzące, pod nazwą „Gazeta Olsztyńska“. — Przez krótki czas istniały też „Nowiny Warmińskie“ i „Warmiak“ ale z braku abonentów upadły.

Dziwną to jest rzeczą, że gdy nauczyciele i urzędnicy wszelkimi możebnymi i niemożebnymi sposobami lud polski germanizują, bo ich do tego mimowoli wtrąca strach wielkooki — wszyscy jakby na rozkaz wołają, że tu polonizują, — jak gdyby lud polski można polonizować, — a przecież na polskiej Warmji lud nigdy nie był niemieckim. Jest to choroba czasu, która, jak wszystko niezdrawe, długo utrzymać się nie może, a lud warmiński przy swej konserwatywności z pewnością nie zarazi się tą śmiertelną chorobą i przetrwa tę próbę. Lecz, że takiemu



postępowaniu nie może sprzyjać Opatrzność, i że karać będzie swego czasu winowajców, o tem tu nie wątpią ludzie starej daty.

Ludzi starszych wiekiem, poważnych obyczajów, mamy na Warmji jeszcze dużo. Zachowało się tu również wiele jeszcze starych zwyczajów i wyrażeń. Lud, nie dowierzając nowym wynalazkom, wyyskającym go często, a podawanym mu w niezrozumiałym języku pozostał długo przy starej bronie, sosze i cepach i tylko zwolna w ostatnim czasie przyzwyczał się do maszyn i różnych nowszych żelaznych narzędzi. Stare wyrazy, jak zawdy, mawa, będzieta, kiele (— koło, przy) łośńskiego roku, nie ma mieru i t. d., nie zatarły się jeszcze; na zaręczyny mówimy tu: głądy, na ślub: łoddaw, na chrzciny: bankiet.

Chłopi na wsi nie dawno jeszcze nosili długie, modre, fałdziste suknie, lub krótkie, modre waniki ze stanikami, niewiasty twarde czepki (mycki) z bogato poślaczanemi dnami i szerokimi jedwabnemi wstęgami (snurkami) lub miękkie, małe czepki, obwinięte jedwabnemi kitajkami różnego koloru; młodsza generacja ubiera się w białe chustki, lub różnorodne kapelusze; w sukniach lubią przeważnie kolor czerwony lub niebieski. — Dobrym znakiem religijnego stanu rzeczy na Warmji jest pomiędzy innemi i to, że wiele panien i chłopców, czując powołanie do życia duchownego, wstępuje do klasztoru.

Nareszcie wypada nam wspomnieć o jednej jeszcze właściwości ludu naszego, wspólnej z całą zapewne Polską. Lud warmijski sprzyja żydom. Woli od żyda kupować, niż od chrześcianina. Z żydem targuje się do zaciętości i musi znacznie taniej dostać, niż zażądano. Po długiem targowaniu kupuje nareszcie, zadowolony, że żyda oszukał, a żyd zaś kontent, że dobrze zarobił, zaprasza więc z właściwą sobie uprzejmością na inny raz. Na 60 tysięcy ludności naszej ledwie przypada 600 żydów, którzy jednak mają główny handel i kapitały w ręku.

Po tych kilku słowach wstępnych, podaję uszczerbek z życia i obyczajów ludu warmijskiego, chcąc



przez to nasamprzód zachęcić współziomków moich do gorliwego zajęcia się mową ojczyzną bo tylko na podstawie swego ojczyznojęzyka można się skutecznie i łatwo nauczyć innych języków — a dalszych czytelników zapoznać poniekąd z tutejszym bogobojnym i poczciwym ludem, z którym się w ostatnim czasie spotykali częściej — w Gietrzwałdzie. Niezwykła to zaiste i zastanowienia godna rzecz: gdy niepohamowanym zbiegiem różnych okoliczności zagięły Łąki, powstał Gietrzwałd, nowa perła ziemi polskiej, przyciągająca jak cudowna Częstochowa stroskany lud do siebie. Może bliska już przyszłość wytłómaczy nam to niejasne jeszcze zjawisko, nie wywołane żadną agitacją, żadną ideą narodową, lecz powstające naraz samo z siebie; — niepojęte w rzeczy samej, dobre i błogie w skutkach swoich na wierny lud, skupiający się tu z różnych stron świata, szczególnie zaś z wszystkich części Polski.

## V.

### **Kiermas warmijski, to zabytek dawniejszej patryarchalnej gościnności.**

Braterski współudział pomiędzy ludnością warmijską i gościnność staropolska, uwydatniająca się głównie przy odwiedzinach przyjaciół i krewnych w większe święta i na uroczystościach domowych: „bankiecie“, weselu i pogrzebie, a najwięcej może na odpustach zwykle w letniej porze, do których zawsze suta, a niekiedy i wspaniała przyłącza się uczta, dały mi powód do szczegółowego opisanie „kiermasu“ warmijskiego.

U nas każdy cieszy się na kiermas. Tam się zobaczy z całą rodziną swoją — tam się wspólnie nagadają, tam się sobie „naradują“ — tam się sobie poskarżą, — tam jeden drugiego pożałuje — jeden drugiemu doradzi; — tam się dobrze najedzą i napiją — tam się doskonale naśmiją i wybornie zabawią. Ale może niejeden nie wie, co tu nazywamy „kiermasem“.



Wyraz ten wprawdzie pochodzi z niemieckiego „Kirmess-Kirchmess“ (odpuść poświęcenia kościoła lub patrona), lecz rzecz sama jest wiele starszą. Bo gdyśmy jeszcze nie mieli tej przyjemności, zapoznać się bliżej z naszymi zachodnimi sąsiadami, mieliśmy już nasze „kiermasy“, lecz pod inną nazwą.

Zjeżdżają się bowiem i chodzą i u nas przy pewnych okazjach krewni i przyjaciele do jednego, który się dobrze na to przygotował i gości swych przyjął serdecznie, po bratersku — nie tak, jak pewni ludzie, którzy nawet fajeczki z ust nie wyjmą, ani nie wstaną od dzbana z piwkiem, jeżeli „niezameldowany gość się do nich trafi“ — słowem na „kiermasach“ warmijskich uwydatnia się ta sama gościnność polska, z której od niepamiętnych czasów nasi przodkowie słynęli. Jest to niezbity dowód, że nasza Warmja była i jest polską, bo zachowała mimo wiekowego nacisku, starożytne obyczaje i narzecza polskie.

W dziejach ojczystych czytamy, że przeszło tysiąc lat temu żył w Kruświcy nad jeziorem Gopłem kmieć, to jest gospodarz, nazwiskiem Piast z pocziwą żoną, a dobrą gospodynią Rzepichą. Oprócz gospodarstwa, które bardzo dobrze prowadził, robił jeszcze koła i wozy, to jest był kolodziejem. Że zaś był uczciwym i pracowitym, wszyscy go bardzo szanowali. A gdy syn jego, jednak, rozpoczął rok siódmy, wyprawił Piast swym przyjacielowi duży „kiermas“ z okazji postrzyżyn. Postrzyżyny były u pogańskich przodków naszych obrządkiem wielkiego znaczenia zwłaszcza jeżeli przedmiotem ich był najstarszy syn w rodzinie. Zwykle do lat siedmiu pozostawał chłopiec pod opieką matki i nie strzyżono mu włosów. Dopiero w siódmym roku zapraszano krewnych na ucztę, dawano chłopcu imię i nową suknię, obcinano włosy i odtąd przechodził pod opiekę ojca; zgromadzeni zaś na ucztę przyjmowali go do swojej rodziny, obiecując w razie śmierci ojca opiekę nad młodym chłopakiem.

Czytamy w historii dalej, że podczas tych postrzyżyn, które nazwać można „pogańskimi chrzciami“, przyszli do Kruświcy z dalekich krain dwaj



podróżni, których Piast przyjął jako swoich gości — po przyjacielsku. Mówią, że to byli aniołowie, którzy przepowiadali, że syn Piasta kiedyś zostanie królem i rządzić będzie potężnym ludem i roległą ziemią. I też tak się stało. Syn Piasta, Ziemiowit, obrany został królem polskim około roku 860 po narodzeniu Chrystusa Pana. Jakby na słowo tych aniołów zaczęło do naszego kołodzieja coraz to więcej przybywać gości, tak że żona jego bardzo się zakłopotowała, czem poczęstuje tylu ludzi. Lecz ile razy weszli do komory, aby wynieść nowy poczęstunek, to zamiast żeby ubyło mięsa, chleba, napoju, to coraz więcej przybywało. Aż w końcu Piast, domyślając się, że to ci podróżni musieli jakiś cud sprawić, chciał im za to podziękować, ale oni nagle zniknęli.

Opowiadam to podanie naumyślnie dokładniej, bo ta uczta Piasta to istny nasz „kiermas“ warmiński. I u nas istnieje jeszcze ten ścisły węzeł rodzinny. Krewni z okolicy, a częstokroć i z dalszych stron, zjadają się na odpust do kościoła, a po kościele do przyjaciela, w którego parafji odpust przypada, i weselą się i radują, pouczają się i pocieszają. Skrzętna gospodyni uwija się chuciusieńko, wynosi z komory, z kuchni — a gospodarz z piwnicy; i zawsze jest co — nigdy nie wychodzi, jak gdyby anieli mnożyli, jak niegdyś u Piasta. A odjeżdżającym dostanie się jeszcze po „kuchę“, albo i więcej. Jest to doprawdy rzecz dziwna z tą naszą gościnnością. Oczywiście spoczywa na niej błogostawieństwo Boskie.

## VI.

### Przygotowania na „Kiermas“ i pierwsze przywitania.

Przypatrzmy się bliżej takiemu „kiermasowi“.

Podwórce wyczyszczone, dom przystrojony, okna i okiennice czysto omyte, fundament domu i komin białem wapnem świeżo obielone — dostojny gospodarz nie boi się nawet całego wojska dziadów i bab, chodzących hurmem, szczególnie w wigilję przed kiermasem po zebraniu i patrzących zyzem ciekawie na białe kominy — „bo tam kraśniej się dostanie“. —



Izba także świeżo bielona i gustownie malowana modremi kwiatkami, a zakończona u góry piękną „bortą“. Na ścianach pełno obrazków schludnie „okurzonych“, nawetbyś pajęczyny nie spostrzegł. Podłoga starannie wymieciona i posypana bielutkiem piaskiem, stoły zestawione w długi rząd i przykryte lśniącymi obrusami własnej roboty, koło nich długie ławy, malowane lub białe, i stołki i krzesła w jednej linii — w każdym kącie porządek i ład.

Dzieci już rano powstawały; z radości i ciekawości nawet spać nie mogły — a uczesane i ustrojone, jak cacka, stoją przy oknach niby żołnierze na posterunkach, i wyglądają niecierpliwie, ale z podziwienia godną wytrzymałością, gości swoich. Na raz krzyknie Baśka; „Matulku, jada! Dyżicka ciotka z wujem i Michałkiem, za nimi Ługwałdzcy łoboje i Mykowscy, jekby się zmózili, wszyscy razem, a i nasz wózek zidać, na niam dziadek lamkowski z Marychną — nie darmo po nich pojechał Kubalek na kolej do Łolstyna!“

— O, to dobrze — odpowiada gospodyni, która jeszcze zawsze zatrudniona uprzątnaniem i porządkowaniem różnych drobnych rzeczy — wyleć moja jegódko do nich na podwórze, a tych wujów i te ciotki to tak mocno ukochaj i uściskaj. Wyjdzie zaraz do nich łojczulek, a ja tu w izbie ich przyzitam.

W tem woła Janek, który przy szczytowem oknie stał na czatach:

— Patrzcie no, łojczulku, Gietrzwałdzcy z górki się spuszczają pełan wóz ich jedzie, ciotka siedzi w tyle, z małą Katrynką na kolonach, przy ni Fynka i Anulka, na przednem siedzisku Józefek i Jędrysek a Wyktorek trzyma lejczyki w rangku i pogania. Ci równo náma są nálepsi, bo wszyscy jada, chociaż nádali mają — jano wuja łostazili przy gospodarstwie; — a wejcie tam z drugi strony, tam z pod lasa na górcie między jerbami, to Linowscy i Butryńscy — a i z pod Gieleków migoce się para wozów, to pewnie konie Purdzkiego wuja tak skaczą — dzieci ni ma, za to nálepsze konie má, może za niam i Pajtuńscy się najda. Jeki



ją ród — to bańdziewa mieli gości — tyle wujów i ciotków — tyle bratów i siostrów!“

Tymczasem Baśka woła już z daleka „Zitajcie u naju!“ i z ojcuzkiem i Jankiem wita pierwszych gości na podwórzu, tak ich ściskając, że się oderwać nie może: „Jek my redzi ciotucho, żeście przyjechali, mocnom sia waju spodziewali i nie darmo. Jeszcze ni mawa nikogoj, jano Watamborscy na noc przyjechali, ale już pošli na rane do kościoła, bo sia chcieli do spoziedzi dostać; — wyšta psiersze.“ Tak mówiąc wprowadza gości do izby, do matulki, gdy ojculek z Jankiem zostają przy koniach, aby i tym dać przegryźć.

Goście wchodząc do pokoju („obtātani w płaszce i chustki — bo z powrotem późno się pojedzie, a tu w nocy zimno“) pozdrawiają staropolskiem: „Niech bańdzie pochwalony Jezus Chrystus!“ na co gospodyni radośnie przytakuje: „Na zieki, zieków. Aman. Zitajcie łu nās“. A gość dalej: „Boże wama daj szezście na tan uroczysty łodpust, żebyšta go w zdroziu drugi róz doczekali“: „Bóg wama zapłać“ oddaje gospodarstwo i dzieci. Poczem następują znowu nowe uściski i pocałunki.

Tedy rozpoczyna wymowna gospodyni: „A Bóg że wama zielgi zapłać, żešta też do naju zajrzeli, my sia waju spodziewali, wyglādali i tak ciałsto o waju wspominali. Łusiādźta i zabawta sia, juźci Gietrzwałdzcy i Pajtuńscy nadjeżdżają, pudzieta razem do kościoła“. Przy tem zdejmują gościom płaszce i chustki, chowają do szafy i raczą ich siadać do nakrytego stołu i przynoszą wino. — Pan domowy, który tymczasem więcej gości wprowadził do izby, nalewa we dwa kieliszki, podaje jeden gościowi, bierze sam drugi, trąca i przypija do każdego: „na zdrozie!“ na co odpowiedź: „psij (lub psijcie) z Bogam!“ Do tego obrządku zwykle dwa kieliszki wystarczą, bo jeżeli jedno wypije, nalewa się w ten sam drugiemu itd. z kolei. Do wina dają przegryźć słodkie ciastka w rozmaitych formach pieczone. Tedy zasiadają wszyscy do kawy, kosztują „kucha“ i podjedzą



kawałek kaczki pieczonej, kiełbaski lub od młodego prosiaczka, przyczem się krótko pomówi o najważniejszych zajściach domowych i nowinach krążących po wsiach. Nareszcie trzeba pochwalić kuch, który gospodyni sama z wielką umiejętnością i z najlepszej pszennej mąki przyrządziła i upiekła.

Kuch warmijski to wyśmienite pieczywo pszenne, którego nie zabraknie na żadnym „kiermasie“. Dzieli się nim Warmjacy jak opłatkiem, kiedy się zjadą po przyjacielsku; dzieli się nim przy rozjeżdżaniu, dając go i dla tych, którzy w domu pozostać musieli. Gospodynie sporządzają go umiejętnie w taki sposób: biorą pszennej lśnąco białej mąki, dodają mleka, jaj, cukru, masła, „rozynów“, kaneli i olejku cytrynowego, i może więcej czego, ale w tem tajemnica każdej gospodyni — wszystko to proporcjonalnie dzieląc i mieszając; tedy tęgo przyczynią, rozłożą na „blachy“ i akuratnie odpilnują w piekarniku; nareszcie posypią na wierzchu „mandlami“ i cukrem, albo mączką z masła i tartego cukru. Tak sporządzony kuch pokrają w różne glonki i rozstawiają na malowanych talerzach po stole nakrytym, dodając do niego na drugich talerzykach świeżego masła i miodu. Skosztuj tego, a będziesz miał, jak tu mówią, „najmacniejszą w świecie pomazkę“.

## VII.

### Odpust.

Nie długo zabawili goście przy śniadaniu, bo czas do kościoła na odpust. Zewsząd słyhać śpiewy, „łosiery“ (kompanje, ofjary), nadchodzą. Widać na przodzie postrojone dziewice ze świecami w ręku. Wyraźnie słyhać słowa przepowiadacza:

Opatrzność Boga mojego,  
Tylko się udam do niego.

Za nim wtórują wszyscy potężnym chórem, tak, że się echo aż o niebo odbija. Wszyscy skręcają do Bartęga na wielki odpust Opatrzności Boskiej, jedyny w swoim rodzaju.



Goście wstają od stołu żegnają się i mówią modlitwę dziękczynną za pokrzepienie. Jedni wybierają się pieszo, drudzy wołą jechać do kościoła, „bo jeszcze kawał drogi do Bartęga, a zapóźnić na kazanie to wstyd“. Powracają też już starsi synowie gospodarza z rannego nabożeństwa. Poszli na „rane“, żeby podczas „dużego“ zastępować w domu rodziców, którzy się teraz razem z gośćmi wybierają. Skrzątnie i mile witają tak licznych przyjacieli, pełni radości, że się po południu zanosi na dobry „kiermas“.

— No jek tam Józeku, czy już gwałt ludzi w kościele? — pyta się Dywicki.

— Sroga moc, wujku, chciałam do spoiedzzi, ale gdzie tam, chyba do jutra czekać. Lokropne ciasy dają się náma mocno we znaki; ksiąjża wymierają, a drugich do náju przysłać nie wolno. W Klewkach już dawno, ni mają ksiandza, w Klebarku jano jednego, w Purdzie żadnego, tak samo w Sząbruku, Sząbargu, Jonkozie, Brąswałdzie. Dobrze, że my jeszcze młodego máwa ks. kapelána, w tam cała nasza nadzieja. Dawni aż do dwudziestu ksiąjży się na nasz łodpust zjechało, dziś jano paru zidać było. — To walka kulturalna — wojna pyszałków z Panam Bogam — zrobziła, ale P. Bóg jam rogi strąci.

— A łosierey już były jekie we wsi? — dodaje dziadek Lamkowski.

— Już były, dziadku; sztery zidziłam na smantarzu, a po drodze tom przynajmni sześć spotkali. Psiersze już wprowadzał nasz kapelán do kościoła. Słuchać też było muzyka z daleka.

— To nasza! — woła z uniesieniem Butryńska — nasze muzykanty są wywołane.

— Ná, ná, ciotko, nasze tajjsze, łusłucháta ich na duże, kiedy wáma zarzną bartajski tryumf — woła z uniesieniem Janek.

— Cias moje dzieci — raczy na to dziadek — nagádawa się po łobiedzie, jano wszyscy przyjedźta na kiermas. Michałku jedź ty naprzód, mász dobre i chybkie konie.



I wyjechali jeno wozy dudniały, a kopyta tętniały, jak wiatr — „jek zietr“.

Przebyli wieś i żyzne pola. Nie jeden seperant przy drodze tylko się „mignął“. Aż na ostatniej górcie zwolnili, bo tu i droga przykra i przecudny im się przedstawił widok, kóremu się napatrzeć nie mogli.

Bartąg z pięknym swym kościołem, jakby z ziemi wyrósł. Wieża z niezwykłym baniastym hełmem jak w Sząbruku zabieliła się najprzód z pomiędzy wysokich zielonych klonów, które potężne swe konary nad szerokim rozłożyły cmentarzem. Naokoło wielkie góry, w oddali ciemne lasy. W środku tych gór między urodzajnymi polami i łąkami zasiada na małym pagórku od niepamiętnych czasów ta wieś nad rzeką Łyną, wijącą się krętym biegiem, jak srebrny wąż, u nóg jej. Bartąg starszy jest, jak pobliskie miasto Olsztyn, bo gdy to zakładać mieli, pisali w kronikach, że ma stać, „prope terram Bertingensem“, to jest Olsztyn ma być zbudowany w bliskości ziemi bertęskiej. — W czasach staroprusińskich było w tej dolinie już bardzo ożywione życie. Dziesięcny Bartąg założono 29 września 1345 r. i dano mu 32 chełmińskich włók. Zapis jego z 1363 roku zachował się do dzisiaj. Nawet nazwiska staropruskich gospodarzy zdołano przechować. Roku 1462 zburzony przez Hartmana z Kirchbergu i spalony. Po raz drugi kościół się spalił przed r 1682, w którym zbierano jałmużnę na jego odbudowanie.

Do Bartęga siedem prowadzi dróg, które wszystkie raźnie wysadzone drzewami i szczepami prędko spuszczają się z wysokich gór w piękną dolinę.

Dzisiaj wszystkie te drogi pełne życia. Na każdej długie rzędy wozów i „półkaretek“, gdzie spojrzysz, głowa ludzka, wszędzie śpiew i muzyka, w które się uroczyście mięsza poważny głos dzwonów bartęskich.

— Odpust bartęski, to równo coś innego, jak nasz brąswałdzki — odzywa się Spręcowska — co to národu, jesczem ci bodaj nie zidziała tyle. Gdzie my też miejsce dostaniem z koniami.



— Tam gdzie i drudzy — odpowiedział Michał, który jakby ze snu po tem wszystkiem się przebudził i podciął konie.

Zbliżyli się do mostu. Dywicki wstał na równe nogi szperając z woza badawczem okiem za wolnem miejscem dla swych koni; bo już i przed mostem różne stały furmanki.

„Gdzie my sia też podziejewa, mój Michałku z naszym wozam i z koniami, a do wsi by trzeba, abo chociaż jano za most w gasa, żeby buło bliży do kościoła“.

Wjechali za most. Wuj zawsze stał na wozie i oglądał się pilnie na wszystkie strony. Zaniecierpliwiony tem, jak się zdawało bezskutecznem badaniem ojca swego, wspinał się i mały Michałek do dużego na siedzisko i „dulczał“ bystro w „gase“. I nie darmo. Ostre oczki jego ujrzwały bowiem miejsce aż dla dwóch wozów.

„Wejcie łojczulku, krzyka uwinnie, ław na liwą przy rozie wjedziewa na bok, nawróciwa tamte konie i kiwniem za náma — na dziádka“.

Ojczulek się obejrzał — lecz aż zdrętwiał. Za nim jakie trzydzieści wozów z góry zjedza na most, konie się rwią, za wolno im idzie, za wiele strzymywać muszą — łbami rzucają, parskają, rżą. Często słyhać dyszel skrzypiący lub grzechocący (na Warmji: dyśła, f.) po szczycie poprzedniego woza, a może i po grzbiecie niejednego gościa, któremu się koniecznie chciało na kiermas. Ale dziadek dzielnie trzymał się zaraz za Michałem wołając często na przechodniów wysilonym głosem; „z drogi!“ — i tak dostał się z nim szczęśliwie do płota.

Zesli z wozów, odpięli z orczyków postronki, rzucili koniom świeżej koniczyny i pošli do kościoła.

Idąc „gasa“ wszędzie omijać trzeba było to furmanki, to ludzi. Wóz stał przy wozie; przy nim konie „chrubotały“, pasąc się zgodnie na swoim lub cudzym obroku. Spotkali się, niż zašli do kościoła, z niejednym przyjacielem, z niejednym znajomym.



Większy jeszcze tłok zastali na głównej drodze przed kościołem. Ledwie ostatnie kompanje przedostać się mogą. Przy cmentarzu widać było budy z różnemi błyskotkami i owocem. Ciekawość ludu wiejskiego przy takich rzeczach prawie niespożyta jest. „To by dobre było na Michałka, to na Fynki“, chwaili sobie goście, — i z pewnością byliby się spóźnili na nabożeństwo, gdyby ich dzwonek wymowną nie był mową swoją przekonał, że tu dziś w innym stawili się celu.

Więc pošli na kazanie. Na cmentarzu nagle uroczysta zapanowała cisza, gdy kapłan na ambonie się pokazał. Czytał donośnym głosem ewangelję o liljach i różnych kwiatach, które Bóg tak cudownie przystraja, dalej o ptactwie w powietrzu, które nie sieje, ani rżnie, ani zbiera do gumien, a Ojciec niebieski żywi je. A jeżeli tyle pieczy ma nad trawą i zwierzętami, im więcej nad ludźmi.

Ostatnią myśl wyłożył kaznodzieja wybornie w nauce o Opatrzności Boskiej i działalności jej na całą ludzkość, jak i na pojedynczego człowieka. Przytoczył też cudowny obraz Opatrzności Boskiej w kościele bartęskim w ołtarzu po lewej stronie — Oko Boskie w trójkącie w trzech kolorach mieszających się w sobie, jak trzy osoby przenikają się w jednym Bóstwie Trójcy Przenajświętszej, patrzącej okiem swem na wszystek świat i na każdego grzesznika z osobna. W tem wielka trudność dla rozumu naszego, ale właśnie ewangelja niedzieli czternastej wprowadza nas najlepiej w niezbadaną tajemnicę Opatrzności Boskiej. Dalej słuchali ostrą naukę o służbie dwom panom, jakto nie można Bogu służyć i mamonie, a że tylko jedną duszę mamy, zdobędziem sobie w służbie Bożej niebo, w służbie zaś mamona stracim ją na wieki w piekle.

Słuchali z natężoną uwagą kazania, jak to zwykle spostrzedz można na katolickiej na wskroś Warmji. Oczy wlepili w księdza, jakby go wzrokiem przeszyć chcieli, słowa wyciągali z ust jego, jak pszczołki miód z kwiatka. Michał aż gębę otworzył — tak słu-



chał. Tu i owdzie głową przytakiwał, jakby na potwierdzenie prawd przez kaznodzieję objaśnianych. Nawet tabaki nie zażył, choć mu z różnych stron po cichu ją podawano, bo zwykł był mawiać: „Kiedy ja poszczę, to niech i nos pości“. Byłby z pewnością aż do końca w pilnej atencji wytrwał, gdyby mu nie był znacząco przykiwnął Wojtek, który już dziadka i otoczenie jego prowadził do kościoła, żeby na sumę dostać się w ławkę, choćby tylko na chór: „bo w mniamnieckie kazanie zawdy sia miejsce dostanie“.

Poszli tedy na chór i „mieszkali na wysokości“, z której widzieli i słyszeli wszystko, co się w całym kościele działo.

W kościele także panowała głęboka, tajemna cisza — „kończyło się prazie mniamnieckie kázanie.“ Widzieli tu także potakujące głowy, lecz kiwanie to było nieregularne i nadzwyczaj głębokie, widzieli wlepione oczy, lecz te wlepione były w otwarte książki lub zamknięte ławki, niejedno oko było zalepione; słyszeli oprócz słów kaznodziei lekkie i ciężkie sapanie w różnych tonach. — Przykre to położenie dla kaznodziei.

„Dziadku, szepce niecierpliwie Michałek, który się na „tryumf“ już doczekać nie może, dziadku, toć tu spsia, słuchajcie jano — chrąpsią!“ „Uspokój sia moje dzieko, zacisz za dziadek, łoni jano siedzą, jek na mnamnieckam kázaniu, co go tu moc ani za fenik nie rozumi; poczekajno, i tobzie pewnie sia kiedyś tak przytrasi. Do tego też tu i mocno gorąco; nie jedan sia nie daje, zidzisz, jek sia czestują tubaką — ale i to razu nic nie pomoże“.

Oczywiście walczyli nie jedni ze sobą i ze śpikiem, drudzy pozostawali jakby w postawie nieprzytomności i drgnęli na „Amen“ nie byle. Zdziwieni otwierali zwolna wstydliwie oczy, trzeźwiąc sie do reszty na pełne akordy organów i przypominając sobie, że się na świętem znajdują miejscu.

Już snąć i na cmentarzu rozległo się wielowładne „Amen“ bo szmer powstał i chodzenie i — stukanie. Tłoczy się do kościoła, kto może; pakują się w ławki i tak już przepełnione. Pot, jak ciepły deszcz, spada



po nosach; bo się trzeba wysilać, aby choć szczupłe miejsce zdobyć, a bez „pracy — niema kołaczy“. Ławki wprawdzie tego trzeszczą i jęczą, lecz jeszcze się nie łamią.

I któżby w takim tłoku na to zważał. Zresztą organy i pieśń po kazaniu: „Boże Ojczy, racz być z nami“ zagoiły i zakryły wszystko, tak, że gdy kapłan przy wielkim ołtarzu silnym zanucił głosem „Asperges me“, wszystko już było w dobrym porządku.

Ożywcza woda święcona, obficie kropiona, wszędzie dobre sprawiała skutki. Wesoło śpiewali: „Pokropisz mię hyzopem Panie“, ochoczo się żegnali i orzeźwiali; nawet płec słabsza nie gniewała się, gdy poczuła świętą wodę na swej delikatnej twarzy.

Nadszedł czas sumy. Z uwagą wielką, godną tej arcyświętej ofiary, tego najwspanialszego na świecie nabożeństwa, wyczekują znaku dzwonka, zapowiadającego początek Mszy św. Nie śpiewają, lecz gotują serca na ofiarę, bo odczuwają że nadchodzi chwila, nad którą nie ma świętszej, odgadują, że nadchodzi czas łaski, w którym Bóg nam najbliższy; a na przyjęcie Jego wszystko ucichło, tylko organy grają powabnym głosem modlitwę przygotowawczą.

Wtem ozwał się dzwonek nad zakrystją. W złotym ornacie wychodzi kapłan do Mszy św., niosąc przed sobą tajemnicę Nowego Zakonu, kielich nakryty. I naraz stało się wesoło w kościele. Na pokazanie się kapłana, „zarznięli muzykańci na chórze tryumf barteński, najlepszy, jeki mogli“ — aż się o mury odbijało, okna silnie zdrzętały. Aż miło było, serce uniesione, prędeż bić zaczęło. Do trzech razy powtórzyli ten śliczny tryumf, poczem zaraz zaintonowali wspaniały śpiew:

„Do Ciebie odwieczny Panie  
pokornie wołamy,  
Patrz na serc naszych wylanie,  
do Ciebie wzdychamy“

a lud jakby magnelem trącony wtórował z wielką gotowością i siłą. Po wzniosłem „Gloria“ znowu za-



nucili tryumf, który jeszcze powtórzyli później po „Credo“ raz i po „Ite missa est!“ trzy razy, tak że się i chciwi słuchania go nasycić i na pamięć nauczyć mogli.

Po Ewangelji św., było jeszcze jedno polskie kazanie w kościele, „krótkie ale węzłowate“ dla zaspokojenia tych, którzy podczas niemieckiego niezrozumialnie głowami przytakiwać byli zmuszeni.

Tedy szła dalej porządkiem swoim Msza św. Nabożeństwo ludu było wzorowe tak w kościele jak po za kościołem na cmentarzu, gdzie pod drzewami i murami, przy grobach i płotach, jak kto mógł, tulił się przed kołącym słońcem.

I tu klęcząc, stojąc lub siedząc, śpiewali jedni mszalne pieśni, drudzy w książkach lub na różańcach modląc się, pilnie uważali na ofiarowanie, podniesienie i komunię: główne części Mszy św., odznaczane srebrnym dzwonuszkami ministranta.

Poczas Podniesienia poklekali wszyscy, zwrócenie twarzami do wielkiego ołtarza, mężczyźni z odkrytymi głowami; a bijąc się w piersi na znak pokory i nicności swej, kłaniali się przed Panem Zastępów, który dla zbawienia ludzkiego w bezkrwawej ofierze na ołtarzu odnawiał krwawą ofiarę krzyżową. Wiedzieli bowiem, że w tej chwili tak im blisko jest i patrzy na nich Ten, który niebo i ziemię zbudował, firmamenta malował i który ich sądzić będzie. Zatęskniło też wielu za źródłem żywej, „wody, pełnem dla dusz ochłody“, i przystępowali gromadnie podczas Komunii św. do Stołu Pańskiego po Chleb Anielski — Manę Niebieską.

W koło kościoła widać było konfesjonały (słuchanice), przy nich ludu moc wielką. Lecz kapłanów mało tylko spostrzegłeś, gdyż sąsiedni powymierali, a z dalszych stron nie wolno im było przyjechać, bo walka kulturalna w najlepsze wtenczas kwitnęła. Jeden z kapłanów kolektował na wystawienie nowego kościoła na Mazurach. Nabożni chętnie dawali, „bo hojna okolica bartęzka — a na Mazurach brak kościołów katolickich“.



Po za cmentarzem na drogach i przy ogrodach stali także ludzie, dalej powozy; ale wszystko w należytym spokoju, godnym dnia tak solennego.

Dopiero po Mszy św., gdy zaczęli wychodzić z kościoła, rozpoczął się gwar, najprzód jakby od pszczoł, tedy zawsze głośniejszy; nastąpiły radośnie powitania, pocałunki — cała wieś jakby odżyła — wszędzie ludu pełno, wszędzie gwar i radość.

Nawet konie, które w nieprzejrzanych rzędach przy wózkach stały niewzruszone, jakby tą potulnością chciały honor i cześć oddać Najwyższemu, zaczynają teraz bystrzeć i niecierpliwic się — a do zbliżających się panów swoich, których zaraz poznawają, parskają, sarkają i wyrzają radośnie, bo i im się dostanie na kiermas.

Zwołują się goście, siadają na wozy, kiwają na tych co pieszo przyszli, przepełniają „siedziska i pubraki“ dla wielkiej radości dzieci, patrzących „w oknach i dźwierzach“. Jeden wóz za drugim posuwa się zwolna, bo mało miejsca ładnego, a wiele ciężaru pańskiego. Ale konie nie zważają na przepełnienie, — ciągną: a kiedy im przyjdzie dźwigać pod górkę, to ustawają, stękają, odpoczywają — a ciągną, dobywając wszystkich sił; lecą jak mogą, bo wiedzą, że ich na kiermasie dobrze wynagrodzą.

## VIII.

### Kiermas.

#### 1. Powrót z kościoła.

W domu gościnnym mniejsze dzieci gospodarza stoją znowu w oknach jak z rana i wskazują pełni radości i szczęścia paluszkami na drogę, którą goście jadą. Poznają swych wujów i ciotki po czapkach, po kapeluszach, po chustach, po koniach, po wozach i sprowadziłyby ich oczkami jak najprędzej do siebie.

— Wejcie matulku — woła Baśka — wszyscy powracają do náj, co byli zrana na kazi i na kuchach a jeszcze i drugich ze sobą ziozą. Dajcie jam na przyjezdne najlepszego kucha i zina i miodu i



masła i psiwa i wątrobki i musku i reżu i psieczonki i łogorka i i . . .

— Jół, jół, moja córeczko — przytakuje matulka, niezważając dużo na swego wielomównego trzpiota, bo zajęta ciąglem jeszcze sprząaniem różnych rzeczy i ostatecznem przyrządzeniem obiadu, który dziś gotuje w kuchni w piekarniku zamiast w izbie na kominku, żeby tu było schludnie i nie przeszkadzało gościom i kucharkom.

— O już dziadek niedaleko — raduje się Baśka — i Michałek i ciotka i Purdzczy już są kiele krzyża Bziańkowego.

— To nie ciotka — przeczy Janek — to jest wujna, co ty ziesz, a tam nie Purdzczy jano Sprancowscy i z watamborski strony, ty nic nie ziesz!

— Prazie já ziam — kwili się siostrzyczka — ná nie matulku? Póďte tyło łobaczczie!

Przyszła matulka do okna, zobaczyła i — Baśka miała słuszność. Tryumfująco kole paluszkiem do Janka i woła:

— Wej, czy já ci nie móziuła, ná nie matulku?

— Jół, jół moja jegódko, tyś móziuła, tyś móziuła; ale teraz śleźta z łokna, bo to nie raźnie wygląda; lećta na podwórze uradować się gościom naszym.

Dzieci wyleciały jak wicher na dziedziniec z żywymi okrzykami:

— Kto prandzy, kto prandzy! Zidzisz jekie ci-ste podwórze? Goście sia poradują. To ja wczora w zieczór tak zamietąta, ażem dali ni mogła, a dziś nábzielszam psiąskam posypałam.

— Co? jano ty, a ja nie? — woła znowu roz-dziczony Janek.

— Jół, jół i ty mój braciszku; ale nie bądź za-wdy taki zły na mnie.

— Já ci jest mocno dobry — wtrąca Janek — tyło nie gadaj zawdy tak gwałt. Daj mi lepsi gąbki na zgoda i stul ją potam.

I zgodzili się szczerym pocałunkiem pokoju.



Na dziedzińcu już starsi bracia z kilku innymi gośćmi i służącymi stali w pogotowiu na przyjęcie wracających z kościoła. Już konie „wkrápowały“ się z pełnemi wozami pod górkę, na której stał dom, gumna i ogrodzone podwórze; — już stali na podwórzu, witani serdecznie od wszystkich domowych i mile proszeni „wstąpić“ do izby. Baśka, jak mótł malowany, doskakiwała z kolei do nich, a ściskając każdego zgrabnie rączkami za szyję, rozdawała hojnie buziaki.

Lecz cóż to, na podwórzu słyhać płacz. War-temborska bije za zmozenie i splamienie różowych sukienek swoje dzieci, których mała Baśka była ciotką. A to się stało tak. Pomimo zakazu matki mała Dośka i Waleśka z Wartemborka i Joanka z Purdy namówiły się iść gościom naprzeciwko pod Bartąg. Tymczasem lunął deszcz i nowe ich sukienki „spuziały“, a że ich czarne kołnierzyki farbowały, nad to się i „zwałały“. Przy „bziankowam“ krzyżu spotykają ich matki; dzieci do nich od deszczu ciekące rączki wyciągają, prosząc o ratunek a matki za nieposłuszeństwo fukają i łają, tylko z tą różnicą, że nad Joanką dobroduszną stryjna się lituje, a swoje bez litości matka „buzuje“, raz na wozie, drugi raz poprawia na podwórzu ku uciesze gości a niematej trwodze ciotki Baśki.

Tymczasem parobcy wyprzągali konie, głaskając je, bo aż piana stała na nich, tak sie pogrzały.

— Jakieś ty musiiał dźwigać mój gniady, kiedyś sia tak zgrzał — lituje się Marcin — a i ty foksie jeszcze wzdychasz. Za to ja też wama dobrze zamąca, przyniosa pełną kwarta łotrąb i pełna drábź napychám konikozia; świeży wody jużam nanosiuł do stáni.

Chętnie się koń tej rozmowie przysłuchuje i daje się głaskać, aż nozdrze rozszerza, parska, uszy stula, nogą tupa. Tak pieszcząc bronaki, wprowadza je służący do stajni.

Tymczasem goście weszli po kamiennych schodach przez wysoki próg a niskie „dźwerzany“ do izby.



## 2. I z b a.

Starowarmijska izba jestto wielki, częstokroć jedyny pokój całego domu, który z trwałego „drewna“ wystawiony, słomianym dachem pokryty, przez sień dzieli się na dwie części; w jednym końcu komorki dla ubrania i dla służących, w drugim owa wielka izba, mieszkalnia i często sypialnia zarazem. Ściany są na kiermas starannie wybielone, albo nawet gustownemi (zwykle niebieskiemi) kwiatami wymalowane, pułap biały z kolorową „rantą“. Ściany przepelnione obrazami religijnymi, między niemi jedno lustro; przy oknie szczytowem stoi na małym stoliku figura Najśw. Panny lub św. Patrona. Przy drzwiach na prawo kominiek do gotowania, w kiermas strannie zamknięty, przy nim wielki biały piec kaflowy, za nim mała izdebka „zapieckiem“ zwana, którą w zimę wieczorami najwięcej mężczyźni frekwentują, aby się „odgrzać“ i wypocząć aż do wieczery. Dalej na lewo od zapiecka przyłącza się komora.

Tu počcie w komorze z niemłą pociechą

Wiszą pod strzechą,

Tu mięsa świeże, nabiału dostatek

Tu w mieszek ostatek.

Tu w skrzyni wielkiej znajdują się najkosztowniejsze rzeczy, drogie stroje, potrzebne papiery, zapisy, ważne listy, a po lewej stronie „przytworek“ misternie zakryty, bo w tym przytworku znajdują się czerwienice, w pocie czoła ugospodarowany grosz „na wydanie dorosłych córek i synów,“. Małe dzieci się też tu nigdy nie dostaną, chociaż ich wielka chęćka bierze przeniknąć tę tajemnicę. I wielkie to zawsze wrażenie robi, kiedy ustępujący od gospodarstwa ojciec oddaje tę skrzynię z przytworkiem synowi swemu lub pasierbowi-dziedzicowi.

Aby dokończyć opis o dalszych sprzętach w izbie, wypada wspomnieć o dużem łóżu gospodarza z „podniebieniem“ a w kiermas przystrojonem gustownie nowemi firankami. A jakby dla ubezpie-



czenia skarbcza łoże to stoi zawsze przy komornej ścianie. Jedna szafa dla sukien, druga dla misek i innych sprzętów, duże długie ławy przy ścianach za stołem, kilka stołków i krzesel — a to wszystko na kiermas starannie „oszorowane“ i omyte, uzupełnia umeblowanie warmijskiej izby.

Przy nakrytych stołach już siedzi kilka osób przy „kuchy“ i piwie; i tak są zajęci rozmową i apetytem (bo warmijski kuch jest wyśmienity, zwłaszcza kiedy się go potrze masłem i miodem), że na nowo przybywających gości wcale dużo nie zważają i tylko głową im przytakują i ręce im przez stół podawają.

Tak do jednej izby zbierają się wszyscy, dzieci i starsi, dla wszystkich jest umieszczenie i jedzenie, ale do stołu przystępują najprzód sami starsi, a dzieci po nich razem z domowemi.

### 3. Obiad na kiermasie.

(„Sietom grychtów“ i rozmowy gości przy stole.)

Powoli zapełniają się miejsca przy długim stole — nawet nie wystarczają, trzeba drugi rząd ustawić — tyle dzisiaj gości. Gospodarz „jeno się uśmiecha“, taki szczęśliwy, bo tyle już dawno się nie zjechało; widać, że go „przyjaciele“ (krewnych i znajomych nazywają na Warmji przyjaciółmi) poważają i miłują. To też każdego serdecznie wita, całuje i prowadzi do stołu.

Zdaje się, że już wszyscy się ześli, bo najstarszy niby patriarchy rodzinny — Dziadek lamkowski — wstaje do modlitwy. Wszyscy naśladują przykład starszego.

Przynoszą pierwszą potrawę: rzadki ryż z kurą przyprawiony muszkatowym kwiatem, pietruszką, kolorabą, marchwią i pachnącą kubebą, do tego chleba sitnego. Każdy sobie naczepie na swój talerz, którego używa do wszystkich następnych potraw; z widelca i noża także „nic sobie nie robiąc“, woli palcami obierać gnaciki, które nareszcie rzuca pod stół.

Przy drugiej strawie, zwanej „słodka skopozina“ z selerją, cebulą, pietruszką i z nieuniknioną



kubęą, do niej ziemniaki — rozpoczyna się już żwawa rozmowa.

— Tęż to dzisiaj i ludu było na tam łodpuście, mówi dziadek, bodąjamci tu jeszcze nigdy tyle nie zidziął, choc mi już łósmu dziesiątek na kark włazi. Ale tęż było i na co przyść, co to za śliczne nabożaństwo, a przy tam ładne pozietrze, że aż puchnie, a i tan tryumf mi jeszcze w łuszach brzmi. Kubalu, co to za jedni teraz muzykują na chórze?

— To ziecie, Dziadku — tłumaczy uwinnie Kubal — wszystko są gospodarskie syny, co sia na łurząd kościelny muzyki wyłuczili i nigdy na wesela grywać nie chodzą:

Mataniów Kuba grywa na tubzie, Zieczorków Józef na trompecie, Ziantków Jochim na waltorni, Bârzińskiego Frącek na tenorze, Duliszów Matys na bekornecie, Jacków Michął na filoteji, Kowalik na pykolu, a stary Gapa na bambnie.

— To wejta zuchy, aż ci mi sia chce ich pochwalić. Michałek im sia dzisiaj napatrzeć ni móg. Mały Kowalik dosádzął na pykolu, brął całą oktawę wyży, gdzie sia jano dało — mały jak rankazica, ale tchu w niam jek u nura; a tubzista nadymał swe jegody, jek mniechy w kuźni, przy czam wójsy mu wstawały i spadały jek łú jęza jigły, co baziuło mocno Michałka, a náziancy tan jedyny bartański tryumf.

— Ale jeszcze ziancy chwały zasłużyli te nieboráki ksiajżá, jek ci sia napocili, co ci mieli za pracá. Bo tęż nie dziw, na tyle národu psiańciu ksiajży; przy tam trzy kázania, „duże“ (suma), procesyjá, tyle ludzi do spoziedzi i do komuniji świanty; szterech łostało jeszcze w słuchanicach i do niszporu ledwo skónczą.

— A i Twoji jeszcze ni ma, Ługwałdzki, — i Linowski ciotki jeszcze nie zidać, czy i łone chciały do spoziedzi?

— A toć chciały — przebąknął ktoś — ale chto zie, czy sia dostaną.

— Co tęż to z tego bańdzie, moje ludzie złote — prawif dalej pocziwy staruszek — kiedy to tak



dali nie pozwolą ksiajży nasádzać. W tech páru latach już dwunastu w naszych strónach łumerto a w siedmiu parasijach ni ma żadnego kapelána, a młodam sia ksiajżyć mocno trudno. Jek to ludzie teráz miaswszy swój kościół, ziele łuzywać go ni mogą, bo ni mają ksiandza, a sami nieráz aż 3 mile do drugiego chodzą. A co to dopsieru za bziéda do chorého.

— Bodáj, bodaj, że bziéda — potwierdza Szawałdzka. — Poziam wáma, jek to nasz siąsiedny klebarski kapelánik aż wszyskamu podołać ni może; a przez długi cias buło mu łostro zakázane do drugi parasii z Panam Jezusam jechać, to musiał nocami pokryjomu jeździć do náju do chorych, a kiedy sia zaziambziut i zanimóg, to mu ludzie w żytnych drábziach chorych w psierzynach przed kapelaniją zwozili tam ich na wozie spozedzi słuchát, wykomunikowát i łopatruť. Pára chorych nawet łumerto w drodze od zimna i niewygody, jek ludzie poziedują. Ale cóż, kiedy to sia każdy garnie do ksiandza w srogi godzinie śnierci, bo któż náju na tamtan śwát lepsi zaprowadzić może, kiedy nie kapłán. Słuchájta jano, niełuzierzili byšta, że i za to zdrajce go łudali i aż do Wystruci na termin jechać musiał, bo w Łolstynie przegrať. Co to buło żálu i płaczu, jek łodjeźdźát z Klebarka. Łojciec, matka, siostra jego i my siérot y z Klewka i z purdzki parasiji nie ziedzielim sobzie redy, kieby łón tu ni miał już przyjechać z tego sądu. Bogu dziangki że wygrať i za kila dni sia wróciut nazad.

— Aleć teraz — ciągnął dalej dziadek — bodáj już ksiajżom wolno jechać do chorego do drugi parasiji. No cóż, kiedy wymierają, bo za gwált pracy mają. Pamiantájta dzieci słowa: „Kto sia w opieka podda Panu swému, śmieie rzec może, nie przydzie na mnie żadna straszna trwoga“. Já już może lepszych czasów nie doczekám, bo mnie już do ziemni jidzie, ale wy doczekáta, toć sia równo jek oś stać musi.

To jak oś jestto ostatni argument naszego prostego ludu, gdzie już innej nadziei nie ma; to jakoś



jestto niezłomna wiara w Opatrzność Boską, w pośrednictwo wyższego jestestwa.

W tem gosdodarz:

— Dobrzeć wy gądacie łojczulku, toć młodzi aż gamby poroztwórzali, tak sia przysłuchują. Ale i to jedzaniu nie trzeba zabaczyć; a tu i kucharki nacie-  
rają, żeby jam nie łostygło.

Idzie trzecia potrawa.

— Wešta no sia do ty czárniny z pszannami klóskami, to buł zawdy mój nálepszy grycht (potrawa) — prędko wtrąca Gietrzwałdska — a jeká słociuchna, gwált w ni cukru i śwaczk a mało majránu, kaneli, goździków, a i trocha cybuli i łoctu a cąbru to już wcale w nia nie włożyły, bo niektórzy nie lubią z cąbrem, mózią, że za łostrą że za duży zapách.

— Bo téż i smaczna — przytakuje Wartemborska ne za kwaśná a taká tłustá, mnenso nyc ne rozwarzone, klóski ne zatwarde, to zidać dobre kucharki tu są.

— Ale cąbru trocha, já mocno lubzia!

— I já!

I my! — wołają drudzy.

Lecz gospodarz na wszystko uważa, a widząc, że piwa w szklankach nie ubywa, woła:

— Ale téż potoknąć trzeba, bo papku to jół, a tutku to nic, psiwo powlewane w śklánkach wyzie-  
trzeje.

— Bo tybyś tylo ráczył Jekubzie — wtrąca Butryński — toć równo wszystkiego łoráz nicht ni może, nie bój sia, toć i to sia nájdzie, my sobzie powoli dáwa reda, my sobzie już „potwierdziem“ i twoje pubeczki wysuszam.

Tedy odzywa się Purdzki do białowłosego dziadka:

— Wyście tam wspominali dziadku, że teraz ustanáziać ksiajzy już mogą. Buło to też dotąd smutno.\*) Mieliśmy kapelána, niełuznanego przez rząd;

\*) por. Dodatek.



— a co to buł za kaznodzieja! Kiedy wstąpił na kázanica, to aż skry i łzy szły — a do Mszy to miał głos jek ślebro — a jeki to buł pobożny, tacy m mu byli redzi, bo z kaźdam ziedziął co pogádać, kaźdego pocieszyć, nikomu w drogę nie włáz — ale cóż, jekiś gałgán go do szandara łopsisát — bo buł z pod Peplina — i musiał nocą łuchodzić — tom też tak płakali za niego, żem sia z żálu łutulić ni mogli, a nawet mnie staramu łzy po licach jek groch leciały. Moje ludkozie, co to sia równo nieraz wyrábziá na tam śwecie, to rzecz nie pojantá“.

— W szkole juź téż ksiajżá ni mają takiego prawa, jek przedtam. To téż niedziw, że dzieci sia teraz tak psują, a kiedy na drodze sia spotkam z jakim chłopcam, to ani czápki przedemną staram nie styjnie, ani Boga nie pochwáli jek to dáwni bywało, a dziewczáki téż nie lepsze, — chyba przed jakim pankam to przebakną „guten Tag“ abo „guten Abend“ choc zrana — a kiedy wyjdą ze szkoły, to takie głupsie, jek szpak, a po mniecku to téż jano tak długo, póki febel w rangku trzymają, bo za rok, za dwa, to zabáczą, czego sia nałuczyły, a nie zrozumiały. Co to téż z tego wyrośnie! Toć i já równo nauczyłam sia po mniecku cytać, a i rozmózić w pubzieda z Mniamcam moga, chocam sia w szkole náziancy po polsku łuczyli; bo téż nauczyciel náma mniamczyzna po polsku wykłádał i słowa łobjaśniáł, co znaczą, ale teraz to ciałsto do naszych dzieci takich nauczycieli przysyłają, co ani słowa po polsku nie łumieją, to też dzieci sia z nimi rozmózić ni mogą; chyba dziecko, co ma dobry talant i mocno psilne jest, nałuczy sia tego wszystkiego, czego wymagają z łobrázków.

A co to dopsiero ksiádz na náłuce z takimi dziećiami má za bzieda, co po polsku cytać ni mogą a mniemiecki nauki nie rozumieją. Jábym nie chciáł być w jego ramnianiu, bobym cierpliwości do tego nimiáł. Żeby to też przynájmnij religiji łuczyli w szkołach po polsku, jek to teraz bodáj nakázáł sám minister w Poznańskam.



— Téz tam jenaksze zuchy, jek łu nájú, nie takie Bujki — wysila się Butryński — rzną, że aż radość, pálą z góry práwda w łoczy, że sia aż serce śnieje, kiedy sia cytá w „Przyjacielu“ abo w „Psielgrzymie“. Kieby to my takich śniałych łobrońców mieli!

— Može i náma łurosna, pociesza Jakób — jano wytrwałości, zimny krsi i zdania sia na wolá Bozá; toć sia i z naszy strony traszą do szkół, a tam ci sia równo czego nałuczyć muszą. Czyś nie słuchál, jek pára lát tamu 35 sztudentów z Brunsberka wyszło do drugich szkół, że do starokatolika Wollmanna na nałuka chodzić nie chciało? Z takich chłopaków wyrosną náma zuchy łobrońce?

Tymczasem przynoszą c z w a r t á strawę: „rantowną psieczonkę“, dobrze zaprawioną cebulą i solą, do niej zaś nieunikniony chrzan i kartofle.

Tu ciotka Luca z pod Jonkowa nie może powstrzymać zasłużonej pochwały i rzecze do nadchodzącej gospodyni:

— Dotrasiułaś tą rantoziną, oj dotrasiułaś; chrzán taki má cisty smak, że i já pojąć go moga, ale przyrzyj sia jano Butryńskamu, tan go tká, jek sieczka; czy łu wájú na łogrodzie rośnie chrzán?

— Rośnie — odpowiada gospodyni, pełna radości, że gościom tak do lubu — zaraz za budynkam na łogrodzie, i to taki długi, że go przełamuwać musiwa. Kiebyšta na wasz kiermas chcieli z kruszyna, to wáma Elzka może jiść łukopać, choćby i „Palmową kruszyna“.

— Co to je „Palmowa kruszyna?“ — pyta Butryński, liżąc resztki chrzanu z talerza i z palców.

— To je tyle — odpowiada Linowski, patrząc niedwuznacznie na niego i na talerz — żeby sztéry konie miały co ciągnąć. Bo nieboszczyk Palma to zazwyczaj buł máziál na fóra w żytnych drábziach, że to „kruszyna“ i łon nazwoziuł we dwa konie tyle, co drugi we sztéry, a kiedyś go zapytał to co, łodpoziedał ci zawdy: buł tam kruszyna pszanicy, kruszyna jańcznianiú, łowsu i żyta, choc miał pełne stogi i bro-



gi, a „kruszyna“ mniodu zawoził na kiermas śwenty Anny do Wátamborka i miał go nâ pumiasta.

— To práwda — przytakuje wartemborska wujna — co rok tén Palmowski przyjeżdżał i do mne na gnadem konu z tem mnodem, zawdym kupsiuła od nego, mnerzył suto i dał tano, bynde zięcy razy mnód tu nego zamáziać i pociestuje go ryntownym mnensem.

— Ná ne? waść Ługwałdzka, dobroćko?

— Bo mnie nie waście ani nie dobroćkujcie — zastrzega się Ługwałdzka.

— Nakci i w Biskupcu i w Łolstynie tak sie wysłáziają — wtrąca zbierając resztki czwartej strawy Wiewiórka ze Stańslewa.

Ja bych wołała wáma lepsi co ło łony wojnie w Bredynku poziedać, kiebyšta mne słuchać chcieli.

— Chcewa — wołają różne głósy.

— To wyście Zieziórka ze Stańslewa i graniczycie z Bredynkiem, pyta się ciekawie ciotka Luca.

— Tak jest, nazywają mne Zieziórką, ale já sie psisze z łojca: Wiewiórka. Tak jek wy mówita: Ziach, my Ziech, a łon sie psisze: Wiech. Ale to wszo jedno. Pan Bóg náma mowe dał, a człek ni może za przydatki od swej matki. Po nastach (w Bredynku, Rydbachu: po niastach) mózią waść, dobroćko, pany (pani), my zieszczuchy (wieszczanie) w Stańslezie, Bredynku, Stryjezie, Węgoju móziwa „ty“, na starszych „wy“; taki parady zaś, jek w wysoki mozie polski: „daj mi Pan, nie bierz mi Pani za złe“ my nie znáwa; lecz to wciórko na to samó wyjdzie.

— A jek wás bábka tu do náju przyprowadziuła z tak dalekâ — pyta dalej ciotka Luca.

— Jam sie tu wżenyła (wżeniła, wyszła za mąż) i rada na kiermasach i weselach pomógám, kiej mne zawołają.

— Já m słucháł, że w Stańslezie kościół budować bandą — wtrąca Purdzki.

— To daleka toń jeszcze\*), a zdályby sie, bo do

\*) Kościół w Stańslewie zbudowano dopiero 1907, w Warpanach półtory mili od Stańslewa 1922.



Biskupca putory nili, do Śwentolipki trzy nile; pożał sie Boże, ty ciężki drogi w psiańsku.

— Teraz niech Zieziórka ło ty wojnie w Bredynku nâma co pozie, niecierpliwi się Pajtuński.

— A ło ty krwawy wojnie kiele nâju! Słuchâjta jeno, co nasze łojcozie ło ni pozieduwali, prawi „Zieziórka“.

W Bredynku buło bagno w środku wsi i mun na końcu. Cała zież tam wode brała, gęsi, kaczkki chowała, w lato bzielili w zime na lodzie sie cieszyli. Mynarzozi łorâz sie pomarzuło (w czerwcu roku 1863) to bagno spuścić i na łąke wysuszyć, a mun rozebrać. Ludzie tego dopuścić nie chcieli, chłopy łuzbroili sie w rydle, cepy, kosy i parę flint i robotom przeszkadzali, kobziety siadły na line dla nowego rowu i kopać nie dały. Tedy mynarz sprowadził wojsko z Rastemborka, dobrze przyjął i żołnierze łustali na górcie, gdzie teraz stoi szkoła i strzelili 3 razy do ludzi na rozie. Padło na mniejscu 10, potem i na domy strzelano, a pomerło późni jeszcze 4 ziency łod kulów i pików żołnierskich, powstał płacz i lament i sądy . . .

I zapanowała głucha cisza przy stole; z razu nie chciano wierzyć, żeby żołnierze takie nieszczęście na ubogi lud sprowadzić mogli.

Lecz „Zieziórka“, pewna swej wiedzy dodaje:

— Nakci zaraz landrata odwołano i dano mu „czarnego łorâ“, żołnierzy przeniesiono przed zemstą w inne strony. Łumerłych w Biskupcu razem pochowano. Na górcie w Bredynku zbudowano małą kaplicę na pamniâtkę. Po wojnie długo trwało, nim sie naród łuspokojuł . . . Mynârz wygrał, spuścił bagno, mniâł łąke i niepokój sumnienia . . .\*)

„Zieziórka“ skończyła, goście zwolna przychodzą do siebie.

Tymczasem nowy przynoszą „grycht“ Dzieci i kucharki dłużej wytrzymać nie mogą.

— Nakci, nâ ne? wciórko, wszo jedno kiele niastu — z cicha powtarza, chychając się pusty Micha-

\*) per. Dołatek.



łek i patrzy przez „spary“ palców, ale nikt nie zważa na malca.

Następuje piąte i szóste podanie: pieczonogęsi z cebulą, majranem, jabłuszkami tego natkane i prosiaczki także gustownie nadziane wątróbką z cebulą, pieprzem pachnącym i ostrym, jajeczkiem i tartą „cółtą“ (bułką). Do tego prażona kapusta i na życzenie chleb gruby, dalej zaprawiane wiśnie ogórki, borówki itp.; nawet musztardy (mustryku) nie zabrakło, chociaż na nią starsi patrzeć nie mogli.

— Szkoda, że to tak dobrze zaprawione, szkoda, że najlepsze na łostatku — ubolewa Kazimierz Ługwałdski — łoczki by rade chciały, ale gardełko już ni może. Jeki ło mniły zapach zalatuje — też to różno i kucharka ta gospodyni.

Jakby na boleść Butryńskiemu, który się szczęśliwie przegryzł przez wszystkie 6 potraw, teraz już też zwąłtał, przynoszą jeszcze dziesięcfuntową szynkę i zajączynę; lecz to już czynią więcej na okaz obfitości, niż na dalszy pokarm; bo tu

Obfitość sadowi się wszędzie,  
Jakby kurów po grzędzie.

Patrząc z upodobaniem na te wyborne potrawy, nie zakończają jeszcze obiadu, lecz gwarzą różnie i rozmaicie.

— Mój dziadku — prowadzi dalej Gietrzwałdzka — wspominaliście, jek to teraz ciężko na tych książy, alec równo tacy niegodni nie jestewa,\*) żebym już książy dostać ni mnieli, i ja codzień prosza Najśw. Pannę, żeby i z naszy fameliji ksiądz wyszed, choćaż sia teraż na tych sztudentów skarżą, że to paradne i letkomyślne darmożjady, którym sia robić nie chce a ciałsto i łuczyć — przy tam łojca moc psieniandzy kosztują. Já to mojego zawdy łodmaziám, żeby nie dał swoich chłopców do szkół, bo tam sia jano rozpsują.

\*) Jestewa rzadko w „a“ djalekcie zachodzi; częstsza forma jest tu: my są i sąwa = jesteśmy.



— Mászci ty poniekąd prawda, moja córko — odpowiada staruszek — w tych terazniejszych szkołach to sia rozmaitości nauczają, aleć Bogu dziangki słuhać i to dobrych sztudantach, i to pewnie już tak zawdy na świecie bywało — kieby jano ta sztuderacyjá teraz nie była taká trudná, kiedy to teraz bez mniamczyzny ani rusz — nawet nie przyją, kiedy chto ni może dobrze po mniecku; a z kąd sia nauczyć, kiedy na wsi nicht po mniecku nie gádá, a w szkole mocno mało teraz po polsku łuczają; ciałsto nauczyciela polskie dzieci po mniecku nie rozumieją i tak nie tyle sia nauczają jek dáwni, kiedy było na jedny stronie po polsku, na drugi po mniecku; chyba że chtóry chłopsiec mocno łutalantowany i na łósówne chodzi godziny, abo jidzie na pára lát w mniamce. Ale co to teraz za koszt to sztudowanie. Já jeszcze pamniantám, jek mój siasiad Hajsieck swojego Frącka woział do szkół — do gamazyi — czy jek tam te gimnazyje nazywają — to na gbura było snadni, wygodni i nie za gwált kosztowało; bo żywność zaraz mu wziął ze sobą: korzec pszaniczy, pára korcy żyta i kartofłów, kila mac krup, jańczniani i grochu, do tego z pu półcia szpaku i pára złotych na świeże mniajso, za stancyjá i łobstuga zapłacił dziesiańć tálérów, na ksiąjżki i szkólne też tyle — i to wystarczuło na cały rok. A z tego Hajśkowego Frącka co to dzisiáj za pàn! — Klebán co het panie!

— Do sto drábziów, wtrąca Jedam, toć i my máwa sztudanta w rodzie, Jekubzie, jek mu téz jidzie?

— Łonamuć dobrze, ale mnie to zawdy gorzy, wyrzeka drapiąc się w głowę Jakub. — Kieby to i teraz, mój Jedamie, wozic sztudantom korce i do płácać rocznie ze trzydzieści tálérów, toby to letko było sztudanta wychować, ale za mojego musiałam już na mniższych klasach płácić rocznie sto trzydzieści tálérów nie rachując łobleki, a w wyższych to i do dwustu dojdzie, jek ma pocieszâ. Aż mi włosy wstają na głózie, jeżeli pomysła, zem już teraz ze wszystkich kątów zeszkrobáć, com w młodych latach naciúłać a tu nie zieda skąd tyle brać, a pożyczyc



tobym nie chciał, choćbym miał przy nógorszy robocie chléb wodą potákać. Nie dawno przedáłam konia i dostáłam trzysta sztérynáście złotych — alem je prazie zdołał łobejrzyć i już po nich — jekby w palce trzas. Zresztą mám nadzieja w Bogu, przytam jestem wesóły, a w polu to zaspiewám i pocieszám sia zawdy tam, że to równo jekoś bandzie. Nie przymuszálamci mojego syna do szkół, ale sám chciał, a że mu sia tam dobrze powodzi, to niech sia tedy w imia Boskie łuczy dali, aż do czerwony czápki (abiturjentom na Warmji wsadzają czerwone czapki).

— A na co téż má wolá późni wyjść, zapytuje się ciekawie stryj Wojtek z Purdy może na ksiandza, abo na doktora?

— Já go ło to jeszcze nie pytał, odpowiada z powagą Jakub, jano go zawdy napominám, że má wziąć Pana Boga na pomoc, to mu na dobre wyjdzie, a przymuszać do żadnego stánu go nie banda, aby ni mnieć za to łodpozedzialności przed Bogam. Matulka toćby sobie życzuła, żeby łostał ksiandzam i goráco ło to Boga prosi i już łod samy młodości łosierowała go Bogu na służba, ale já ji nigdy nie káza ło tam do niego wspominać, jano ta całá rzecz na Boga zdać, niech sia Jego wola śwanta dzieje.

— Mój Boże — wzdycha linowska ciotka, która co dopiero przybyła z kościoła i zasiadła do stołu kiebym téż go ráz kiedyś mogła łobaczyć przy łutárzu, coby to za radość buła ná cały fameliji. Zidziałam go dzisiaj w kościele; a na smantárzu przyszed do mnie, mile ma przyzitał, zaprászał przyjemnie w imia rodziców na kiermas. I nic mi nie pomogła wymówka, że „od nájú już tam dość bańdzie“; „tem lepiej, to się uweselim wszyscy razem“ móziúł. Jeki to przyjemny, a jek mu to na pana przystanie! Bułby przyszed ze mną, ale miał sia jeszcze z ksiandzami przyzitać, bo ksiajża lubią takich sztudentów, a jeszcze teraz, kiedy ich tak brák, a ich tak mało. Wszańdzie łodmáziają teraz sztudentów iść na ksiajstwo.

— A kiedy do wájú przyjechał?



— Wczoraj cioteczko — wyrwała się Baśka. — A kiebyście jano ziedzieli jek przyjechali? Na p o d s o b n y c h , psiechotę z Łolstyna z kolei, bo nie psisali, kiedy po niego jechać. Matulka rozczyniała prazie kuchy, a ja ji blachy zносиła z komory. Wtam wchodzi braciszek i tak naju wesoło pozdrązi: „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. Szczęść wam Boże, żeby wam się dobre kuchy zrodziły! Czy mnie chcecie do pomocy?“ Matulka sia żegná, nie chce zierzyć swojam łoczom, że to łon. Ale ja go zaraz poznała, doskoczyła do szyji i tak uściskała: „A do czegoś, braciszku, nie psisali po furmánka, toć ty ziész, że łojczulek zawdy gotów po ciebie postać, a náchantni sám jechać.“ „Wiem, moja siostrzyczko, lecz teraz konie mają w polu pracę a ja młody i zdrowy“. Tedy i matulka do siebie przyszła i dali do niego. „Mój synie, jakąś ty náma radość spraziu!, żeś na kiermas ściągnął. Jekiś ty biedny, jেকেsty schud do niepoznania! Czy ci tam lichu jeść dają, czyś buł chory, czyś sia tyle łuczyć musiał? Toćeś klasa pewno przeszedł, boś taki wesoły?“ I ścisła naju łoboje i z radości dycht zabáczuła, że má pełne rance ciasta, to téż naju tak niam oblepsiuła, że jek łojczulek i bracia wešli do izby, sia dość naśniác z naju ni mogli. Wszyscy by do niego, a łon tu bziátam ciastam łoblepsiony. Za to też dzisiáj braciszka zaprowadza náprzód do łogrodu i pokaża mu czerzieniutki śliwki jego, bo jedno drzewo łojczulek zawdy ná niego łogániál i náma nie kázál z niego rwać. Patrzcie jano ciotko przez łokno, jek sia czerzianią, to dlá mojego braciszka. Jeki łon rád bańdzie, kiedy je mu pokáża, bo łon lubzi ziśnie i śliwki. Nie pojmuja, co łon tak długo porábziá, wcale sia ni moga doczekać na tego mojego braciszka.

W tem wchodzi g o s p o d y n i , a przekonawszy się jednym rzutem oka, że gościom obiad nie schodzi gani jedynaczkę.

— Ná, ná trzpsiotku, jużeś sia znowu rozgádała, zamiast gości poráczyć, to ty jich jeszcze bałamucisz. Ryby jeszczem chciała przynieść, takim duże klanie



i szczupaki dostali ze Szkandy, a z bartajżkowego jeziora mniejsze łokónki i płociczki, i z Łyny smaczne wangorze i reki.

— Bo ciotki nie chcą już mniajsa ani ryb — to na zieczerzá; — ale łostaziąją sia na krupy, abo réz z mniodem — przebakła nieśmiało jedynaczka.

I tak tedy następuje si ó d m y i ostatni „grycht“; gęsty ryż, lub gryz, kasza albo krupy gotowane w mleku, z kanelą, przysłodzone miodem, słodkimi migdałami t koryntami. To właściwie potrawa dla kobiet, ale i „majszczyzny nie dają sia do niej rączyc“. Tu najwięcej pochwał sypią na umiejętną gospodynię, że się nie przypaliły, chociaż krupy są „łosobliwe do tego i mają cianki nos“, że „tak prazie ziedziała łodpilić, przyrządzić“ itd.

Wtem wchodzi linowski Jánek z żonką Mazurką z Grzeżrółk pod Pasymem.

Zaraz Purdzki się wrywa i woła do nich:

— Pództa, pództa, siádájta na mojam mniejscu, bo já na krupy nie kozák, a i mój siójsiád z Butryn wáma zrumuje, bo łon już dali ni może.

Butryński cokolwiek ponuro patrzy i — wspartszy się obiema rękami o krawędź stołu wstaje. Janek z żoną siadają do krup i do innych „resztków grychtów“ hojnie im podawanych. Ale ciekawy Wojtek nie lubi się spokojnie przyglądać i już się odzywa:

— Janku, poziedzze náma, jek wáma tam jidzie na Mazurach. I nasi by tam zaženili kogo z przyjácieli.

Janek „pomykając“ prędko, a zwykle mało mówiąc odpowiada:

— Robzić trzeba wszańdzie, to wszańdzie dobrze bańdzie — i jađł dalej.

— A kiedyšta przyjechali z tak daleka?

— Wczora zieczoram na noc do Linowa, bom dzisiáj chcieli do spoziedzi.

— A tošta głodni, jedz jano, bo twoja matula téz praziórnje przyszła i do krup sia wzięła. Ale twoja żonka niech náma co pozie, bo já lubzia ta ma-



zurską gądką, choć Mazurzy „scypją“, jakam się dość nasłuchał łód mojego pastora z Krzywonogi — pod Pasymam, a łońskiego roku miałem dziewczynkę z Mniełuk, gdzie też tak scypią, boć Purda, Purdka, Purdeczka i Purdulka czyli Zapurdka — tu odpoczął — graniczą z Mazurami.

— Aboć to prawda, Wojtku! Ty łiesz, ty machlujesz, aż się kurzy, aż bąki trzeszczą, patrz tyło, tam jedan we środku aż się zginą, bąka z pod grzepy jeszcze urażony Butryński.

— Zierz mu tą razą — upomina Linowska — Wojciechu wytłómacz mu to.

— Taki twardy siostrze muszą łuzierzyć, choćbym pome, ale ty Maćku grąj: Wojtku tłómacz się z twojami Purdami.

— No, toć kiedy chceta, to ma mąta, ale dobrze słuchająta, bo ksiądz jano rąz kázanie pozie. Tak tedy: já mieszkám w Purdzie, to jest Dużą Purda, mieszkám za kościołam; ziesz terąz Butryniaku?

— Ziam!

Dali: za mojam polam pod Grąsk stoi mun nad purdzkam jezioram, to jest Zapurdka, abo Purdulka, ziesz?

— Ziam!

— Kiedy przejdiesz przez ławy na strudze przy Marcinkozie jesteś w Purdce, to jest Mała Purda, a za nią mieszká nadleśnik na wybudowaniu przy lesie pod Kośno, to jest Purdeczka, ziesz?

— Ziam terąz i zierza wszystko — przywtarza Butryński.

Młoda Mazurka tak serdecznie przyjęta w rodzinie warmijskiej, najadłszy się prędko rozpatruje się w tem niewinnem, pobożnem i wesołym gronie i uważnie przysłuchuje się serdecznym rozmowom miłych gości i gospodarstwa. Wolałaby tak długo słuchać i ucieszać się w bliższem i dalszem powinowactwie.

Ale ciekawy Wojtek pragnął dowiedzieć się więcej o Mazurach, o ich roli, gospodarstwach, o ich nauce i mowie, którą tak „lubił“ — i tak zagadnął Ewę:



— Poziedz że nam też co, Jewko, ło waszych łokolicach, kościołach i łodpustach — a wy, szurki, kiedy wy gałgany sia łodwżyta śniac z mazurski mowy, to dostanieta zaraz harapam.

Taką zachętą bogatego wuja ośmielona Mazurka z Grzegorzólk zaczyna prędko i wymownie: — „scypać“, czyli jak na Śląsku to zowią „syceć“ (syczeć).

— Otoz, coz wám mám poziedzieć, kiej esce mało ziem.

Na te parę słów mazurskich już kpi Michałek i „marczy“ z cicha: co já ziam, to poziam, „otoz, kiej esce“ i kiwa do drugich chłopców.

Ewa nie zauważyła tego i ciągnie dalej:

U nas duzo piasecku i torfaków i mało máwa pozytku scególnie w susą. Mokry rok dla nas jes lepsy, dla tego mózią Mazury: „siej doły, siej góry, bo nie wies, jaki jes rok który“; ale wyzywić się u nas zawse można, zwłaszcza, kiej zona gorzałki nie pije, a esce lepsi, kiedy i męscyzna nie zerák jek mój mężulek, to tez juz pod lepse'm konie przyšli, i mnożą się nam krowecki i łoziecki, gensi i gonsacki, kacki i kacocki, kury i kurcenta, jegniacki i prosiacki, cielacki i zrebacki.

Ale zidzę na W a r n i j i esce lepse wso, a co nálepse, ze tu ani bziąłki, ani dziewczyny, ani dzieci gorzałki do gęby nie wezmą, a nawet u chłopów mało pijaków, nie tak jek u nas na Mazurach, gdzie chłop drzewo do niasta wywozi a zonka len w fartusku do karcmi wynosi i — przepesija, drogi cas tracą a w domu dzieci płacą. Mazury są dobrowolne ludzie, ale kieby ich odzwycaić od gorzałki i pijaństwa.

Kościółceek mamy nowy w Pasynie i w Dźwierzutach, od nas z Grzegorzólk prazie ta sama droga. Tu ks. Klement, tam ks. Stefan zbierali na łodpustach i kiermasach na śwentej Warniji, gospodarze warnijskie zwozili darmo drzewo ze swoich lasów i cegłę, my kanienie i wapno —

— I my, i my! — wołają różne głosy wujów i ciotek, a stary Jakób zacisza...



— Bóg wam zielgi zapłać! — dziękuje Ewa i dodaje: A teraz cokolwiek esce o skole i nauce wam poziom. Tu nam na zal wsędzie rugują mowę naszą a mnożą niemczynę. Mózia, ze mowa mazurska, to nie polska, a my myśliwa, ze mowa nasa należy do polski mowy, jek i wasa na Warniji, bom rozumieli dziś w Bartęgu księdza na kazaniu, który praził z psisma, jek u nas w Pasynie, w Dźwierzutach, jek w Purdzie na łodpuście w Przemienienie pańskie, i św. Rozalii, jek w Świętolipce Piotra Pawła i Nawiedzenia Najśw. Maryi Panny, gdzie z polskimi ludźmi z zagranicy się ugadamy i zrozumiemy jek my dziś tu na kiermasie na Warniji.

W skole ucyłam się dobrze, ale musiałam za wceśnie do domu, bo za prędko mi — m a t e c z k a z d e c h l i.

Niezwykły na Warmji wyraz mazurski „mateczka zdechli“ (zamiast: matka lub matulka umarła, lub Bogu ducha oddała) zrobił tu wrażenie nie do opisanja.

Pusty Michałek zaraz od pierwszego „esce“ dygając nogami lub paluszkami mrugnął oczkami bezskutecznie na karne małe towarzystwo „ryzał się“ na całe gardło, ale i teraz bezskutecznie — małeństwo nie zrozumiało jeszcze sytuacji, ciotki poważnie wargi gryzły, wujowie wąs kręcili, a stryj Wojtek, czysto ogolony jak ksiądz, gładził sobie piękny włos nad uchem i silnie nosem ruszał, a zapominając o łarapie na Michałka „psioruny morowe“ ukradkiem szepnął.

W tej ciężkiej chwili nadchodzi wybawczy głos dziatka lamkowskiego:

— Dzieci! za siuła tego, wstańta do pacierza — woła — podziangkować Bogu za dary a gospodarstwu za szczeroc i urządzanie kiermasu.

I wstali mówić pacierz. Zmówiwszy, jednym chórem wołają: „Bóg zapłać za łobziąd“, na co gospodarz: „Żebyšta go zdrowo jedli“. Potem dzieci z ciotką Lucą jadły, o po nasyceniu tych zamieciono „gnaty“ z pod stołów i z pod ławy — dobry korzec.



#### 4. Po obiedzie — w ogrodzie.

Więc rozeszli się goście, każdy „we swa“, żeby „sia przezietrzyć“ gdzie mu się spodobało. Jedni poszli na podwórze, drudzy do gumien aby zobaczyć żywiznę gospodarza — lecz najwięcej udało się do ogrodu po za domem — „na jepka, na kruszki i na śwaczki i śliwki“.

Ogrody warmijskie nie odznaczają się zwykle owym ładem w urządzeniu i wielką obfitością najrozmaitszych drzew i roślin, jak angielskie i włoskie, lecz tem więcej znane są z wygody i pożytku, który przynoszą ludziom i bydłu. Lichy to gospodarz, jaki parcelant chyba, coby nie miał ogrodu przed oknem — przy budynkach. Tu znajdują się drzewa „co już lat nie baczą“, dwustuletnie i starsze grusze, rosochate jabłonie, mechowate śliwki (śwaczki) i płomy, a około ogrodu przy płocie jakby nieprzebyte wieniec wiśni, największa i pierwsza coroczna radość dla „malców“, na ustroniu na północ („morczyznę“) ogromne klony i jesiony, woniejące lipy, różne jarzębiny, między któremi mieszają się białe brzozy szumiące, drżące osy i nieodbyte wierzby smutne i wesołe, krzywe i proste.

Do tego sadu przyłącza się pasieka i ogródek dla warzywa, starannie pleciankami ubezpieczony — wyłączna własność warmijskiej gospodyni. Tu rosną bujne pory, ogórki, cebula, chrzan, pietruszka, gorczyca, sałata, banie, majran, brukiew, rzepa, nasienna marchew, konopie, fasola (szabelbon), słoneczniki, róże, janki, agrest — i stoją ule i koszyki dla pracowitych pszczołek.

Tu znoszą pracowite roje  
Zdobycze swoje.

A bagienko na niedalekim bielniku dostarcza pragnącym owadom i roślinom obfitej wody.

Do tych ogrodów przenieśli się goście po obiedzie, gawędząc, przyglądając się — jak komu lubo było.



## 5. Gry dzieci.

Młodzi z cygarami w ustach czają się za starszych, żeby ciotki młodocianego nie spostrzegły wybryku. Ale darmo. Już doleciał Linowską, która miała delikatny nos i mimo szczyrby parę ostrych zębów, niezwyčajny dym hawany trzyfenigowej; — już marszczy brwi, a patrząc „z pod grzepy“ spogląda „zyzem“ na młodych nierozumnych palaczy, którzy „smekcą“ i ciągną i wachają a później oddają.

Już się zaczęła złościć i srożyć, już i słowa słuchać było: „lepsiby wzięli jebko, kruszka, marchew abo brukiew w zamby, niż to cygarzysko“ . . .

Kiedy Baśka z rotą zdrowych i wesołych dzieci leci pod „matulcyná kruszka“, skacząc wkoło niej jak sarneczka żartka i woła: „Chto mnie dogoni? chto ze mną w koło?“ I ustawia je to w „łasiczkę“ to w „ślepą babkę“ itp. gry niewinne. To śpiewają: „Raz dwa trzy, panna w krosna patrzy, przyleciała, gruchotała jenalija, gromelija — buf!“ to latają i skakają, rześko, wesoło, doprowadzając nawet stare ciotki i poważnych wujów do śmiechu. Tylko Waleśka z miasta, nie znając pasieki, ciekawie za daleko doszła i pukała do uła, z kąd wyleciała pszczołka i gruchnęła ją w sam zadarty nosek, nie dbając o jej bóle i krzyki. Nie pomogła ucieczka, żądło już tkwiało a drobny nosek rozplaszczał się do niepoznania.

Było tam uciechy, ze trzy miechy i węborek — ale w tem gospodarz zawołał: „Teraz prosza wszystkich na niszpór!“ i pošli znowu do izby, dzieci na wyścigi ze starymi — przed starymi.

## 6. Nieszpory.

W domu Jakubowym odprawiano co niedzielę i święto po obiedzie ze służącemi i z dziećmi nieszpory, ponieważ do kościoła było za daleko.

Za koroną na podniebieniu leżało dużo książek i książeczek z nieszporami, drukowanych i pisanych. Gospodarz sięgnął paczkę całą i wołał: „pódźta po



kantyczki do niszporu!“ A Baśka i Dośka pomagały chyżo rozdawać.

Gdy się wszyscy zaopatrzyli, zapytuje Jakub:

— A co za niszpór weźniam na dzisiejszą łuroczystość Łopatrzości Boski, czy nowy gietrzwałdzki „Rzekł Pan Panu memu“, czy: „Pójdźcież wszyscy Boga chętnie wychwalajmy“, czy też nasz stary warnijski: „Wychwalaj duszo moja Stwórcę twójego, bo wszystkie dzieła jego są dobre, wielkie i cudów pełne“?

I wołali jakby jednogłośnie:

— Dziś stary warnijski, bo to nápsiankniejszy!

I usadowili się wszyscy wkoło stołów, nasadzając poważne miny, chrząkając gardłem i trąbiąc nosami, żeby były czyste, a dzieci stały jak wryte przy starych dulcząc w papiery i czekając cierpliwie na zaczęcie.

W tem zanucił ojciec Jakub swym miękkim głosem, nie za wysoko, nie za nisko, boć był przepowiadaczem przy ofiarach i solistą w godzinkach do N. P.: „Boże pomóż mi się modlić“ a wszyscy zaraz całą siłą ujęli, że aż okna zadrżały i anioły z radości się śmiały: „Pomóż mi święte imię twoje chwalić i wielbić . . . Chwała Ojcu, Synowi, Duchowi św. O Boże, w tych godzinach wieczornych przyjmij chwałę od pokornych . . . Niech cnota nie wie o wieczorze, niech w nas jaśnieje jak zorze, a tak Panie za twą pomocą, nie zaśniemy wieczną nocą“.

Po tem wspaniałem zaproszeniu śpiewają I. Psalm o Stwórcy i stworzeniu nieba, ziemi z niczego, człowieka, którego stworzył na obraz swój i dał mu duszę nieśmiertelną, aby go ta znała, chwaliła, miłowała i wraz z ciałem z nim na wieki królowała. Wszystkie zwierzęta, ptactwo i ryby, lilje i różne kwiaty, słońce, księżyc i gwiazdy, nasze pola, role i łąki Bóg stworzył i je utrzymuje . . . Prawdziwie moc twoja nie ma granic; mądrość i dobroć twoja równie jak ty sam jest nieskończona.

Podobnie ślicznie wychwała II. Psalm Boga odkupiciela: „Tak Bóg umiłował świat: iż nam jedy-



nego Syna swojego zesłał aby każdy, który weń wierzy nie zginął, ale miał żywot wieczny, więc „Dziękujemyć Jezu Chryste za twe nauki, przykłady i prace podjęte dla nas, dziękujemy za mękę i śmierć, któreś wycierpiał dla zbawienia naszego“ — a III. Psalm chwali Boga Ducha św. poświęciela: „Nie dosyć, iż Bóg człeka stworzył i syn Boży go odkupił, ale chciał, aby był cały czysty i łaską jego poświęcony. To sprawił Bóg Duch św. od Ojca i Syna nam zesłany, który we dni świąteczne na apostoły zstąpił... Boże Duchu przenajświętszy, tyś i mnie na chrzcie św. poświęcił i teraz mnie poświęcasz w pokucie i w innych sakramentach. Dalej proszę o 7 darów jego.

IV. Psalm uwielbia sprawiedliwość Boga sędziego. Człowieka można łatwo kłamstwem oszukać, ale Bóg wie wszystkie myśli i skrytości serc przenikać. Jednak u niego jest wzgląd na króla i na żebraka. Biada tym, co źle czynią a nie poprawują się, bo ci na sądzie postawieni będą po lewicy i padnie na nie wyrok potępienia. Wieczna radość tym, co staną po prawicy jego, bo im rzeknie „Pójdźcie błogostawieni ojca mego, osiągnijcie królestwo niebieskie“. O gdyby każdy z nas wiernych do tych szczęśliwych należał!

V. Psalm każe chwalić P. Boga wszystkim stworzeniom w niebie i na ziemi... Aniołowie i święci, ludzie, młodzieńcy i panny, niemowlęta, starzy i młodzi Pana chwalcie, wystawiajcie św. imię Jego.

Nie opuścili też i hymnu zawierającego wyznania wiary, nadziei i miłości. — Po hymnie odpoczęli nieco a dzieci zaraz ciekawie się pytały, co to słowo znaczy, co owo, czego nie rozumiały.

Potem na nogi powstali, Marji słodkiem śpiewaniem zarznęli wspaniałe Magnificat. „Wielbi dusza moja Pana. Albowiem uczynił mi wielkie rzeczy, który mocen jest. A miłosierdzie jego od narodu do narodu. Pokazał moc w ramieniu swoim, rozproszył pyszne myślą serca ich. Złożył mocarze z stolicy, a podwyższył pokorne. Łaknące napęłnił dobrami, a bogacze próżne odprawił“.



I zrozumiały te wysokie myśli i słowa nawet dzieci, bo Duch Boży był między nimi.

Po Antyfonie „Witaj królowa“ goście chcieli słuchać pieśń o Opatrzności Boskiej, a dzieci uprosiły skoczną pieśń o świętych Pannach, — których było jedenaście tysięcy, albo jeszcze więcej, gdzie św. Rozalja rączkami wywija, a za nią bieży chuciusieńko Anastazy.

Tedy pobierano rychło kantyczki i księgi drukowane i pisane i położono na stare miejsce za koronę na podniebienie, bo kucharki już stawiały filiżanki i dzbany z pachnącą kawą i kuchni i miód i masło. Każdy sobie mazał i maczał zbolące od śpiewu gardło, nie dając sobie do rozmów czasu, bo wuję wybierali się jeszcze w pole, ciotki za zapiecek, młodzi w karty a dzieci w żarty znowu — na ogród.

Tylko Pajtuńska przy kawie pyta się wstydliwie i żałośnie:

Jekubzie, skąd twoje dzieci sia tak raźnie po polsku cytać nauczyley, nasze to jano dajcz, bo w szkole jam zakazują po polsku!

— I bziją za polską mowę! — wołało kilka głosów na raz. Taflą dają w kiesiań i różne sigle nam sprąziają“.

— I łu naju już nie łuczają — odpowiada Jakub — ale w domu dzieci nasze mózią razem z náma páciez i spsiewają, jek dziś abo i zieczorami, matka przypsili, boć we dnie ciasu ni ma. A że i psismo cytają, do robzią listki łod sztudanta, który łod samy młodości do domu i do drugich po polsku pisuje, a nawet adresy polskie wysyła, zamiast „frei“ pisze „opłacone“. Matulce te listki tak sia łudały, że je przytula do serca i pokazuje dzieciom, żeby i łone tak psianknie i wyraźnie psisały; a łone cytają i cytają aż nareście wycytają. Tedy je długo przy sobzie nosi i znowu cytá i chowá i wzdychá: kieby go jano nie łufycili za ta polszczyzna, łon je za łodwážny. I já go tak napominám, żeby sia strzeg, coby mu aby nie zaszkodziuło, ale łon na to łodpozie ci żwawo: „Ojczulku:



Wiara, język dar to święty  
Dał go Bóg sam niepojęty  
Więc ratujcie, bądźcie żwawi,  
Pan Bóg wam pobłogosławi“.

— To to wejta równo zuch — dodaje radośnie  
Dywicka ciotka — takich náma brák na Warniji, aby  
z tubakierka!

I rozeszli się „kázdy we swa“.

### 7. Karciarze.

Przy k a w i e namawiali się niektórzy zajrzeć na  
pole aby tam dary Boskie obejrzyć; ciotki tymczasem  
chciały się ugadać na osobnem miejscu. Tylko jeden  
z wujów i kilku paniczów, ci nie chcieli ani słuchać  
o polu i o ugadaniu się. Mieli oni co innego „za  
pazuchą“, lecz żaden o kartach nie chciał naj-  
pierw wspomnieć — z bojaźni przed ciotkami.

Zabawne jest przypatrywać się zabiegom karciarzy,  
aby się zmówić, a nie być od innych, których to nie  
ma obchodzić, zrozumianym. Jeden spogląda na  
drugiego, mruga oczami, bije w stół, tupa nogą,  
siedzi niespokojnie, robi palcem różne krzyże, piki,  
serca, zera i inne misterne znaki na stole lub na  
piersiach. Nareszcie wrywa się Jochim:

— No jek tam Kuba, pewnia sia trzeba pomo-  
dlić w ksiąjźce ze szteroma królami.

Do tego dodaje stryj Wojtek:

— To pewnie je weźniam.

Na co Kuba linowski:

— A toć możam spróbować, żeby nie zabaczyć.  
Jánku poszukaj jano ty febli.

Lecz Linowska i na takich migach zna się i  
woła niecierpliwie do towarzyszek:

— Pódźta ze mną za z â p s i e c e k , boć ci już  
znowu w te karciska sia chcą sparzyć. Já to już na  
te karty patrzeć ni moga, bo ta gra to jest bez koń-  
ca, choć zawdy tego samego. Karty taki dziwny po-  
ciąg mają, że sia nie naprzykrzą, czam dłuży, tam  
gorzy sia zaprzątną, aż jam pot wystampuje na łusina



(czoło) i na całą gamba (twarz), łączy czerzanieją, marszczą się i łupercie wlepsiąją się w karty. Chto przegrá, nie chce przestać w graniu, jano łodegrać, chto wygrá, nie chce przegrać i łoddać, ale dograć ziancy. W K o m i n k a c h \*) to bodáj aż po dwa dni i dwa noce za jednam posiedzaniem w wista grają . . . „Chto grywa w karty, miewa łeb łobdarty“.

Kieby téż student nádszed, zaspiewáłyby psieśń to kartach:

Bo w karty zabawa to nágorsza gra  
Człoziek traci psieniądze  
Człoziek traci cias  
A tan co je wygrywá  
Stroi żarty z nas.

Oj głupsie wy karciárze. Jeszcze się nicht z kart nie zbogacił . . .

Lecz gra już nieunikniona, bo Jankowi się udało gdzieś na szafie karty zdybać. Wyjmuje z pod wianka i wesoło i śmiało woła (bo ciotki wyszły):

— Tu máta karty, możeta grać w kasztelána, we psa, w dziada, w czárneho Psiotra, w sznur, mur, bur, bazylorum, w sześcdziesiąt sześć, czy w solo, czy . . .

— No w co teráz pudziewa, czy w zechsunzechcyk? woła Jochimek.

— A nie, to mi za komudno! (nudno).

— No, to w zoło!

— To to jół!

— A wy wuju jek?

— Mnie to wszystko jedno, byle się zabazić.

— A chto ma náprzód wydawać?

— Jek zawdy, chto dostanie szalnego dupka.\*\*)

Janek wydaje dwa razy po cztery karty i pyta się:

— U kogo szalny dupek?

— Já go ni mám.

— Já téż nie.

— A to u wuja bańdzie?

---

\*) Bogata wieś pod Reszlem.

\*\*\*) Niźnik (pamfil).



— Jól, mám tego gałgana, nó to chwálta sia chłopczy!

— Já mám pytanie na szala.

— A já lepsi.

Trzeci wolno:

— A já mám tego kiele mostku\*) (ostrzej) gróts!

— zapowiada z nie małą dumą linowski Kuba.

— A chtórego tuza weźniesz?

— Chto má nálepszego!

Przytem nasadziwszy poważną minę, chciałby z twarzy wyczytać, kto ma najlepszego tuza, każdy mu się przymiła i oczy wyracza, bo każdy ma jednego tuza a wuj aż dwóch: szalnego i czerwienego. Aż gębę otworzył, żeby się nie przesłuchać, ale cóż, kiedy Kuba już wybrał i pyta się nie dwuznacznie:

— Co robzi pykowy do łobuch!?)\*\*)

Na to odzywa się Janek z radością:

— Koler\*\*\*) trófi!\*)

Miał on siódemkę i trzy inne żołędzie do tego winnego tuza, a Kuba szpickopa\*\*) i bastę,\*\*\*) tak że niepodobna było przegrać z trzema matadorami i z tylu atutami, nawet „premyję“\*) dostali, bo Jochim zagrał czerwieną ósemkę, którego koloru Janek nie miał, to ją też zaraz żoładnym niżnikiem „korsnął“.

Koniec końcem wuj z Jochimem musieli zaplącić.

Tak i podobnie bawili się ci czterej w karty, a że grali z natężoną atencją i zapałem lepszej rzeczy godnym o tem świadczyły cygara, które palili zimno, to jest bez ognia, albo raczej smektali, tak że jedna z ciótek przechodząc mogła Kubie zarzucić:

\*) W pewnej wsi mieszkał przy moście gospodarz „Gross“, srogi karciaz.

\*\*) Do obydwóch — o żołędnej (szpickop) i pikowej czyli winnej damy (basta).

\*\*\*) U nas kolier, kraje i żołędź używają naprzemian zamiast tref — najwyższy i najdroższy kolor.

\*) Atut.

\*\*) Żołędną damę.

\*\*\*) Winną damę.

\*) Pierwsze pięć bitek.



— Brzydaku, jużes sia dycht starfuniuł, tak żujesz to cygarzysko — ziesz ty, Mazury to prymują.

O tem świadczyło dalej wywietrzałe piwo w szklankach i nic tam nie pomogło raczenie gospodarza, tylko wuj „tu wotu“ tabaczki zażył z rozpaczy że mu się tak źle działo, na co jednak młodzi nie zważali, tylko niemiłosiernie wygrane trojaczki od niego ściągali; a kiedy im nie dość prędko płacił, to się i odzywali i go raczyli; gdy zaś na stole przed nim nic nie widzieli, to go żartobliwie tręcali i wołali:

— Wujku, do woruszka!

Wuj był też bogaty i nie miał żadnych dzieci.

### 8. Ciotki.

Podczas kiedy tak w izbie przy dużym stole młode zuchy ogrywali bezdzietnego wuja bogatego i mało co rozumnego z wielkiego niewczasu przemówili, wyniosły się od nich oburzone ciotki do małej izdebki, z a p i e c k i e m nazwanej, gdzie przy długim białym piecu jedna tylko ława stała, przy stronach kilka stołków i dwa łóżka przykryte płachtami czterocelowymi, zielono czerwonymi. Tam długo siedziały te poważne matrony warmijskie, gawędząc o gospodarstwie, o dzieciach, o najnowszych wypadkach familijnych i okolicznych, i o tem i o owem.

— No jek tam, Gietrzwałdzká, jużesća wytkały? zapytuje pani domowa.

— Prazieć téż com w tamtan tydziań krosna wyniosły.

— A cošta tedy tak długo tkwały?

— Bodájci, łonoć sia co rok naciuć: to płótna ciankiego ze lnu ná náju dwa stuki, ná czeledzi grubszego ze zgrzebzi i paciesi sietom mandli to sukna swojskiego we dwa cepy sztery ściany, to sześć łobrusków i dwa płachty czerwone na łoże w sztery cepy i putora tuzina ranczników w łosiom cepów. Jużam i we trzy medytowały, alem ni mogły pótorać.

— Oj jest to roboty z tam kochanam Inam — skarży się gospodyni — to go rwać i klepać, łociesać z gruby i cianki szczotki, to przajść, a prządziwo



motać i szpulować, ze szpulk snować i na krosna przez rétki nazijać, tedy dokomantnie kłaść w nąple-tacze, dulczyć, że aż łączy kołą przy nabzieranu w mniciannice i płocha, rączyć wszystkich do zicią cewk — a dzieci to i bzić trzeba. Sama tedy ciskáj czołnkam, depc podnóże, przyciągaj bzidła, że aż ło-kna żadrzą, krańc nawój kołowrotam, — a łono sia równo tylo pomału pomyká — krwawá robota. Prá-wda, kiedy mózią ludzie, że nie łodpokutuje przed Bogam tan złodziej, co koszula weźnie.

— Mász słusność, moja bratowá, jano do ty pracy przyłóż jeszcze wydátki przy rwaniu lnu i dra-paniu, przy zagrażaniu w wodzie i odpsilaniu na ro-sie, przy terciu i klepaniu, gdzie i surgály i migdály, i psiwo i żywo — na zieczór w tány, kiedy Wojtek jeki na flecte abo na harmoniji zaświergoli, że aż boli.

— Kiedy to młodzieź zawdy pochopniejszá do tńca niż do rózańca — ubolewa Spręcowska. — Młodzieź trzeba strzedz i bronić jek łoka w głozie. Co ja moji Marychnie nagádám, że má siedzić w do-mu kiele mnie, że to siulka słodyczy, niesie beczka goryczy; cóż pomoże, człoziek ledwo sia łobejrzy, już ji ni ma. Mózią ludzie, że

Psianknym posagiem dlá dzieatek  
Są cnoty łojców i matek,

ale ta nie ziam w kogo sia wylangła.

— A tyś wcále ni mogła nogą przedeptać, kie-dyś młodą buła? — przestrzega Butryńska. — Bądź kontanta, masz dobrá córka, ludzie ją nájrzą i dopy-tują sia ło nia. Jano ji tczyj i puság zbieráj. Nie słuchałaś, jek dziś purdzki wuj móziuł, że dobrá żona, to dar Boski, a:

Gdzie ludzkie przekleństwa  
Tam ni ma błogostazieństwa?

— Słuchałamci, aleć i ty ło tam ziesz, jek to na wszystkie strony sia trzeba łogładać, niż sia wydá dziecko swoje, bo



Łatwo sia łożanic  
Ale trudno rozżanic; chyba  
Kiedy dzieci rodziców posłuchają  
Zawdy jeszcze nálepsi mają.

— Já téż wás zawdy posłuchám, moja kochana matulku — rzecze naiwnie Nulka i przytula się dziecinnie do matki, co jej bardzo pięknie przystaje.

— Moje wdziaczne dziecko — wzdycha ze łąą w oku matka — kiebym já cia téż kiedyś szczęśliwą zidziała!

I rozczuliły się wszystkie.

— Nulku, czy to práwda — przerywa powstałe stąd milczenie Brąswałdzka — że mász wolá wyjść ná Mazury\*) na gryka? Boć tam na psiáchach chyba gryka sia rodzi!

— Mám, ciotko — odpowiada wstydliwie Nulka.

— To wejcie tak, moja ciotko — dodaje broniąc Nulki Józefkowa z Wielbarka — wy sia boicie Mniamców, a my Mazurów, a jednak za nich wychodziwa. Jek wy tam śwatujeta z tami Mniamcami, Koślinami,\*\*) tego já nie ziam, pewnie wáma i w domu po polsku zakázują, boć w kościele to już wszystko musi jiść podług jich woli, i spiew i pácierz. Jábym takiego chłopa nauczula moresu, coby mnie lub dzieciom mojam chciał zakázac po polsku gádac, abo mózić pácierz. To już u náju na Mazurach lepsi. Mój Józek zwoła na zieczór dzieci i cieladniki do wspólnego pácierza, tedy Warniják i Mazur móžia głośno pospołu polski różaniec i na piesień polská nieráz

---

\*) Lud warmijski zwie „Mazurami“ piaszczystą ziemię protestancko-mazowiecką, jako téż i ludność mazurską, lubiącą nazbyt gorzałkę, dla tego się nieco lekko o ziemi i o mieszkańcach jej wyraża.

\*\*) „Koślinami“ nazywają Warmjacy prosty lud niemiecki, raniczący z polską Warmją. Słowo to pochodzi z niemieckiego Käsler lub Köslauer, którym to dżalektem mówi znaczna część niemieckich Warmijczyków — kolonistów ze Śląska (może z Koźła, po niemiecku Kosel?) Według drugiej wersji słowo Käsler pochodzi od kolonistów z Flandrji, Holandji, gdzie robią ser = Käse. Pod Brunsberkiem mówią dżalektem kiezlawskim (Käslauer) pod Gutsztatem dżalektem wrocławskim (Breslauer).



ciasu stanie. Bo Mazurzy ni mogą po mniecku i są dobre i wdziaczne ludzie, dopóki gorzalki ni zidzą; to brzydastwo musiałyby jam policyją zakazać. Ksiądz Szadowski náma nad strugą Sawicą nowy kościół wybuduje jek w Opaleńcu. Już zwożą kamianie, cegła i drzewo.

— Za życia nieodżałowanego ksiandza Kałpowicza i tu náju były jansze ciasy — zawołała z goryczą Brązwałdzka i zamilkła . .

— Kochana ciotko — pociesza Lijska — bez przeszkód sia i w Zielbarku nie łobeszło. Już tam zakázali zwońić trzy razy na Aniół Pański, zakázali kościół stáziać, bo jano kaplica pozwolili, ale ksiądz Szadowski sia jich nie boi: jek przegrał w Zielbarku i Łolstynie łoddáł jech na sąd aż do Lipska i tak wygrał. Teraz bańdzie kościół ze zwonica, bo i kaplice nie jene są duże i mają zwonice.

— Jekes ty Lisko do Mazur przyszła? — pyta się ciekawie Gietrzwałdzka.

Za Lijską bierze słowo teściowa jej Butryńska i tak rzecz przedstawia:

— W tych ciasach trzeba sia dobrze łogładać, żeby dzieci wydać na niepogorsze miejsca, a jeszcze, kiedy komu Pan Bóg dáł jich kilkoro, jek mnie. Tedy sia człozieku i markotno robzi. Chcesz je na duże miejsce, trzeba psieniandy szmat; — ni mász, musisz pożyczyc, ale jano:

Pożyczáj — to zły łobyczáj,

Bo tan chto łoddaje, jeszcze nałaje.

Dzielić zaś miejsca swego nigdy nie trzeba, bo to jano przyprowadza familiją całą w ubóstwo i niezgoda. Miejscowy musi zawdy náziancy dostać, bo łód niego wszyscy ciągną nieráz aż do śmierci. Rodziców musi chować i łopatrzać, a kiedy jam przydzie łostro, to musi regularnie całą wymowa wydawać abo jeszcze daleko wywozić, ale to jest zawdy lichy znak. Przyjadą dzieci do rodziców — nigdy z próznami rangkoma nie łodjadą, a to wszystko z miejscowego. Zdarzy sia w rodzinie łupádek — już



do miejscowego ło poreda i ło pomoc. Poćwiertujesz miejsce — rozplanisz ło bóstwo. Tedy powstaną takie Wyłudzie, Zaskierki, Cwykielnie, Zarośle, Dziuchy, Wopy, Gieleki, takie Biedowo, Torbowo, Zazdrość, Muchorowo i. t. p. Jek grzyby siedzą w około wsiów te małe parcelanty na ziemi i pod ziemią. Na Wyłudzie razu drogi ni mają, jano stecki, bo jam woza nie brák. A kiedy ksiądz do chorego sia trasi, to po miedzach, górach i łoparczyskach jechać abo i jić musi. Ráz w zima sąd zjechał do taki parceli; sądosi i ich psisarki musieli śleść z sani i w kożuchach i ciankich skorzankach brnąć w śniegu do chałupy. Pochorowali sia bodáj potam wszyscy na katár i długi niezyd.\*) — W jedny wsi żydy porozdzierali dwa duże miejsca na drobne parcele — i wysli na swoje, bo te nigdy nie stracą; ale łogrodnicy siedzą teráz jek krety na łokopach i ryją i paszczą w bziędzie. Na te dwa miejsca mózią teráz ludzie Mec i Strasburk, bo tam wyglądá jek w fortecach. Kieby lepsi te ślachestwa koło nájú zamianili na wsie i porosprzedawali po dwa po trzy włóki, to bym dzieciom naszym dobre miejsca pokupali; bo z tych dużych majątków to pewnie i król nic nimá i Pán Bóg. Zarządzić stamtąd dziewczka lub parobka nikomu bym nie redziufa. Nálepsic to ze swojami pracować.

— Ale cóz tu róbzić, kiedy dorosną i wydać by trzeba? doświadcza Gietrzwałdzka.

— Tedy — ciągnie dalej Butryńska — trzeba sia łogłądać za dobrami ludziami i porządnam miejscam na Warniji, a kiedy sia na cias nie zdarzy, dobrać z pocziwy fameliji pára, dać dzieciom nalezną jam ciałc i kupsic łodpoziedne miejsce na Mazurach. Tam sia zawdy ło miejsce dopytá. Bo tam, gdzie lubią za głamboko w sklánka patrzyć i gorzáłka tykać bandą wszańdzie zawada. Kieby nie ta iskra, co ją w gardle zawdy gasić trzeba — a łona nie wygaszona! Dopóki psijaki trzeźwami, dobrami ludziami

---

\*) niezyd = Steinschnupien.



nie łostaną i nie wyrzekną się gorzalki na całe życie, nigdy jam dobrze nie pudzie.

— Takie miejsce mój kupsiuł ná Józefka za sztery tysiące tálerów. Jest tam roli na puczworthy włóki i las, woda, łoparczyska i torf.

— A to ne brák tam wody kupać, jek w Gryźlinach, gdzie tyło jeden rzaps i dwa żurazie\*) na całą zieś i to jeszcze skąpe, wtrąca Wartemborska.

— Polać były, práwda, nie łobsiane — opowiada dalej Butryńska — gumna, choc nowe, ale próżne, żadnego bydła i żadnego sprzężaju, dom murowany, ale łokna w niam wszystkie powybijane, żadny żywy duszy tam łod puroku już nie buło.

— Przecież Józek się nie łulák, zrobziuł w domu huczne wesele, pojechał tam z dobrą gospodynią, zaczął szykować na gołam miejscu i wojować tak, że dzisiáj jest już na co patrzyć. „Sceść Bozel“, tak przyzitali go Mazury — i poszczęściuł mu Pán Bóg. Rośnie mu nietyło gryka ale i jańczniań i jansze zboże. Bo já zawdy mózia: gbur niech się jano trzymá rangkami i nogami ziami swoji, niech ty nigdy z rąk nie wydá. Co gbur, to mur — máziają.

— Já téż mám chańć łoddać Nulka moja w Mazury — wyjawia się teraz Gietrzwałdzka. — Z naszy wsi chce ją chtoś; mają swoją ciajšć złożyć, kupsić sobzie w jednam mnieście, gdzie już dużo mieszka katolików i gdzie już zbierają na nowy kościół.

— Te katolickie kościoły na Mazurach to náziancy warnijskie gospodarze budują — wypada Purdzka. — To zwożą kamianie, to cegły i drzewo, wszystko darmo, a na mularzów i cieśłów jeszcze z przytworka dołożą, i tak powstają na Mazurach wspanialsze kościoły, jek łu náju na Warniji. Tu w Butrynach' Purdzie Klebarku, Dyžitach, Brąswáldzie, w Gietrzwałdzie, w Sząbruku, Gryźlinach, koniecznie brák nowych kościołów, bo stare za małe, a tak ciajško się

\*) rzaps, studnia miałka, cysterna, żuraw studnia głęboka studnia ze słupem i gibaczką; często na Mazurach.



zebrać na nie; w Mazurach wnet kościół z samy żebraniwy wystają.

— Nie zazdroście biednym Mazurom tego, droga ciotko — prosi Józekowa Lijska rodem z Giław. — Kiebyście jeno ziedzieli, jek tam kościołów brák ná náju i ná Mazurów. Bo łoni, kiedy bziada, to do uaszego kościoła. My máziawa:

Kiedy nędza, to do księdza  
Kiedy trwoga, do Boga.

U Mazurów tak samo. Kiedy jem Pán Bóg ześle nie-szczeście w fameliji, w łoborze lub na polu, tedy przynoszą na msze śwentą, na pácierze łosierują siebie lub dzieci swoje do Przemienienia Pańskiego, do św. Walentego: bierzają wody śwencony z kościołów naszych, kropsią w domach i na polach, przecierają sobzie nią chore łoczy i rany, łodmązają katolickie modlitwy i pácierze, spsiewają katolickie psieśnie i chodzą (ale náziency pokryjomu) na łodpusty do Śwentolipki, do Biskupca, do Purdy, Butryn, Gryżlin i do Gietzwałda. Niejeden już i łotwarcie katolikiem łostał; ale w sercu to łoni rycho wszyscy myślą, czują i modlą sie, jek my i mózią, że im to pomoże.

— Jól, jól, Lijsko, potwierdza Gietrzwałdzka, jek łu waju pod Pasymam, Szczytnam i Zielbarkam tak i łu náju pod Łolstynkam i Łostródam myślą i robzią Mazury. Niejedni nawet nasze posty zachowują. I já zaczynám zierzyć, kiedy stary Jedam i Hajsiek łopoziedują, że Mazury kiedyś wszyscy katolikami byli i że te stare kościoły w mazurskich miastach i wsiach przez katolików zbudowane są. Hajsiek mózi, że w podrózach swoich w tych kościołach stare łutárze, łobrazy i figury katolickie zidziął. — A Jedam stary cytował w jich biblijach i kancyjonatach i móziuf, że to wszystko takie podobne do naszego, że chyba z naszego wziante. Psieśni tam kila naláz, jek je dziś jeszcze w naszych kościołach spsiewawa; tylo wszystko buło jenakszami literami drukowane, podobne do mniamnieckich, nazwają to drukam starokrakow-



skam. Jano sakramantów śwantych jek my i mszy śwantej, co náma jest námilszam i náswantszam, tego łoni wcale ni mają.

— Jeká to szkoda, woła Linowska, łoni gádają jek my, czują jek my — a nie zierzają jek my! Mojam dzieciom káza já co dziań w pációrku dodać, żeby Pán Bóg wszystkich do jedności ziary doprowadzić raczuł.

— Lijsko, poziedzże náma jeszcze co ło tych Mazurach, miandyzy chtórami ci sia tak mocno łudało. Czy łoni sia wyśniewają z naszy ziary?

— Kiedy się łupsiją, toć różnie łolekają — opowiada Lijska — to i różnie przemózią do náju, ale zawdy jekby ze strachem. A że ziedzą, iż my jem dáwa pokój i ło jech zierze ani náma do myśli nie przydzie, stąd zgoda i jedność, że aż mniło. Na szołtysów ciensto wybierają katolików; na stypach<sup>\*)</sup> i giełdach<sup>\*\*</sup>) łobok siebie bez podejrzenia siadają i zabáziają sia. Łoni sami mózią, że już teráz tak źle ło naju nie myślą, kiedy náju i ziare naszą lepsi poznali. Jeden Bóg i wso<sup>\*\*\*</sup>) jedna ziara“ — máziają. Námac to do główy nie chce jiść, że to wsio jedna ziara, bo jeden Pán Jezus jeno jedne mógl założyc práwdziwą ziare a nie ziency. Ale my się ło to nie spsieráwa, bo chto nie chce do náju przystać, temu wszystka naszá gádka nic nie pomoże, chyba kiedy Pán Bóg misyjonárzów jem ześle.

— A jek te Mazury gádają? — jeszcze pyta się ciekawie Nulka Lijski.

• — Tak, jek i my na Warniji, jeno po kruszynie „scypsią“. Na „szczęść Boże“ mózią „sceść Boże“<sup>\*)</sup>

<sup>\*)</sup> Stypa = uczta w domu lub w karczmie wsi kóscielnej po pogrzebie.

<sup>\*\*</sup>) Giełda = wyrównanie wydatków i dochodów wiejskich z końcem roku. Co zostanie, przepija się.

<sup>\*\*\*</sup>) Wso, wszo = wszystko.

<sup>\*)</sup> Powyższe pozdrowienie, które w całym pruskim Mazowszu codziennie pomiędzy mazurską ludnością przy spotykaniu się lub przy pracy słyszeć można, zawiera wszystkie trzy właściwości dźwięku mazurskiego: sz = s; cz = c; ź = z; właściwość ta jest także główną różnicą zbliżonych do siebie



na „Boże pomagáj“ — „Boże dopomóz“, na szczygła — scygieł, na moze — moze, na morze mówią jek my.

— To sia razu tak lichu nie słuchá — wtrąca Nulka.

— Nie, nie Nulku, do tego się wnet przyzwyczajisz, já już też z niemi próbuję scypać — potwierdza Lijska.

— Czy łoni i po mniecku szwargocą? — dokumentuje się Brąswałdzka.

— I gdzie tam! chłopcy razu tyle ni moga, co nasze, a tu kobziet tobyšta i młotem nie łutłukli niemieckiego słowa. Tam i w szkołach zięcy polskiego łączą i do polskich kancjonałów wszystkie dzieci łostro przytrzymują.)\*

— No, niech to pojmuje, chto chce! — woła gniewnie Brąswałdzka — tu náju by polskość w łuzce wody łutopsili, a tu wáju łączą, gádają i spsiewają po polsku? Jeká to wolność na Mázurach być musi.

— Cioteczko, toć i my śpiewáwa — wrywa się Baśka. — Kiedy już nie w szkole, to w domu. Kiedy na zieczór łojczulek i bracia z pola abo z łobory przydą, tu siądą koło kominka, gdzie matulka warzy — a já drzążczki smolne kłada na łógiań, żeby było jasno — tedy łojczulek zanuci z ksiąjżki a bracia na trzy głosy pod niebziosy — matulka warzy i smarzy i pomagá nucić i já też pomagám. A kiedy dopsiero przydą gody:

Hej gody, gody, gody

Wnet tu bańdzie zino z wody

tedy bym już skończyć nie chcieli tego: „W źlobie leży“, „Bóg się rodzi, moc truchleje“, A wczora z wieczora z niebieskiego dwora“. — A po zieczerzy

---

poniekąd djalektów warmijskiego i mazurskiego. Mazur i Warmiak mówią: zino, psiwo, zietr (wiatr), zietrak, zielgi (wielki) („Bóg zielgi zapłać“ — kiedy dają), mózią, ziara; ale po warmijsku: móziul, łupsiuła się (albo: sia); = po mazursku; móził, upsila się. Buła = była, szczypsie = scypsie, czerwona czúpeczka = cerwona cápecka, żółty papsier = zołty papsier, czuła żona = cuła zonka, Szczepański = Scepek, Brzeszyński = Bzesczeński.

\*) Po roku 1886 zmieniło się to na niekorzyść mowy ojczystey.



to znowu książki do rangki i dalej „śpiewajmy, chwałę Bogu dajmy“, jek te pastuszki wesołe, co to rozłochocają małego Pana Jezusa i spiewam i graniam i

Nawet na kozłowym rogu  
Kryczą chwałę Bogu.

Já zawdy przy moji matulce stoja i dulcza w ji książka, a łona mi pokazuje słowa i łuczy spiewać. Małe słowa jużam w łostatná zima mogła zczytać, a kiedy rász spiewali „Aniół pasterzom mówił“, pokażała mi matulka duże „A“ i takam pomału już wszystkie duże litery pozbadła. I drudzy przychodzą do nájú i cytają i spiewają. Drzázg już za dnia wyszukám i kłada na psiec do łususzki — tedy sia páłá jek pochodnie i máwa przy kominie jasno jek w kościele.

Ráz Mazurki nocowały łú nájú przed łolstyńskam jermarkam czy targam. Siedziały na długi łazie za stołam i słuchały, jek my spiewali. Wtam já do nich: „Pódźta i wy kobzietki do psieca do nájú i pomóźta nájú Boga chwálić“. Przyszły i spiewały, że sia aż rozlegało. Mają dobre gardła te Mazurki. A jekie łone słociuchne! Na matulka muziły: „námnilsa, złotorna, jedwabna pani“, a na mnie: „ślicna panie-necko“.

Skończyła Baška, lecz Nulka więcejby jeszcze słyszała o ludziach i o ziemi, w której zamieszkać miała, dla tego prosi:

— Poziedz Barwuchno jeszcze co łó tych przyłepnych Mazurkach.

— Nie, już dość łó tam; teraz na ciebie kolój. Teraz ty poziedz łó twojch glandach\*), łó twojam łoddzie.\*\*\*) Czy i mnie zaprosisz na wesele? Czy by nie buła ze mnie szykowna przydánka?\*\*\*)

— Bąku ty, gromi matka, myśl łó pácierzu, a nie łó weselu i łó szykowności!

\*) Glandy (ględy) czyli zaręczyny, które na Warmji odprawiają przed kaptanem.

\*\*\*) Oddaw (łoddaw) czyli oddaziny tj. ślub w kościele.

\*\*\*) Przydánka tj. druchna.



— A wy matulku czyście sia nie radowali, kiedy w Łączkach<sup>\*)</sup> na waju mózili: piękne Warmijaczki? . . .

Plas — i dostało się Basi od matki w szczebiotliwą buzię za niewłaściwe słowa.

— Już to z tami dziećmi matka nâziancy wytrzymâ; siuła to nocy bezsannych, siuła trudu i kłopotu, niż jich łodchowâsz. Chandożysz i łuczysz — a łone zawdy swojego; kieby nie przyter i łostro nie nakliniul, toby sia z człozieka jeszcze wyśniały. Já téż zitki zawdy pod bątkiem mâm na pogotoziu, chocam mojam dziećiom mocno dobrâ jest. Starâ Bujnka to mnie zawdy tak połuczâła: „Bez rózgi nie łuchowâsz dobrych dzieći“. A já rada słuchâm starych ludzi, bo łoni ziedzâ co gâdâjâ i co robzjâ.

W tem bierze Baška rękę matki i rumieniâc się całuje ją i leci do dzieći.

Spostrzega to Dywicka i z wypogodzônâ twarzâ wtrâca:

— Gdzie teź to łone ciasy, kiedy my sia tak łucieszâły. Jek to psianknie przyglâdâc sia tam malcom. Za moji pamniañci to i dorostâ młodzieź w niedziela po łobziedzie wspólnie sia na wsi aż do niszporu baziuła: a nie buło tyle łobrazy boski, co terâz. W zima w śniegu, abo na lodzie na rozgâr-tach pod Łolstyn, w lato chłopâki na drodze „w kula“, dziwczâki przy drodze przyglâdâły sia i chwâlłły zgrabnych a ganiuły nieragów — ale kiedy zabrząkali na niszpór, to wszyscy na wyścigi do kościoła. Tedy buł spsiew świeży i wesoły, co radość; ale terâz dzieći, chochy chciały spsiewâc, cytać ni mogâ. Za to bonują i labują, robzjâ rozgardyjas, chwaliwory perzâ, jeżâ, paradują, krygują sia; psijâ, cygary pâlâ w karty grają — — wszâñdzie huczno, buczno a w psianty zimno. Za to przy robocie jano pesklajâ, to téż nic ni majâ wszystko jidzie w perzyna.

Nareszcie zmarszczyła się nie byle.

---

<sup>\*)</sup> Klasztor Łąkowski pod Lubawâ, dokâd przed walkâ kulturnâ corocznie dâżyła kompanja z Warmji.



— Ciotko, nie patrz że tak czarno, wtrąca mile gospodyni: czyś nie przysłuchała sia na dziesiętszam niszporze tam dzieciom, co teráz tak wesoło w mrugi, w lisa, w kula grają że i w niech jeszcze nasz duch jest?

— Mąta szczerá prawda — przytakuje Linowska — dzieci trzeba łostro przytrzymać, kiedy z nich chcesz mieć radość. Bo kiedy nie płaczą dzieci na rodziców w młodości, to płaczą rodzice na dzieci w starości. Znam já w parasi B. pochylonego grózek\*), chtëry sia nazywa Bujek. Tan sia bojął łuderzyć dzieci swoje, kiedy małe były. A teráz płacze na nie i chodzi po żebranam chlebie. Dzieci sia nie trzeba boić, jek tan Bujek, ale żwawam być na nie jek Bujna i żona jego. Nasz łojczulek nájú łostro trzymał i wszystkich téż do czego doprowadził. Niech mu Bóg za to stokrotnie wynagrodzi i śweci duszy jego.

— Oj bodáj, co to taki rodzic znaczy — przytakuje Ługwałdzka — dzieci go nigdy dość nie łutścią, łon jest w cani łú Boga i łú ludzi — nawet po śnierci.

— Jól siostró, pokazałóc sia to na pogrzebnie jego — opisuje dalej Dywicka. — Jano łumer, zaczęli sia schodzić ludzie i łodmáziać nad zwłokami jego trzy razy różaniec, a na zieczór spsiewali jeszcze „Z głambokości“, „Przez czyścowe łupálenie“, „Jezu Chryste Panie mniły“ i „Zieczny łodpoczynek“, a w pustá\*\*) noc tom spsiewali i modlili sia aż do zranku, aż kiedy zaczęli we wsi zwołować na pogrzeb i pod łoknami wołać: „Chto sia przysłuży łumerłamu, tamu sia przysłuży Pán Bóg.“\*\*\*) I zeszło sia ludzi kupeczka. Tedy m wyjechali i pošli, jek chto móg do wsi kościelny. Na przodku szed wóz z trumną.

\*) Grózek tj. dziadek.

\*\*) Pusta noc jest to ostatnia noc przed pogrzebem, którą cała w czuwaniu i modlitwie krewni umarłego i znajomi spędzają.

\*\*\*) Taki jest zwyczaj zapraszania po wsiach warmijskich na pogrzeb. Dalszych krewnych i powinowatych zaprasza się listownie przez pocztę, lub osobnego postańca na koniu, zwłaszcza, że komunikacja pocztowa pomiędzy sąsiednimi wsiami jest często bardzo powolna.



Przy krzyżem na smantárzu łustali, znieśli trumna na mary i czekali na ksiajży. Tedy zazwoniły zwony, pokazały sia chorągzie, dzieci szkólne z łorganistą i siedmiu ksiajży.

Kiedy sia zbliżyli zaspiewali żałobnam głosam psieśń:

Jezu Chryste Boże w ciele  
Dla mnieś cierpiał, prac, mąk ziele . . .\*)

### **Pieśń przy pogrzebie dorosłych.**

Jezu Chryste, Boże w ciele  
Dla mnieś cierpiał prac mąk wiele,  
Na krzyżuś się ofiarował,  
Abyś mi życie darował.

Proszę Cię dla gorzkiej męki,  
Nie wypuść mię z Twojej ręki,  
Przy ostatnim życia zgonie,  
Trzymaj mię w Twojej obronie.

Gdy mi kołem staną oczy,  
Głuchota uszy otoczy,  
Zapach wcale mi ustanie,  
A smak się gorzkością stanie ;

Gdy się język zacznie padać,  
Nie będę mógł sobą władać,  
Wtenczas, o Jezu, mój Boże,  
Niech mnie litość Twa wspomóże.

Przyjmij mą duszę do Siebie,  
Niech się z Tobą cieszy w niebie,  
I ciało gdy zmartwychwstanie,  
Niech Ci wiecznie służy, Panie.

---

\*) Pieśń „Jezu Chryste“ śpiewaną od niepamiętnych czasów na polskiej Warmji przy pogrzebach dorosłych, jako i drugą przy pogrzebach dzieci podajemy tu w całości. Podanie donosi, że dwie te oryginalne pieśni ułożyło dwóch kapłanów z Bartęga i Purdy na Warmji.



### Przy pogrzebie dzieci.

Rychło ze świata zebrane  
Dziecię rodziców kochane  
Wziąć do grobu dziś mamy.  
Co za boleść, co za smutek,  
Sprawiła śmierć, jej to skutek,  
Którego doznawamy.

Nie dawno na świat wydane,  
A już nie ma być widziane  
Od dziś więcej na świecie.  
Już zamknęło swe powieki,  
Nie chce świata znać na wieki,  
Jest z aniołami w poczecie.

Jestci jego śmierć dotkliwa,  
Ale dla niego szczęśliwa,  
Bo grzechu nie zaznało.  
Nie zostały po nim długi,  
Owszem zaraz bez zasługi  
Do nieba się dostało.

Wy rodzice, się smucicie,  
Kiedy ze łzami patrzycie,  
Że już dziecko bez duszy:  
Dusza wzięta jest do chwały  
Takiej, której nie słyszały  
Żadne śmiertelne uszy.

Dziecię nieba żyj w pokoju,  
Opływaj w rokoszy zdroju,  
Gdy się wiek twój tu skończył.  
My twe ciało pogrzebiemy,  
Boga wspólnie prosić będziemy,  
Aby nas z Tobą złączył,

potam spsiewał „Z głębokości“ po łacinie ksiądz przyjaciel, co go chował, na przemian z dziećmi, znanuciuł „exsultant Domino“, pokropsiuł i zaprowadziuł do kościoła na całe zilije. Po zilijach buło



kázanie, na chtóram mocnom sia spłakali, boć łumer-  
łych trzeba łopłakać, a jeszcze takich, ło których by  
sia nigdy zabáczyć ni mniało. Dopsiero mszá śwantá  
łukojuła náju nie mało; w ty to jest nálepszá pomoc  
i pociecha. Takam godnie zanieśli łojczulka do  
grobu. Stacje w kościele bandą pamniátką po niam.

Ale w domu to buło kucno po pogrzebzie. W  
każdym kącie, jekby czegoś brák buło. Wszańdzie  
matyjaszno, a w jizbach pusto, gdzie łumerły leżá;  
bo duch ducha czuje i tajszni sia za niam. Duszno  
buło łu náju kila niedziel po pogrzebzie.

— Aleć Bogu dziangki dobrze łumer — po-  
cieszka Spręcowska. — Ksiądz w łostatny chorobzie  
dwa razy go łopatruł, a kiedy zaczął konać, wszys-  
cym go łopstąpsili, a já łodczytała nad niam głośno  
„sietom zámków“. Tedy náju jeszcze ráz napomináł,  
żebym łostali dobrami, żebym sia ráz wszyscy w nieb-  
zie łobáczyli, dáł łostatne błogoszianstwo — i tak  
przykładnie Bogu ducha łoddáł.

Podczas tych smutno-poważnych rozmów „wy-  
mkła“ się Nulka do dużej izby, gdzie od niejakiegoś  
czasu „zátsnęła“\*) braciszka studenta i namówiła go  
kapryśne ciotki rozłochocić. Te jeszcze o różnych  
rzeczach gawędziły a najwięcej Gietrzwałdzka o ob-  
jawieniach gietrzwałdzkich.

Pozdrowił wszystkie raźnie, przywitał i pocało-  
wał w usta każdą z osobna. Ale też i z ócz i z min  
widać było, że mu są wszystkie bardzo życzliwe i do-  
bre — to by go też raz kiedyś chciały widzieć pa-  
nem, a że u ludu warmijskiego tylko ksiądz w pra-  
wdziwem tego słowa znaczeniu panem jest\*\*), więc też  
zaraz go się pytają:

— A kiedy náju zaprosisz na pierszá mszá, bo  
tego to łod dáwna szczerze sobzie życzywa.

Na co student z widoczną trwogą odpowiada:

---

\*) Spostrzegła.

\*\*) „Ksiądz to pan. — Przy ołtarzu jakby na Boga patrzył,  
a kiedy wezmą takiego, to jakby P. Jezusa wzięli“, tak tu mó-  
wią ludzie.



— Moje miłe ciotki, jabym wam rad tę wielką radość uczynił, lecz nie mogę nic przyobiecać, bo to jeszcze za długo i za dużo jeszcze wody do tego czasu upłynąć musi: to egzamin do czerwonej czapki, poczem jeszcze cztery lata w kamiennym domu\*) a jeżeli mię zabiorą na rok do wojska, to znowu dłużej, a jeszcze nie wiem, czy będę miał powołanie do kapłaństwa.

— A to ja tedy już tego nie doczekam — wzdycha Linowska.

I ja też nie, bo ja starsza — dodaje Ługwałdzka. — To też i połowa życia w tych murach trzeba dać się suszyć, niż na co wyjdzie; aleć tobie nie wadzi. ja już chudszych studentów zidziała. Czego wy się też tam tyle lat łuczyta?

— Rozmaitości, moja ciotko, zawsze jest co, a czem wyżej tem więcej; lecz to by was mało interesowało, gdybym wam tu wszystko miał rozkładać, o trójkątach, czworobokach, o fizyce, Cyceronie, o pisarzach całym gronie;

„Wejta jeno, co to tego,  
„Toć jak chleba powszedniego,

a dzisiaj nie czas na to; w kiermas to się trzeba radować i weselić między swoimi, których się cały rok nie widziało.

— Mász prawda mój sztudańciku — przytakuje zawsze wesoła Spręcowska — zaspiewaj jano náma co nowego, bo ja mocno rada spsiew słuchám, a studenty to bodáj mogą między sobą śliczne nuty wymyślać i kurlantki spsiewać.

Wesoły student nie dał się dużo raczyć . . . Tam było uciechy ze trzy miechy i duże półkorcze.

Lecz surowa ciotka linowska ostro patrzy na studenta i ostrzej jeszcze przysłuchuje się kurlantkom jego i wnet zdaje swój sąd mówiąc:

— Sztudańciku, przy takich niezinnych spsiewach i wesołościach możesz łostać ksiandzam i być mni-

\*) Seminarjum brunberskie, po większej części z kamieni zbudowane.



łam Bogu i ludziom; — ale terá náma poziedz, skąd ta prostá mowa naszá i co ty ziesz ło Gietrzwáldzie i ło łodpuście bartajskam.

— Kochane ciecie, trudne to są i nierozwiązane dotąd sprawy, lecz co o nich wiem, to powiem.

Każdy język, a więc i polski ma swoje odrębne dżalekty czyli narzecza. W niemieckiej mowie te różnice dżalektowe są jeszcze większe aniżeli w polskiej i to tak że Meklemburczyk i Hanowerczyk chyba z trudnością zmówi się ze Szwabem i Szwajcarem.

Dżalekty czyli narzecza mają swoje racje, z nich jak z świeżego źródłu odnawia się i odświeża język poprawny, literacki. Jak zaś pojedyncze dżalekty powstały, tego już trudno dociec, ponieważ rzecz ta zaszła w dawnych czasach, kiedy to mało było ludzi piśmiennych i sztuki drukowania jeszcze nie znali.

W naszych stronach w dawne czasy mieszkali pogańscy Prusini, naród podobnym językiem mówiący jak Litwini i Łotysze. Dawni Prusini dzielili się na kilka lub nawet kilkanaści szczepów i nawzajem się zabijali. Potem wielka ich moc poległa na wojnach z Krzyżakami. Reszta w przeciągu czasu złąła się to z kolonistami niemieckimi to z polskimi. Język staroprusiński dawno wymarł i zdaje się, że na lepiej wyrobione języki niemiecki i polski żadnego nie wywarł wpływu, z wyjątkiem chyba dość licznych prowincjonalizmów jak np. „kadyk“ (jałowiec).

Sprowadzeni z daleka przez Krzyżaków i biskupów koloniści niemieccy przynieśli ze sobą swoje narzecze rodzinne. I tak osadzeni około Brunsberka, Fromborka i Melzaka przybysze od Lubeki mówili dżalektem dolnoniemieckim, nazwanym także koślińskim (plattdeutsch, k ä s l a u i s c h). Koloniści zaś sprowadzeni ze Śląska, osiadli około Ornety, Gutsztatu, Licperka i Zyborka, posługują się narzeczem średnioniemieckim, nazwanym też wrocławskim (mitteldeutsch, b r e s l a u i s c h).

Kolonizacja polska w Starych Prusach (Altpreussen, Ostpreussen) rozpoczęła się także o około roku 1300 po Chrystusie. Do dziesiętych Mazur



napływała sąsiednia ludność z pogranicznego Mazowsza polskiego, gdzie było przepełnienie czyli nadmiar ludności, a w starych Prusach wskutek długoletnich wojen z hardymi Krzyżakami był wielki brak ludzi, mianowicie dla bartnictwa i gospodarstwa.

Warmijscy biskupi pochodzący ze Śląska sprowadzali z tamtąd z okolic Prudnika, Głogówka, Opola na zachód Warmji koło Olsztyna polskich kolonistów, o czym świadczy dzisiejsza mowa prosta, zwana a dżalektem. Nadto przybyli tudotąd polscy osadnicy z bliskiej ziemi chełmińskiej, lubawskiej i łomżyńskiej zwłaszcza z Kurpiów.

Po roku 1410 ym, kiedy Polacy i Litwini za króla Jagiełły pod Olsztynkiem Krzyżaków zbili i z Warmji wygnali, przybyli po raz drugi do spustoszonych stron naszych ludzie z tych samych okolic oprócz Śląska, mieszała się z pozostałą ludnością i od tych my pochodzimy.

Roku 1525 mistrz krzyżacki Albrecht został luterakiem i odebrał Mazurom wiarę katolicką, przez co ich tem więcej oddalił od katolickich Polaków i od Warmjaków.

— Tak to może być — potwierdza Linowska — uprawa lnu i płótna mawa ze Śląska, naszą gádka jest podobná do ty, co Ślązaczka miała, jek tu náju z płótnam chodziła, a czy pod Chełmnem tak gádają, nie ziam, bom tam nie buła; ale w Łączkach pod Lubawą, zieta wszystkie, że jenaczy gádają, bošta tam wszystkie były. A teraz poziedz náma, sztudańciku, co to są Kurpsie?

— Tak się nazywają — objaśnia student — mieszkańcy powiatu ostrołęckiego za Opaleńcem, Chorzelami Myszyniec w Polsce. Nazwisko swe otrzymali od odbuwia, które jest plecione z lipowego łyka a zwie się „kurpiami“. Mieszkają w tych miejscach, gdzie niegdyś rozciągały się puszcze, jak Biała Puszcza, Zielona, Myszyniecka, Czarna i zajmowali się z początku jedynie bartnictwem tj. pszczelnictwem i myślistwem tj. jegierką.



Kurpiarze odznaczają się otwartością, rzetelnością, pobożnością. W mowie Kurpie mazurzą czyli scypsią, jak Mazurzy, oprócz tego mówią: gajsi, bańdzie, śwanto i miękczą bardziej niż gramatyka przepisuje, naprzykład: siga, biały, zietr, psiwo, zino, jak pruscy Mazurzy na pograniczu Warmji i my Warmjacy.

— To prawda — odzywa się naraz kilka głosów — niejenu psielgrzymni w Gietrzwałdzie tak gądali, tylo my nie ziedzieli, skąd łoni — to z Kurpsia!

— A z tych stron właśnie — dodaje student — polscy biskupi sprowadzali kolonistów dla Warmji po zlutrzeniu Mazurów.

— A to ciekawe — odzywa się Pajtuńska — to tedy mowa warnijska i mazurska jest „rychtyczną“ mowa polską, a nie łosobną mazurską, jek rektorzy na Mazurach gądają. Ale czamu my nie scypsiem, kiedy Kurpsiarze szczypsią?

— Na Warmję — odpowiada student — polszczyzna dotarła z dwóch stron: z zachodu od Ostróda, Lubawy, Chełmna, z południa z Łomży od Kurpiarzy mazowieckich. Pewnie pierwsi polscy koloniści na Warmji mówili narzeczem śląskiem i chełmińskiem, dla tego do dziś dnia u nas nie mazurzą. Nieco później z południa napływali osadnicy z Mazowsza i wprost z Ostrołęki, Łomży, Kolna, Goniądza, Tykocina, jak księgi chrzestne i ślubne wykazują, ale że pierwotna mowa na Warmji nie mazurzyła, więc i późniejsi osadnicy nie zdołali przeprowadzić zmażurzenia, owszem i oni z czasem zaniechali tego i nie mówili już: Boże, nasa, capka, ale: Boże, nasza, czapka; albo: Bozie, nasia, ciapka, jak i teraz jeszcze mówią w Silicach, Patrykach itd. I zmiękczenie zostało, tak że mówim dzisiaj: zież, psiwo, zino, zieczór, ziertel, sigiel, psies.

Wyrobił się więc osobny dialekt polsko, warnijski uwydatniający się tem dobitniej, że na północ ogrodzony był przez Niemców — Koślinów, z drugich zaś stron od sąsiednich Mazurów, którzy wyznawali inną religję i należeli do innego państwa.



— Co też to łuczono ludzie wszo wymędrzą — wtrąca tu Stańslewska — aleć i na Warniji różnie wymáziają: jeni na „a“ — drudzy na „e.“ — Weno-wejcie, nakci u was pod Łolstynem gádają wszędzie na „a“, u nas w Stańslezie, Bredynku, Stryjezie, Węgoju, Łabusze, Raszęgu, pod Biskupem i Wartemborkiem aż do Lęgájn i Giław gádają na „e“. Poznać ptászka po psiórach.

— Ci ostatni z drugich pierwotnie okolic pochodzą — odwraca student — jak ci z „a“ djalektu i zachowali swoją dawniejszą właściwość.

W innych stronach i językach rzecz się ma podobnie, jak np. na Kaszubach, gdzie każda wioska nieco odmiennie mówi.

„A“-djalekt, tj. mówienie „całą gambą“, zachodzi także w drugich okolicach wśród włościan i jest w porównaniu do języka literackiego wymową bardzo prostą, chłopską, starą.

— Te Kaszuby też do nájú do Gietrzwałda przychodzą — woła Nulka — tych ciężko rozumieć, kiedy po swojamu gádają, a náciajzy Litsinów. Ci spsie-wają na trzy głósy, ale my jich nie rozumiewa. Czy i do nich Naśwantszá Panna po polsku rozmáziá? My wszyscy zierzywa w cuda, co sia dzieją w Gietrzwałdzie.

— Co ty poziesz na to, sztudańciku? — poważnie pytają się ciotki.

— Ma się rozumieć — oddaje tenże — iż Najświętsza Panna w każdym człowiekowi zrozumiałym języku mówić będzie, jeżeli tego zajdzie potrzeba z woli Bożej. W Lourdes mówiła 1854 do Bernadety 18 razy po francusku, w Niemczech po niemiecku jak czytamy w różnych objawieniach.

W Gietrzwałdzie więc, gdzie mieszka polska ludność, z pewnością mówiła, jeżeli tam się objawiła, po polsku do tamtejszych polskich dzieci i niewiast.

Nasza mowa nie jest najlichszą, żeby ją P. Bóg i Święci jego wyrzucali, jak to czynią nięślusznie zarozumiali ludzie, pyszałki. Jak inne tak i nasza mo-



wa od Pana Boga pochodzi i godna jest naszej pieczołowitości.

Co do cudów gietrzwałdzkich Kościoł nie jeszcze o nich nie orzekł, więc kto o nich przekonany może wierzyć w nie, kto nieprzekonany — drwić nie powinien. Szczęśliwy, kto jeszcze wierzyć może . . .

W Gietrzwałdzie się wiele ludzi nawróciło ze złej drogi, a to jest największym cudem dla grzesznika!

I w Bartęgu jest cudowny obraz Opatrzności Boskiej. Duże, piękne oko w środku w trójkącie Trójcy przenajświętszej wyraża, że Bóg wszystko widzi wie i zna. Bóg w nieograniczonej miłości swej do ludzi chce im pomódz, więc dzisiejszy śpiew pod gołym niebem:

Szczęśliwy kogo Opatrzność Boska  
Ma w swej opiece niech się nie troska;  
W żadnym przypadku ten nie szkoduję  
Kogo Opatrzność Boska piastuje.

Jak w kaplicy królewskiej w Gdańsku, w Toruniu itp. tak i w Bartęgu zaprowadzono bractwo do Opatrzności Boskiej, różnymi odpustami ubogacone, a że ten odpust bartęzki skuteczny, widać i dziś z niezmiernej liczby ludzi i ofiar.

— Já tan łodpust już co rok łodpsila — potwierdza Linowska — bo robzić w powszednie, a rozmáziać z Bogam w niedziele i śwanta i przyjąć go pokornie i ciałsto w komuniji, to prowadzi do nieba.

— I my są zapisisane w tam bractsie — dodają inne. \*)

— Chciałam ci jeszcze ło co zapytać sztudenta, aleć już wyszed.

— Baška po niego przysła, na śliwki — tłumaczy Nulka — tam w łogrodzie są dzieci, dziádek i ciotka Luca z Kašką na ranku.

Tedy się pyta Wartemborska:

— Czy to prawda, że na jesien w Spręcozie zdać chcą Marychne mnejsce?

---

\*) cf. Dodatek o bractwie Opatrzności Boskiej.



— A rając się, jak słuchać, i dziś po łodpuscie mieli jechać w rajby, może wnet glandy zrobią.

I jeszcze wiele miały dobre ciotki do opowiadania, do obradzenia, obżałowania. Nie wyszłoby im materiału choć przez cały wieczór i dłużej.

Przyjrzyjmy się teraz powolniejszym panom, co oni porabiają.

### 9. Wuje w polu.

Nareszcie się i powolni wujowie zebrali z gospodarzem do przechadzki w pole. Szli wygonem. Przy ogrodzie chłopcy w piłkę grali i do „kuli“ się zabierali, a dziewczęta różne gry z ciotką Lucą wymyślały. Opodał trzech jabłoni stanęli, patrząc na hojny owoc.

— Drzewa — chwali Ługwałdzki — latoś tak kściąły, jekby je bziałą płachtą łodzią, przy tam nie było żadnych przymrozków ani szturm, tylo mały zietrek poruszał ksiat, tak że się aż z niego kurzuło. To też mi się podług tego zdaje, że w tam roku łowocu bańdzie chmara i każdy łuje.

— I ja się z tego raduja — przytakuje białowłosy dziadek — bańdziam mnieli w poście co jeść, bo zawdy tylo z łolejem, to się i naprzykrzy. A nasze kobziety dobrze rozumieją łowoc suszyć, i nawet te leśne kruszki, kiedy się łulangną i dobrze łususzą, to lepsi smakuja, jek mniodówki.

— Ale kiedy ja słuchał — wtrąca Pajtuński — że to teraz już i w dużam poście można miajso jeść w niedziele i dwa razy w tydzian na łobziad, a łoprócz psiatków, zielgiego czwartku i zielgi soboty, co dzian tłustością máltychy zaskwarzać, choc moja matka nigdy tego nie łuczyni.

— I ja to słuchał, odwraca dziadek, ale nie wszystko co pozwolą, już zaraz czynić trzeba. Ja się banda trzymał starego zwyczaju i mój zianć mi też to łobziecał. Zresztą w naszym wsi nicht jeszcze w poście miajsa nie jada, i nawet w niedziele postne. Łojcozie nasi tego się trzymali, a długo żyli i to tylo chorobach nie słuchali co teraz. to też i my aby czam



sia możewa P. Bogu przyłużyć. A mój dziadek to w poście razu tubaki nie zażywał. „Niech téż i nos pości“, zwykle máziął, a stary Bastek i teraz w poście fajki nie páli choć ją tak nawet przy łoracze, koźbie i przy łukładaniu w siąsieku zawdy trzymá w zambach, to téż mu już dycht szczárniały — a Krogulów pastórz, stary Mazur, to przez cały post nie prymuje.

Ale patrza jano, jek te szurki sia rozlátały z tą kulą — kieby tak kula w małe dzieci trasiuła . . . a i dziewczáki są za wesołe — krzykają to w kutki, to w przyścionek, to w lisa i w ślepą babę. Ciotka Luca z Katrynką tam nic nie wskóra, puda do nich, a wy jidźta na pole.

I rozstali się.

Wuje wprost biegli na „Galik“ do lasku założonego przez Jakuba. Minęli chałupę i stodólkę dla ogrodników i pięć bagien w małych łączkach.

— Po co tu masz psiańć bagnów na tam małam kawałku, dwóch by dość buło — odzywa się najprzód bogaty Ługwałdzki.

— Masz práwda, Kaźnierku, zidzisz tan rów świeży łód chałupy pod Galik má spuścić i wysuszyć trzy pomniejsze stawki. Dáwni sia łó to nie dbało, bo tu psiáskowe plány, a życia buło dość z dobry roli za górą, ale teraz przez ta lupyna i seradela, co i na psiáskach rośnie, każdy kawałek roli sia łóbsiewá. Ty masz sześć włók i dobry roli do kolán a mordujesz sia nawet w zima łówożaniam łoparczysk Helgi i szykowaniem jich na łąki. Masz duży las a szanujesz go ná drugich, boć ci wymerły dzieci. Kiedy ty łóczy zamkniesz, wnet z twego dużego mniejsca bańdzie dziesiańć mniejsc na parcelach. Já ni mám lasu, jano w Gielekach brzózki na torfákach, tom zasadził je tu w lotne psiáski na Galiku i tam pod chudą łąką; bandą mnieli dzieci moje i wnuki pożytek, bo drzewo i torf z ciasam mocno w cana przydą. Teraz za tysiác torfu z przywózką ledwo dostaniesz trzy, za klafrą szczáp dwa tálery; to lichy zarobek, ale co poredzić, kiedy psieniandzy brák zawdy.



W tem weśli do lasku.

— Jek to sia raźnie przyjęły twoje brzózki z Gieleków, a i chojinki\*) i jeglijki\*\*) puszczają — chwali Kazimierz — tośty jest poranczny. Tu wnet psiasek łobrośnie, grzyby rosnać bandą a z czasam las powstanie.

— Dobrzeć — odpowiada Jakub — że już po separacyji, tam przy wsi były ryki\*\*\*) do laska siangały przecze, tam na działach zidzita teraz seperantów, siedzą jek żłoki\*), mogą na swojam gruncie siać i sadzić lasy i spuszczać i łobwozić kwasy, cale gospodarstwo w jednam kawale, nie jek przed separacyją we trzech lub szterech. Mądrość ludzka też robzi postampy.

— A w siuła ty pól gospodarujesz — pyta się Butryński.

— Jek stąd zidzita we trzy, ale tam daleko „pod ciárkami“ łobaczyta, że w sześć; a tan arendarz z pod sozi góry na królewskam dominium w łosióm. Dáwni należał tan majątek razam z Staram Dworam do kanowników we Fromborku i musieli nasi ludzi ze wsiów tam łodrąbziać pańszczyzna.

My sia tak przyglądawa tam ślachcicom i próbujewa łod nich sia dołuczyć. Łorzą trze\*\*) razy, coraż głambzi, gnoją dobrze z chlewa i kupnam gnojam, to jam też z kaduka rośnie wszystko dobrze. Myć tak nie możewa, ale po mału próbujewa i zawdy lepsi jidzie.

— A jek to jest w łosióm pól — dokumentuje się uporczywie Butryński.

— Já ci poziam, sfáku\*\*\*), jek ziam tak poziam — wtrąca wuj Kazimierz. W pierszam roku weźwa ługór, w końcu 3 razy łorać, gnojić, zasiać łozimina, tedy masz w drugam: łozimina, w trzeciam tartofle, w czwartam łozies i jańczniań, w psiątam groch (popruszyć choc letko gnojam) w szóstam łozimina, w siódmam konikóůz,\*) w łosmam páśnik. Tak wyjdzie

\*) sosna, \*\*) świerk lub jodła, \*\*\*) długie płoty, \*) duże pany, \*\*) trzy, \*\*\*) mąż siostry matki, \*) koniczyna.



osiom lát i tak można gospodarować w 8 szlagów. Możesz siać i jęńczy turządzić, siać lan,\*) seradela, lupyna,\*\*) abo jeszcze lepsi seradela abo lupyna podłorzysz i jeszcze kunsztownego gnoju posypsiesz, to ci łuorośnie i na psiasku żyto jęk trzcina. Spróbuj jano, to siać łopłaci.

— Kaźmierku, jednamu siać to zawdy łopłaci, ale prandzy tamu, co kunsztowny gnój sprzedaje — wtręca niedowierzając Pajtuński — a na polu różnie Bóg daje.

— A kiedy ty siejesz żyto i pszanica, Jekubzie — pyta Butryński sfak.

Około Matki Boski sięjny, przed łosmam wrześniam zwykle zaczyna; ślarchice już prandzy, ale przed psiątam też nie chcą. Stare gospodarze mąziają, że kantoporny siew koło sietomnástego września to nálezniejszy, bo kiedy prantki siew dostanie dwa abo trzy kolanka a do Gód\*\*\*) nie przydzie mróz i żyta siać nie wypasie — wymarznie. Pszanica bodaj wytrzymá ziancy.

Szli granicą przy porance, przeszli rów pod ciałkami, a Pajtuński, lubiący drwić ze wszystkiego, co zobaczy, przygląda się bystro, ale widząc rolę dobrze wyrobioną pod zasiew i już ognicę na niej puszczającą mruknął:

— Łudzie z nią; ługorowaná, można już zacząć siać przed Matką Boską sięjną.

Przeszli na drugi i trzeci szlag, gdzie kartofle, marchew, buraki, brukiew, kapusta, len, wika, biały i bury groch i reszty owsa nad łakami dojrzewały.

— Duże łaki, ale tu brák kupnego gnoju — spostrzega Michał — bo tu lichy putrów.

— Jół, na tych torfowych łakach zwykle lichá tráva, tu brák różności: przedewszystkam potrzasań workam . . . — przyświadczył gospodarz domowy i zaprowadził do drugich brzósok nad chudą łaką, gdzie spokojnie chodziło bydełko razem z owieczkami.

— Co tu zrobić z tą chudą niełurodzajną łaką? — pyta Jakub — Różne rady dawali,

\*) len, \*\*) łubin, \*\*\*) Gody = Boże Narodzenie.



jek mogli, jek chto ziedziął i nie ziedziął, ale gádął . . .

— Tu trzeba łobzieść psiąskam i zasiąć — radzi Butryński sfak.

— To nic nie pomoże — przeczy Pajtuński. — Czy nie zidzisz, że mniejscami woda z pod góry ciurkam leci, tu trzeba rórki włożyć.

— Próbowąłem, zalazły — oddaje Jakub — chocam rórki kładli w mech. Kruszynać pomogło na łuwrociach.

— To tak dali trzeba — zachęca Kazimierz. — Duży rów we środku niech łostanie, a małe rórki do niego też w końcach łotwarte łod łuwrociów na dole w mech kładzione, do góry\*) zakryte, tak powoli woda zleci i łąka wyschnie.

— Dzieci mi dorastają, tak zrobzia niź zdám — obieca domowy i zaprasza do nowo założonego lasku pod górką.

— Bracie, patrz, jek cia Bóg nájrzy\*\*) — woła stryj Andrzej — łoboma rączkami ci daje: brzozy rośną, choinki same jidą. Chorujesz, co prawda, ale nie kłopoc sia za ziele, nie myśl ło zdawce, przydzie cias, przydzie atłas.

Wyšli z lasku, z góry widać dokładnie miasto Olsztyn, Pozorty i inne majątki, separantów i dom rodzimy, z którego student im naprzeciwko idzie.

— Patrz jano — mówi Butryński — mý za lasami nic nie zidziwa, tu Łolstyn jek na talerzu leży; tam kościół, tam stary zámek, ław budynki, gasy, brama przed náma nowy klásztór nad Łyną z kapliczką we środku, mniejscami wkoło miasta zidać jeszcze stare mury, tam sia kurzy, to cegielnia, tam zielazná kolej z pod Gietrzwáldu jidzie, ta sama com nie dawno nią jechał — co za śliczny zidok!

— I patrzta tylo dali: za chudą łąką — co za pola, rola, łąki pełne ksiatu czerwonego i żółtego. Na prawá rów i ciárki, i maliny, boroziny, na szeroki granicy krze leszczyny, latoś łorzechów pełne,

\*) u góry, \*\*) miluje.



na liwá przed chojinkami szeroká do mniasta droga gałajzistami jerzbami przystrojona. Prawda miał dziś nasz stary ksiądz na kázaniu, kiedy wołał: lilje i różne ksiaty w zielani to kobierzec Boży. Bóg to stworzył dla nás ludzi . . . wychwalaj człozieku Łopatrzność Boská . . .

A zauważywszy nadchodzącego studenta, woła: Pódź jano pódź, poziesz náma, chto założył Łolstyn i kiedy; toć darmo nie bańdziesz zjadáł łojcu i braciom fortuny.

Student przywitał, jak się należy, stryjów i wujów i zaraz opowiada, pokazując na Olsztyn:

— Lokator Jan z Lejsów założył to miasto 31 października 1353 w ziemi bartęzkiej i oddał miastu 178 włók roli i 100 włók wolnych lasu i pastwiska, 7 włók sołtyskich i 6 plebańskich. Teraz ma Olsztyn na 6000 ludności\*) i od paru lat kolej z Torunia do Wystruci. Prędej ta kolej byłaby gotowa, ale koło Rotflisa nie można było tak łatwo zasypać kawałka jeziora i tak iłowato — torfowych. Wnet ma też stanąć tu szkoła wyższa czyli gimnazjum, tak że z tej okolicy nie będą musieli studenci jeździć do Brunsberka, Reszla i Olsztynka.

— I mój Kazimierek bułby teraz wysokam studentam, kieby nie buł łumer, jek mniął 12 lát — wzdycha żałośnie Ługwałdzki — i dwa duże łzy spadły mu na ziemię . . .

— Ale já mniejsca nie łudám, aż chyba w łostatny chorobzie. Já nie chca na wymowa.

— Czamu nie, grózki\*\*) mają dobrze, żyją bez kłopotu — drwi Pajtuński.

— Pożál sia Boże ty dobroci — prowadzi dalej Ługwałdzki. Znáam já różne przykłady, jek to grózkom jidzie, co to jest gróziecki chléb łopłakany, siuła to grózków z żálu rycho sia łudázi\*\*\*) przy takam chlebzie. Nie jedna grózka siedzi i jańczy: co já też zrobiuła, zem bez dobry wymowy mniejsce łudała. A cóż ci wymowa pomoże, kiedy ci ją śniezka (sy-

\*) obecnie 30000, \*\*) teściowie, \*\*\*) zadławi, udławi.



nowa), abo ziańc co dziań wywrzeszczy, byle czam  
cia zbańdzie i łomydłi. Tedy sądz się z kałuzam\*)  
Tam są grzechy ło pomsta do nieba wołające.

W jedny wsi kościelny wymóziali sobie grózk  
sietom furmáńków do miasta. „Mądrá“ śnieżka na-  
móziła syna żeby łojca lub matka tylo do miasta  
zaziós, a z miasta musieli psiechtą nieborastwo. I  
spotkałam starego w dyzickam lesie, jek w długam zu-  
panie psiechtą szet nazád.\*\*\*) Wzięłam go na wóz i  
pytám: „Cóz wam sia stało, że w taki ciałżki łoblece  
sia dźwygácie\*\*\*) psiechtą?“ I tak mu sia ciałżko  
stało, że ledwo wybáknał: „To synowa zrobiła“.  
A co dopsieru ziańcie nie czynią: zamiast grochu da-  
dzą ci łognichy połowa i poziedzą: nie dostali wy-  
ciścić! niewstydniki, grzeszniki; zamiast warzywa  
dadzą ci przerosłych korzani, zielazná krowa fufrują  
ci łowsiáńką i zgnitam sianam, masz wymózioná  
łowca, dadzą ci ją psom zareć, przytam wszańdzie  
cia łobmáziają, łokrádają, łobełgują, ło tobie nic nie  
brák, a łonam wszystkiego.

— Ale stryjku, wszakże takich ludzi nie ma na  
świecie, takimi są — złe duchy . . . — odzywa się  
student.

— Mój synie, życza ci, żebyś w twojam życiu  
nie zaznáł ani złych duchów ani podobnych jam  
wszáków. Niejednego wszáká wsadziwa na konika,  
a łon tedy pokáže náma zamby. Broń sia takich  
ludzi, bo ci podłużą strápsianie, a życie skróćą. Nie  
trzeba dozierzać nikomu, nie spuszczać sia na nikogo;  
nasze łojcozie máziali:

Chto sia na drugich spuści  
Tego Bóg łopuści.

I westchneli wszyscy, bo stryj Kazimierz  
prawdę miał.

— Co też sia stało tamu synozi, co łojca, matka  
śnieszce dáł w potery? Pewnie nic! — drwi Paj-  
tuński.

\*) sęk, \*\*) pieszko idącego z powrotem, \*\*\*) pluralis majest.:  
dźwygácie, przy jednej, a przy kilku osobach: dźwygata!



Równość co! — ogaria się stryj — Pojechał do Westfal na robotę, bo zjechał z mniejsza. Cianta jak łosa żona zachorowała po dziecku to łumęto wnet, po niam łumęta i śnieszka, a że zápisiał zkiegoś strachu mąż wszo na żona, po ji śnierci dostało się ji przyjacielom, a łon poszed z pacham do rowu.

— Cistá kara Boská zatwierdza stryj wartemborski. Ale też tan gałgán pochodzi z parasiji bez ksiandza; gdzie przez długi cias ni ma ksiandza, tam się lud rozpsuje. Co to się stanie, kiedy ziancy książy wymrze, a drugich náma nie przyślą?

— Niech náma też sztudent pozie, czy się i teraz jeszcze można łoksiążyć.

— Owszem, można, choć z trudnością. Na Warmji, w Pielplinie i w wielu innych djececzjach pozamykali z rządu seminarja, czyli kamienne domy w Prusach, ale biskupi posyłają swoich kleryków do Rzymu lub do katolickiej Bawarii i po święceniach przyjmą ich na powrót i ustanowią w parafji, gdzie ich brak.

— Brák jich wsządzie, my już tyle lat ksiandza ni máwa, a dłuży jeszcze w Klewkach, w Jonkozie i po drugich parasijach — złości się Pajtuński — my nie ráz psiajścią groziwa tam, co te prawa majowe łukuli; łobáczyta wy młodzi, boć my starzy już nie doczkáwa: przydzie do duży wojny, gdzie Bóg tych pyszałków strąci z stolicy potajźnych . . .

— Słuchájta jano, poziam wáma, jak to jidzie w parasiji bez ksiandza. Pojechalim do Sząbruka w kmotry. A że tam ksiądz łumer, musielim do chrztu do Gietrzwałda. Na drugi dzień była niedziela. W Sząbruku w niedziela nie było ksiandza, ale zwónili i brząkali jak zawdy na nabożaństwo. Pošlim też. Po godzinkach przecytál szulnistrz lekcją i ewangelją. Smutno się stało: na kázanica niht nie wchodzi; ksiandza Rysiewskiego, co tak dobrze praziuł, już przykrula ziamnia — nie daleko zákrystyji na smantarzu — a drugamu nie wolno, bo Bismark zakázál. . . . Powstał płacz . . . Ale przyszło gorzy. Zwonuszek do mszy łodzywá się; chłopcy w komeszki i



czerwone sukmanki łubrane wychodzą z zákrystyji, niosą ksiąjzka do mszy, talerz, ampułki, chleb i zino, składają na łutárzu, gdzie wszystkie śwecce zapálone — a ksiandza ni ma. Chłopcycy klangkają na stopniach łutárza, zaczynają głošno Confiteor. Słuchać szlochanie ludu.

W tam łorgany całą siłą wpadły przygrywając psieśń do mszy:

Do Ciebie odwieczny Panie  
Pokornie wołamy;  
Patrz na serc naszych wylanie,  
Do Ciebie wzdychamy.  
Użycz nam Ojczy pocięchy  
I odpuść nam nasze grzechy.  
Ciebie z ufnością błagamy,  
Zmiłuj się Boże nad nami!  
Ach zmiłuj się nad nami!

Ludzie bez pocięchy, bez ksiandza płakali na cały głos; mnie łzy leciały jęk groch; wy nie zięta co to znaczy być bez ksiandza lata lateczne jęk my w Purdzie, abo ci w Klewkach. Płacz i lamant powtárzał sia, jęk chłopcycy zabrząkali na łosierowanie na sanktus, na podniesianie, na pater noster i komunijá — taká buła zawdy i łu naju w Purdzie i w Klewkach żalósna mszá bez kapłana.

Żeby to Pán Bóg płazam puścił tam karmazy-nom, wolnomularzom, niedoziarkom, to być ni może. Łoko Łopatrzności Boski patrzy na nasz smutek, na nasz płacz i lamant i ześle kara swego ciasu.

A do chorego, co to za łudrańczenie: to po ksiandza, ale gdzie? pára mil! czy go nájdiesz w domu, kiedy jest — pokryjomu, żeby szandár, abo jęki zdrajca nie łudął, nie łopsisął? Tak samo z pogrzebam: ksiądz w zieczór przedtam przyjehał, łodpraził swoje, my do grobu sami z płaczam nieboszczyka zanieśli, ksiądz miał za niego mszá w swojam kościele. Tak samo w Sząbruku, Sząbargu, w Brąswaldzie i w drugich parasijach bez ksiandza sia dziáło.



Ksiądz Gietrzwałdzki musiał za dobre łuczynki tydzień na wysoki brámnie w Łolstynie siedzieć; drugich ksiajzy po sądach\*) wólczo — za dobre łuczynki. Czy to nie zasługuje kary?

— To, to jó! — odzywa się Butryński sfák, który bardzo pilnie się przysłuchiwał, bo po owem wytłumaczeniu czworakiej Purdy przy obiedzie wszystko już wierzył, a ocierając oczy, tak przemówił:

— Słuchałam, jek bziałki nasze ło takich srogich prześladowaniach poziedowały, ale nie zierzułam, bo my zawdy mieli w te ciasy dwuch ksiajzy, tom nie dbali ło cudzá bzieda.

— Sztudańcie, łostań ty ksiandzam, nasz ksiądz klebán Rochon jest już stary i kulawy, a kapelán by chciał gdzie na próżná klebanijá. Przydziesz do náju za kapelána i bańdziesz miał dobrze łu náju.

I drugim to życzenie szczerze z ócz patrzyło, ale student tylko krótko na to:

— To wszystko może być za cztery lub pięć lat, jeżeli Bóg pozwoli; czemu sobie już teraz niepotrzebnie głowę łamać. W przyszłość spojzyć człowiekowi nie jest dane.

Teraz mam ferje, odpoczywam, nowych sił nabywam, czytam książki różne, a dziś chętnie się przysłuchuję waszym powabnym mowom.

Zaciekawia mię ta wasza mowa i ta wysoka mowa nasza, której się uczymy w szkołach, którąście dziś słyszeli na kazaniu. Jest bowiem ta sama. Wy z waszą prostą mową rozumieliście księdza z wysoką mową, czy nie tak?

— Wszystkom rozumieli i zawdym rozumieli polskie kázanie — odzywają się wszyscy — jano mniemieckiego kázaniá tom i dziś nie rozumieli, bo ni możewa dość po mniecku a wtedy náma sia che spać!

— Ja też tak o was myślę. Tem więcej zbliża się wasza mowa do książkowej, im dalej idziemy wstecz tj. 300 lat nazad, kiedy ksiądz Wujek bibliję pisał, kiedy poeci Rej, Kochanowski, Klonowicz, Gro-

\*) P. Dodatek.



chowski swe prozy i wiersze pisywali, kiedy ks. Piotr Skarga swoje Kazania i Żywoty Świętych wydawał. Tych nam łatwiej czytać, zrozumieć, jak tych, co wysoko przed 50-ciu laty pisali, jak Mickiewicz, Krasiński, Słowacki, a to pochodzi z tąd, że w szkołach już po polsku nie uczą, więc nasz język na Warmji i na Mazurach nie może się kształcić dalej, jeno pozostaje na tym samym poziomie, albo się cofa, napełniony niemieckimi naleciałościami. Teraz patrzcie:

Mam przypadkiem „Pamiętniki Paska“ z naszej szkolnej biblioteki. Tam przewodnik wojska polskiego, P a s e k, którego na Szweda posłano do Danji na Apenrade, Alsen, Hadersleben, Fryderycję, Aarhus, opisuje bogactwo tego kraju, stroje ludu, wielką obfitość bydła, owiec, świń. Tam dostał kupić wołu dobrego za bity talar i dwie marki duńskie, tam były pszczoły w słomianych pudełkach a nie w ulach, ryb wszelakiego rodzaju było poddostatkiem, chleba siła, miody dobre, jeleni, zajęcy, sarn nadmiar.

Za cztery grosze polskie posławszy do niewodu, to chłop przyniósł ryb wór, aż się pod nim zgiął. Chleb z grochu — ale pszennego i żytnego dostawano od szlachty. W wielki post jedli z mięsem. Węgorze słoniały wespół z połciami w korycie, bo tam dają na stół mięso i ryby zawsze jednakowo: wszystko było, co człowiek zmyślił — bo tam lada chłop po łacinie mówi, a po niemiecku rzadko kto, po polsku nikt i taka różnica mowy luflandczyków od niemieckiej, jak Łotwa albo Żmudź od Polaków.

Lud tam też nadobny, zbyt biały, stroi się pięknie przy lekkich obyczajach . . .

Kościoły tam bardzo piękne, które przedtem bywały katolickie; są ołtarze, obrazy po kościołach.

Jest takie ich nabożeństwo, że Niemcy (lutry) oczy zasłaniają kapeluszymi, a białogłowy temi swemi kwefami i schyliwszy się włożą głowy pod ławki.

Kiedy ich pytano, na jaką pamiątkę głowy kryją i oczy zasłaniają, ponieważ tak nie czynił Chrystus Pan ani Apostołowie, żaden nie umiał odpowiedzieć



Jeden tylko tak powiedział: iż na pamiątkę, że żydzi zasłaniali oczy Panu Chrystusowi i kazali mu prorokować — oni, lutrzy się zasłaniają.

Czy rozumiecie to wszystko?

— Jól, rozumiejewa i chcewa jeszcze ziancy słu-chać. Co tam wojsko polskie robziulo? pytają się stryje i wuje i sfaki.

— Wojsko polskie, powiada Pasek zrobiło z Danji wycieczkę r. 1658—1660 do Szwecji. Parę lat przedtem napadli Szwedzi Polskę i łupili ją, ale pod Częstochową przez księdza Kordeckiego cudownie zostali odbici i przez Czarnieckiego z Polski wygnani. I tak posłano za nimi oddział pod dowództwem Paska. A że Polacy nie mieli okrętów wojennych musieli przez Danję do Szwedów.

Żołnierze polscy byli pobożni, szukali kościołów i w polu śpiewali nabożne pieśni, jak „O gospodzie uwielbiona“, „Już pochwalmy króla tego“ i inne — „aż konie po wszystkich polach“ uczyniły wielkie parskanie — tak pisze Pasek.

Nareszcie w pamiętnikach jego zachodzą ciekawe stare słowa, których i my na Warmji jeszcze używamy. I tak wyraz: gwałt zamiast wiele; cale zamiast wcale; machlerze u nas machlárze\*); kaduk\*\*) u nas także kaduk; rają mi u nas rajić komu żonę, jechać w rajby; nikt gęby nie rozdziawił, u nas nie rozdziáziul\*\*\*); raróg, także u nas raróg; dziwoląg; pódźwa u nas pódźwa (pojdźmy); z cebra także u nas z cebra (leje jak z cebra); tańcować także u nas to samo słowo zamiast tańczyć. Na podsobku chodził, u nas na podsobnych tj. pieszo; na stronie 371 zachodzi wyraz lelek (człowiek niespełna zmysłów). Maryanna u nas Marjana i Marianna (zamiast Marja).

Pasek także pisze o luźnych obyczajach Duńczyków . . .

I do tego to kraju bezbożnego, sektami różnorodnemi podartego, do kraju bogatego, a we wierze

\*) machlarz z niem. Maekler lub macher cf. słownik Mrcngowiusza, kłamca, \*\*) djabeł, \*\*\*) otworzył.



tak uboższego leci obecnie na oślepa naród nasz wier-  
ny ale ubogi, najwięcej ludzi z pod Moskale na ro-  
botę. Czy nawrócą tamtych duńskich bogaczy, czy  
też sami obyczaję i wiarę stracą? — zakończył student.

— Te robotne, a w jedle niewybredne ludzie z  
Polski nie tułaliby się po cudzych robotach — odpo-  
wiada poważnie stary Jakub — kieby jich Moskał nie  
prześladował za ziara i mowa. Ale Pán Bóg nie  
rychliwy choć spraziedliwy i Moskale jeszcze nájdzie  
za to. Spsiewalim dzisiaj: stracił z stolicy potajź-  
nych . . . a pokornych wyprowadził . . .

— Oj bańdzie to wojna za tyle porachunku z Mo-  
skalami. Kieby aby nájtu tu łochroniła! — woła  
Pajtuński spogładając w stronę swej purdzkiej  
parafji. \*)

— Prazie na Pasym i wszystkie sztery Purdy, na  
Pajtuny, Klewki i Butryny powalą się Moskale na  
Łolstyn — straszy Ługwałdzki.

I zlekli się wszyscy przyszej kary Bożej, przy-  
szej wojny światowej przepowiadanej przez Sybyłę  
i inne liczne prorocstwa — tylko starsi pocieszają się  
tem, że nie doczekają tej plagi. \*\*)

Zadumani szli pod dom nic nie mówiąc, bo wie-  
czór się zbliżał i trzeba było o powrocie myśleć.

Przyšli na zapłocie, widzieli w ogrodzie zmę-  
czone dzieci siedzące niby kurczęta spokojnie około  
dziadka lamkowskiego i ciotki Lucy z Jonkowa, która  
jeszcze bawiła małą Kaśkę, wierząc jej palcem w ma-

\*) Pajtuny należą do purdzkiej parafji. — Obawy spełniły się.

\*\*) Tak się wypełniło w sierpniu i wrześniu 1914. „Ruski“  
byli w Purdzie, w Klewkach, w Butrynach, w Bartęgu, w Jondorfie  
(27 i 28. 8.) i w Olsztynie, w Spręcowie 31. 8., w Buchw. 1. 9. 14.  
Z tubylczą ludnością obchodzili się oględnie, mówili: nie bójcie  
się nas, my wasi bracia, my wam nic nie zrobim, prowincja jest  
nasza. Więcej od Rosjan szkody i kradzieży narobili: „swojskie  
Ruski“ — tubylczy niegodziwce. Mimo to przestraszona ludność  
uciekała, mianowicie urzędnicy . . . Wielu księży katolickich pozos-  
tało w swych parafjach, przy swoim kościele. Ucieknierzy  
powrócili dopiero po bitwie pod Olsztynkiem (Hohenstein—  
Tannenberg), albo i później, kiedy Rosjanie którzy ująć nie zdo-  
łali, w pojmanie posli.



fej dłoni i każdy paluszek poruszając przy takich słowach:

— Kašku, tu (w dłoni) seroczka krupki warzuła; tamu (paluszkowi) dała, tamu dała, tamu (ostatniemu) łepkę łurwała i do nieba poleciała.

Dziecko wesołe mile patrzy na tę całą procedurę, spogląda raz w niebo wypogodzone, raz na ciotkę Lucę szczęśliwą jak anioł stróż nad grzecznym dzieckiem. Kaśka chce się oczywiście czego spytać — ale jeszcze nie może . . . i trzepie się, jak młody ptaszek na gałązce.

Za to Finka i Joanka, Staśka i Baśka, Dośka i Waleśka i . . . jeszcze ich więcej — pytają się:

— Ciotko, czy i my przydziem do nieba?

— Przydzieta — pochwała zawsze miła ciotka Luca — jano bądźta grzeczne, pobożne i posłuszne.

— A czy to daleko do nieba?

— Moje dzieci — dodaje ciotka — do nieba wysoko i daleko, daleko . . .

A siuła lat trzeba jiseć do niego? — pytają dzieci.

— Gwałt — odpowiada ciotka Luca — ja już jida sietomdziesiąt lat, a zawdy gwałtam, i zawdy sama, a jeszcze nie zaszłam . . . Kiedy zajda jano Bóg sám zie. Bądźta bogobojne, a zajdzieta i wy.

Podobnie chłopcy „kiele“ dziadka, zadają mu różne zapytania a on odpowiada i znów pyta.

— Michałku poziedz że mi, czego brák wszystkiego na przykład do woza?

Michałek „zie“ i śmiało odpowiada, a wszyscy ciekawie słuchają.

Do woza brák: — ale nie wie jak tu zacząć?

— Dziadku ja ziam! — prysnął mały Maciek.

— Dziadku ja też — powoli-dodaje Kubal.

Ale dziadek się uparł na Michałka i rzece:

— Dajtaż mu pokój, łon też zie i pozie wama wyraźnie choc pomału.

W tem Michałek wydając głos pewien siebie liczy głośno:

— Do jednego woza należą sztery koła, dwa łosie, jedna dysła, dwoje drábzi;



wózek do wyjazdu z pukoszkam abo ze skrzyneką má nadto siedziska, pugarbki, szczyty, a wózek na swanto ma ładne siedziska, dwa tambory, dwa lichtarnie, dwa strzampsiska zielazne do wleziania, blachy nad kołami do błota i jest malowany czarno, modro abo żółto;

koło má psiasta\*), buks w psiáscie, sztery rynki na psiáscie, spíce\*\*) falgi, na falgach\*\*\*) refa\*), w refsie szynále\*\*);

łós (ós), zielazna łós má futer drewnianny, łopaski zielazne, skranty (skrety), nasád, sztery kłonice, ryczán, szruby, abo buks dlá psiásku, lon\*\*\*), deski spojánki (do gnoju), żytne drábzie potrzebuja tuleji w łosi, szterech luśni, szterech nálustków, drábzie mają szczeble z drzewa abo z drótu;

ryczán má zielazne podstawki pod kłonice, na kłonicach rynki, i na końcu ryczána są rynki, żeby sia nie roszczepał, ryczán má dóra\*) (otwór) blachami łopatrzona ná (dla) zielaznego dużego szpernála\*\*) co trzyma ryczán i przedny nasád pospołu;

rozwórka má rynka na tam końcu, gdzie mały szpernáł ją w kleszczach trzyma, to jest na drugam końcu za tylną łosią szteksel, gruby zielazny góźdz z kietką (łańcuszkiem) przybitą do łosi, żeby sia nie zgubził. Rozwórka siedzi w tylnych skrantach (skrety) z rynką i leży na podymnie przednych skrantów na zielaznam futrze.

Na tylny łosi w nasadzie są kłonice, nasád má też rynki zielazne, żeby go kłonice nie roszczepały.

Dyślá (dyszel) siedzi w przednych skrantach i w trzech zielaznych rynkach. Miedzy (między) drugą i trzecią rynką jest zielazny skobel dla braki, braka má dwa łorczyki (orczyki), zielaznami rynkami do ni przykute, każdy łorczyk má znów po dwa kołka do kietków przy ślach. Koniec dyśli jest zielazną, grubą blachą łokuty i má łák (hak), abo skobel do

\*) piasta, Nabe. \*\*) spíce, Speichen. \*\*\*) falg, Felgen. \*) refa, Reifen. \*\*) żelazne kowalskie gwoździe. \*\*\*) gruby, żelazny gwoźdz zaostrzony w końcu osi. \*) dziura. \*\*) gruby, długi gwoźdz żelazny okrągły.



przedny braki i na dole skobel do zatrzymania lśni-  
ków, abo kietków, spojonych na dole mocną rynką.

Kieby teraz konie łokieznął, to jest założył  
łuzdy (uzdy) i we śle włożył lejczyki panknął (pęk-  
nął) batogam, tobym jechał jek pán!

— To dobrze, tak dobrze — chwali dziadek  
Michałka — jano nie za łostro, nie galopam, nigdy  
na wyścigi z drugam, — przestrzega życzliwy staruszek.

— Ale czego brák do sani, kto to zie? — za-  
daje znów dziadek.

— To my też ziewa! — wołają chłopcy.

— Nâ, to ty Maćku gráj.

Maciek paradny z zadania dziadka począł zaraz  
śmiało „grać“.

— Sanie mają klangi (klęgi) z drewna i klangi  
na dole z zielaza, to są szyny, w poprzek klangów  
leżą na szterech podstawkach dwa nâsady, na jich  
końcach strzampsisko (strzemie) do wleziania na sani,  
wszystko dobrze zielazam łokute na końcu klang-  
gów na przodku szpona, na ni\*) leży dyślá, tylnam  
końcam w skranty wsadzonâ, na przodku dobrami  
łákami i blachâ z zielaza do lánników przystrojona.

— Maćku, Maćku, z ciebie tangi Maciej wyro-  
śnie, kiedy sia tak dali łuczyć bandziesz — przepo-  
wiada mu siwy dziadulek, a chłopcy wesoło za Mi-  
chałkiem przyspiewują: „A ty Maćku gráj, a ty Mać-  
ku gráj“ tak też i „dziewczáki“ próbują: „A ty Maćku  
gráj . . .“

Ale pobożna ciotka Luca, za stara już do takich  
żartów i za daleko już zaszła na drodze do nieba,  
ażeby z drogi zejść na kurlantki wesołe, napomina:

— Dzieci, zanućta lepsi „U drzwi Twoich stoję  
Panie, czekam na Twe zmiłowanie“.

Zaraz Baśka ująła tak znanâ, a tak precudnâ  
pieśń i znów rozlegał się hymn dzieci do Boga pod  
obłoki, pod niebiosy, a za każdâ zwrotką odpoczęli  
i ciotka Luca powtarzała słowa i tłumaczyła sens ich.  
Śpiewają dalej:

---

\*) na niej.



W tej hostyji jest Bóg żywy  
Choć zakryty lecz prawdziwy.

— Co to znaczy? pyta się Fynka.

A ciotka tłumaczy;

— We mszy zidziałaś hostyją i w komuniji, kiedy ksiądz tę hostyją dawał. Tam jest ciało i krew Pana Jezusa, a kiedy na nąłuka pudziesz, to i ty zrozumisz i dostaniesz skosztować tego słodkiego Pana naszego.

I znów śpiewają:

Aniołowie się lękają,  
Gdy na jego twarz patrzą.  
Wszyscy niebiescy duchowie  
Lękają się i królowie.

— I my musiwa sia langkać przed niam, ale nie łuciekać, jano sia tkać do niego, bo gdzież pudziam, kiedy łod niego łodejdziam. Łon náma rád jest, kiedy ło niam gádawa, myśliwa, spsiewáwa i go serdecznie mniłujewa. To też:

Żaden z wojska anielskiego  
Nie dostąpi nigdy tego  
Czego człowiek dostępuje,  
Ciało i krew gdy przyjmuje.

I śpiewali pieśń do końca, a ciotka Luca zawsze tłumaczyła, coraz piękniej, coraz wierniej.

Tymczasem ciotki z „z á p s i e c k a“ już dawno się wymkły, zostawiając gospodynię z kucharkami w domu i doszły znienacka do ogrodu, przyglądając się chłopcom i „dziewcząkom“, maleństwu, drobiaszczkom i ciotce Lucy na jej chodzie do nieba, słuchając z weselem w sercu jej wzniosłych słów.

Wuję stali jeszcze na zapłociu przed ogrodem, gdzie przed separacją były owe długie „ryki“, spoglądali na dziadka i ciotkę Lucę i następców-spadkobierców, i słuchali ciekawie końca rozprawy z „Pamiętników Paska“ przez studenta.

Trzy zdania przytacza im jeszcze student z owej starodawnej księgi. Na stronie 109-tej pisze Pasek



takie otwarte słowo: „Cóż to, kiedy my, choć dobrze zaczniemy, żadnej, jak trzeba, rzeczy nie skończymy“. Mowa tu o Czarnieckim, który po zwycięstwach nad Dnieprem nie poszedł do stolicy Moskwy, podobnie jak Jagiełło pod Olsztynkiem . . . a Hanibal pod Rzymem.\*)

Drugie na stronie 240: „Sejmowali tedy przez całą zimę z wielkim kosztem, z wielkim hałasem, a po staremu nic dobrego nie usejmowali, tylko większą przeciwko sobie zawziętość i rozjątrzenie (exacerbacje) wzięli . . .“

Trzecie na stronie 333. Pisząc o zwycięstwach na Turkach pod Wiedniem 12 września 1683 podaje te słowa: „Francuzi mówili: Poloni sunt genitores Germaniae tj. Polacy są rodzicielami Niemiec; przez to, że Turków wygnali, całe Niemce ocalili . . .“

I ten ratunek dali Polacy Niemcom, pomimo, że ci ostatni się wielce cieszyli z zwycięstwa Turków pod Cecorą 1620 roku nad Polakami . . .

Pan Bóg zesłał na Polskę karę za grzechy i za wielorakie opuszczenie dobrego, zupełny podział przez ocalone niegdyś Niemcy, przez zlutrzzone Prusy i odpadłych od Rzymu Moskali, bo nie było człowieka (Ezech. 22, 30), któryby zatrzymał dłoń Pańską i wstawił się za krajem, aby go Bóg nie zagubił — i już sto lat trwają te okropne prześladowania ludu katolickiego. Kiedy też nadejdzie miłosierdzie Boskie — nawet Mazurzy wdychają: „Może też esce . . .“

— Mój sztudańcie, za szterydzieści do psiańdziesiąt lat jenący bańdzie, Bóg się zmiňuje nad ziarnam ludam swoim, jano chodź zawdy drogą przykazań Jego, a łobączysz, jeki Bóg spraziedliwy, nierychliwy, a — zawdy miłosierny, bez granic.

— Prawda mász, Jekubzie — potwierdza Ługwałdzki — ciasy sia muszą zmianić, ksiajży musiwa dostać znowu, bo bez nich chybabym zginęli.

Podobnie przytakują i drudzy, bo wszyscy mają silną wiarę i nadzieję w Opatrzność Boską.

\*) Hannibal ante portas!



## 10. Wieczera i rozjazd.

Byliby jeszcze nie zakończyli wzniosłych rozmów swoich, ale właśnie pokazuje się gospodyni i zaprasza wszystkich na „wieczera“.

I zbierają się wszyscy, kierując swe kroki ku gościnnemu domowi — do dużej izby.

Dziadek prowadzi zbyt nich chłopców, którzy tylko podskakują, ciotki zbierają wesołe dziewczeczki, tylko jedna z głośnym płaczem idzie kulawo, Waleśka niebacznie włożyła na rzegawki (pokrzywy) przy płocie i te poparzyły jej nóżki, dla tego kuleje, bo parzy i boli, jak nosek zakłóty od pszczoły.

Słychać ciotkę Lucę pocieszającą:

— Cyt, cyt, na drodze do nieba ciałsto jeszcze nąjdiesz i kolce i głogi — pszczołki i złe łosy.

Ale ciotka Linowska inaczej rzecz pojmuje:

— Już to te bachy z miasta to nic nie ziedzą, jano sia stroić i dobrze jeść — a nic nie rozić . . .

Zgromadzili się powoli wszyscy na podwórzu: wuje i stryje, ciotki i dzieci, ciotka Luca i dziadek lankowski z „Pielgrzymem“ w ręku, którego od wielu lat abonował i pilnie czytywał.

Tu jeszcze krzyżowały się krótkie zapytania, co jedni, co drudzy tak długo robili, co gadali za zapiekiem, w polu, w ogrodzie — padały jeszcze krótkie odpowiedzi.

Student, przyzwyczajony do dawania młodszym lekcyj w różnych przedmiotach a zaciekawiony opisem woza i sani przez chłopców pyta się dzieci, jakie znają ryby, grzyby i ziółka. One rozweselone podają na wyścigi: rycki, pępki, prawe, prośniánki, sitárze i muchory; to karasie szczupáki, wangorze, łokonie, kárpsie, płóciczki, bleje, jáżdże, pstrągi, katy, liny, kiełbzie, kłanie i stynki; to kalmus, jochel, rumianek, psiołun, krwáwnik, macierzánka, santarzyjá (tysiącznik), kadyk (jałowiec) i . . . i . . . — nareszcie się urwało.

Ciotka Linowska nie mogąc scierpieć czegoś, wsiada na karciarzy, którzy jeszcze jak przykuci na dawniejszych miejscach siedzieli:



Já to już nie ziam, co to za wytrwałość zawdy tego samego dulczyć w te karciska. Zawdy te same wykrzykniki: to zolo w sercach, to frága w szali, to drugi robzi do łobuch, żołądź tróf, to znowu zolo kolier, raz nawet Janek z radością zakrzyknął: zolo kolier tu! — ale przy tam wszystkim nareszcie zawdy: zapłać braciszku! abo: wujku do woruszka! — a wuj po trojączku wyciąga i cichutko jek łozieczka — płaci; łogolą go aż do szczantu, aleć dobrze mu tak, do czego sia też zadaje z tami młodami silutami. Zresztąć nie trasili na łobogiego, tyle włók\*) roli, a dzieci żadnych. Łon sám razu nie zie, co má zacząć z psieniądami. Ale też i kiepsko mu isć musi, kiedy już pára razy przychodził do Swoji po psieniądze. „Żonko, dájże mi z pára groszy, bo ma te łajdaki dycht łorzneli“. Wujna chcą nie chcą musiała wyciągnąć chusteczka z zanádrzá i rozziązać szypełek w rogu. Ale za siułka — bo tu już znowuj wołają: Wujku do woruszka! Nie pojmują, skąd mu sia ty cierpliwości zbierá, że kart nie ciśnie i nie łucieknie jam.

— Kieby nie tan sztudent, to bym sia były dycht rozjadoziły na te głupsie karciska — ale tan to náju rozweselul swojami łopoziedaniami i spsiewkami. Równoc łoni sia czego náłuczają w tech szkołach i nie darmo tam tyle lát siedzą.

— Ná, ty tubaczniku — dodaje Ługwałdzka, spoglądając na wartemborskiego wuja, który zażywać tabaczkę ogromnie lubił, a w tabakierce zwykle małą szufelkę dla wygodniejszego zażywania nosił — szkoda, żeś ty tu nie buł i nie słuchał psieśni ło tubace, bobyś sia ji buł wyrzek na zawdy i już ziancy nie pakował tego torfu w twój rozwalony nochál. Jek to sia tam tubaczyskam porządny człoziek zbrzydzić może.

Lecz dobroduszny wuj nic nie odrzekł, tylko oczami mrugnął, spojrzal na tabakierkę, którą ustawicznie w rękę trzymał ścisnął ją i westchnął; pewnie pomyślał: „już já sia z tobą do śnierci nie rozstana“.

---

\*) Na Warmji liczą na włokę chełmińską 66,75 morgów.



Pewno jeszcze więcej były by mu ciotki „naprzyrzynały“, bo się już i drugie „sadziły“ — lecz już wołali po raz drugi na wieczerzę — bo już wszystko gotowe — a zatem wszystkim trzeba się było udać do izby.

Po drodze jeszcze wyrywa się Baśka:

— Ciotucho, ta stara Rátnka to niócha jak chłop! — a gdy tu wszyscy wybuchli w śmiech, potwierdza: Jól, jól, já to sama zidziała, jak wzięta szos, to ji sia aż łoczy przewróciły.

Wchodząc do izby słyszą wuję wołającego na cały głos: „zolo pyk! aby róz wáju dostana do nogi!“ wygrał, ale bez „prymyji“, każdy musiał mu zapłacić — po dwa feniki. Nawet tyńfy \*) nie odegrał. A co za radość z tego, wszyscy mu winszowali. Lecz on tylko żałował, że już przestać trzeba, bo teraz szczęście na jego stronę się „przewaluo“; już zapóźno, bo nacierają do wieczerzy, a karciarze muszą, choć niechętnie ustąpić z pola walki, które tak długo w pocie czoła zajmowali.

Nareszcie gospodyni z kucharkami dostały gości usadowić do stołów, które się uginały pod potrawami o miłym zapachu. I nos miał tu swój kiermas.

Uciszyli się wszyscy wstając do modlitwy.

Tedy każdy brał śpiesznie na swój talerz i zjadał, co mu lubo, albo co mu najbliżej było — bo Spręcowsy już zaprzagać kazali. Z początku nawet rozmowy nie było.

Tylko pusty Michałek, odpędziwszy głodnego ogląda się za Ewą, a gdy ją zoczył, zaraz pyta się:

— Jewko, já bym też chciał ziedzieć, jekie tytoły ludzie na Mazurach mają, bo łu náju to sia rycho wszyscy na „ski“ nazywáwa.

— A na Mazurach — odpowiada Ewa — mało mamy tytołów na „ski“, choc i takie się zdarzą. Poziem ci kilka nasych nazwisk: Cwalina, Duda, Wądółek, Bębenek, Bruderek, Wrzodek, Bury, Kusy, Kęsy, Zoły, Robacek, Skiędziel, Deptuła, Maślanka,

\*) tyńfa, cienki srebrny dwutrojak = 20 fen., gudał = 20 fen.



Glomzda, Piecocha, Kaja, Pazucha, Zywina, Fajterna, Frasa, Skrzecka, Pieconka, Pipgora, Krosta, Gorcyca, Zapadka, Stopka, Sefek, Podeswa, Rzepucha, Kaptejna, Brózda, Strupek, Kopeć, Gardziela — chcesz esce zięcy? — oto wsie: Barany, Koty, Nitki, Oblewy, Opaleniec, Grom, Sapłata, Drygale, Pogorzele, Kuźmy, Sarejki, Worguty, Snepy, Myski, Zebrany i gorse esce . . .

— Dość, dość — woła Michałek, bo przepadna łód śniechu — esce, nakci, wanowejcie, wso jedno . . . i rzechoce się.

— Co też to za przezziska — odzywają się ciotki.

— To są hańbiące nazwy — tłumaczy student — a jednak na każdej większej mapie czytać je można.

Jedni tu mówią, że panowie znosząc mimo woli poddaństwo, nadal chłopom swoim nazwiska według ich przywarów, bo panowie mają nazwiska najwięcej na „ski“, gdy nie są Niemcami, jak Kwasowski, Kwiatkowski, Barczewski, Brzeziński, Skowroński, Potulicki itp., drudzy twierdzą, że niemieccy panowie chcieli temi przezwiskami wyszydzać polski lud i język.

Językoznawcy będą tu mieli wielkie pole dla swych głębokich badań. W każdym razie udowadniają te oczywiście polskie nazwy i przezwy, że Mazurzy, jak Warmjacy są polskim ludem.

Przytakują wszyscy tej prawdzie, nie widząc żadnego Niemca w swem gronie.

— Łu nāju w cały wsi ni máwa ani żyda ani Mniamca — odzywa się Linowska.

— Łu nāju jedan Mniamiec sprowadził sia z pod Gutsztáta, ale katolik.

Łu nāju páru takich, ale ło żydach na wsi, na Warniji tom jeszcze nie słuchali — odzywają się drudzy.

— Łu nāju . . .

Lecz czas szybko biegnie, a już go nie wiele, więc niejeden myśli już o powrocie do domu.

Spręcowsy najprzód wstali z tą ważną „nozi ną, że się dziś łumuzili w rajbach:\*) wnet glandy

\*) rajby = opatry, oględy.



bandą, ale małe jano, na późną jesień wesele, na chtëre waju wszystkich zapraszawa już teraz“.

I powstało duże wzruszenie i ogólne życzenie i pożegnanie. Dzieci zdziwione patrzyły w rażną brutkę\*) jak w raroga, dorośli, a szczególnie wuj i ciotki z pełnego dobrego serca życzyli jej wszelakiego błogosławieństwa Bożego.

— Przyjedziwa abo przyślewa młodych na twoje wesele, tak wołają, „zitając“ się na rozstanie.

Tak tedy Spręcowsy odjechali najprzód, z różnemi kłopotami o bliskiem weselu.

Zaraz po wieczerzy większa część gości zbierała się „pod dom“; zaprzągano napasione dobrze na kiermasie konie — wynoszą mantle, płaszcze, kitajki, twarde mycki i ciepłe chustki z szafy: „bo zieczoram zietr zimny przeciaga“, — następują pożegnalne uściski i pocałunki. Goście muszą wziąć ze sobą przynajmniej po kучu z kiermasu „do posmaki ná tych, co w domu łostali“ po czem żegnając się wodą święconą wychodzą, we drzwiach jeszcze wołając: „łostańta sia z Bogam, Bóg wama zapłać za gościność — ale nie zabácza i ło naszam kiermasie“. „Jedźta z Bogam, odpowiadają domownicy, niech waju sám Pán Jezus i Matka Náswantsza szczęśliwie do domu zaprowadzi“ i wychodzą za nimi aż na podwórzę, gdzie już konie rżą i wspinają się, nie mogąc się doczekać na swych panów. Parobcy je trzymają za uzdy mrując sobie pod nosem: „też to i konie wychowane, jek łu ksiandza,\*\*) znać mało do roboty mają. Náma by je trzeba w rance na pára miesiandy.“

Gospodarz ze dzbankiem i szklanką w ręku raczy jeszcze piwkiem lub winem — jeszcze ostatni haust „na zdrozie“! chociaż się ciotki niecierpliwią — jeszcze jedno „łostańta sia z Bogam!“ — wozy dudnią i już po gościach i po kiermasie.

\*) narzeczoną. \*\*) Ma konie jek ksiądz — przysłowie na Warmji.



W izbie płaczą dzieci z żalu za gośćmi; w domu jakoś „matyjasznie“, smutno, samotnie, pusto się stało, jakby po giełdzie albo po weselu.

To są kiermasy nasze, na których jasno uwydatnia się staropolska gościnność, zakorzeniona głęboko w sercach naszych — jako też i w młodocianych sercach dzieci naszych. — A jeżeli obcemu przychodniowi tędy droga wypadnie — niech się sam raczy przekonać o tem. Przyjmie go nasz gospodarz i ugości, jak ongi pocziwy Piast owych dwóch nieznanomych — aniołów.

K O N I E C.

---



## Dodatek.

### Spostrzeżenia — objaśnienia.

Ponieważ „Kiermasy na Warmji“ po części pisane są w trzech djalektach, mianowicie w mazurskim i warmijskim a- i e-djalekcie, nadto w nieurtartej, co do a-djalektu, może po raz pierwszy ukazującej się pisowni, więc potrzebne są niektóre dopiski i objaśnienia, zwłaszcza, że wszystkie trzy djalekty po szczególnych wsiach, miastach i okolicach w różnych przedstawiają się formach i odrzękach.

Na przykład nie zachodzący w piśmiennej mowie odrzék a n g: „w r a n g k u“ (w ręku) „psiuł z rangki woda“ nie da się chyba inaczej wyrazić w piśmie, jak przez zestawienie liter a n g, ażeby wyostać brzmienie jak w wyrazach: angelus, Angoulême, Angst. Dalej a-djalekt ma wyraz: ksiąjżka (książka). Odrzék ą nie jest jak w wyrazie ksiiojżka i nie ksiiojżka lecz aj. Wyraz gęsi przedstawia się w a-djalekcie jak: gajsi i gasi, w e-djalekcie: gejsi i gesi, po miastach gensy, po rosyjsku gusy — więc ten sam wyraz w różnych odrzękach. Sprawa dla językoznawców bardzo ciekawa i dochodzeń godna.

### W a r m i j s k a d e k l i n a c j a :

#### I.

#### Liczba pojedyncza.

1. gniady koń	dobry brat	ksiądz
2. gniadego konia	dobrego brata	ksiandza
3. gniade(a) mu koniozi	dobre(a)mu bratu	ksiandzu
4. gniadego konia	dobrego brata	ksiandza
5. gniady koniu	dobry bracie	ksiąjże
6. z gniadam koniam	z dobram bratam	ksiandzam
7. w gniadam koniu	w dobram bracie	ksiandzu



### Liczba mnoga.

- |                       |                      |           |
|-----------------------|----------------------|-----------|
| 1. gniade konie       | dobre braty (bracia) | ksiaża    |
| 2. gniadych koni      | dobrych bratów       | ksiajży   |
| 3. gniadam koniom     | dobram bratom        | ksiajżom  |
| 4. gniade konie       | dobrych bratów       | ksiajży   |
| 5. gniade konie       | o dobre braty        | ksiajża   |
| 6. z gniadami koniami | z dobrami bratami    | ksiajżmi  |
| 7. w gniadych koniach | w dobrych bratach    | ksiajżach |

W drugim przypadku używają na Warmji często formy przymiotnika zamiast rzeczownika na zapytanie czyje? na prz. koniowe, bratowe, księdzowe i ksiajże. Zachodzą też i formy: ksiandze, ksiandzów, ksiandzom, ksiandze, ksiajża i ksiandze, z ksiandzami, w ksiandzach — w e-dialekcie także obie formy: ksiejża i ksiendze, nawet: ksindze.

Słowo: Niemiec brzmi w a-dialekcie Mniamniec, Mniamca, Mniamcozi, Mniamce, Mniamców, w Mniamcach (naród i kraj), w e-dialekcie: Mniemniec.

### II.

#### Liczba pojedyncza.

- |                       |                      |
|-----------------------|----------------------|
| 1. głąmbokie morze    | jedno jepko (jabłko) |
| 2. głąmbokiego morza  | jednego jepka        |
| 3. głąmbokamu morzu   | jednamu jepku        |
| 4. głąmbokie morze    | jedno jepko          |
| 5. o głąmbokie morze  | jedno jepko          |
| 6. z głąmbokam morzam | z jednam jepkam      |
| 7. w głąmbokam morzu  | w jednam jepku       |

#### Liczba mnoga.

- |                         |                     |
|-------------------------|---------------------|
| 1. głąmbokie morza      | dwa jepka           |
| 2. głąmbokich morzów    | dwuch jepk (jepków) |
| 3. głąmbokam morzom     | dwom jepkom         |
| 4. głąmbokie morza      | dwa jepka           |
| 5. o głąmbokie morza    | dwa jepka           |
| 6. z głąmbokami morzami | z dwoma jepkami     |
| 7. w głąmbokich morzach | w dwuch jepkach     |

W drugim przypadku liczby mnogiej: morzów i mórż, jepk i jepków, kołów, serc, źródeł (źródół), strzamniani (strzemień), ramniani (ramnion), ramnieni.



### III.

#### Liczba pojedyncza.

1. psiangkná dusza	liwá rangka,	e-dj.	rengka
2. psiangkny duszy	liwy rangki	„ „	rengki
3. psiangkny duszy	liwy rance	„ „	rence
4. psiangkná dusza	liwá rangka	„ „	rengka
5. psiangkná duszo	liwá rangko	„ „	o
6. z psiangkną duszą	liwą rangką	„ „	ą
7. w psiangkny duszy	w liwy rance	„ „	rence

#### Liczba mnoga.

1. szczęśliwe dusze	rance	w e-djal.	rence
2. szczęśliwych dusz	rań, ranców, rangków,	e	
3. szczęśliwam duszom	rangkom	w e-djal.	rengkom
4. szczęśliwe dusze	rance	„ „	rence
5. o szczęśliwe dusze	o rance	„ „	„
6. z szczęśliwami duszami	rangkoma, rangkami,	eng	
7. w szczęśliwych duszach	w rangku, rangkach,	„ „	

W czwartym przypadku liczby pojedynczej w a-dialekcie nieznaną formą ę ani ą; „moją dusza“ zamiast „moję (ą) duszę“ lub „psiękną duszę“.

W drugim przypadku liczby mnogiej zachodzi częsta forma ów — duszów, żonów, rzeczów i rzeczy.

#### Stopniowanie przymiotników.

Bziąły, bzielszy, nábzielszy; wysoki, wyższy, nąwyższy; duży, ziangkszy, nąziangkszy (w e-dialekcie: ziangkszy i zienkszy); zły, gorszy, nągorszy; mniantki (mnientki), mniantszy, námniantszy. Zieski (wiejski), mniieski, kamianny, drewnianny, płócianny, angielski — bez stopniowania; także: warszawski, łolstyński, bartęzki, bartajski, jondorfski, szawałdzczy, szafaldzczy, dyz(w)iccy, sętałscy; także: ziołnianny (wełniany), gli-nianny, śćklanny (szklany), skórzanny, słomianny, bla-szanny i blachowy, różanny i różowy.

#### Zaimek.

W liczbie mnogiej:

1. my, wy, łoni, łone (oni, one),
2. nāju, wāju (was), jech, do niech,



3. námá, wáma (wam), jam, ku niam, jem, niem,
4. náju, wáju, jech, je (łone),
5. wy (wyście, wyšta są),
6. z náma, wáma, z niami, niemi (e-djal.),
7. w náju, wáju, niéch.

„Z wáju nicht nic ni má.“ Chto, chtóry, jeki, czyjéch — są ustawiczne formy warmijskich djalektów, mazurski djalekt używa ich tylko na pograniczu warmijskiem, dalej ku Polsce, ma czyste kto, który (nie który), jaki (nie jeki), choć wszędzie s c y p i e czyli s y c y, jak mówią na Śląsku.

#### L i c z e b n i k.

Odrębne formy djalektów warmijskich są: jedan, sztery (Mazur ma ctery), psiańc (psieńc, psienć), sietom (sietem), łosiom (łosiem), dzieziańc (dziezieńc w e-djal.), szternáście, psiantnáście (psientnáście), psiantnáście tysiancy. Dalej: dwaj, w 3. przyp. dwoma, dwa nie dwie, ale łobzie (obie), w 3. przyp. łobom i łoboma w wszystkich rodzajach, obydwaj nie znane tu, jak obydwie. Trzy i t. d. ma w 3. przyp. trzoma, szteroma, w 6. przyp. z trzoma, psiańcioma, w 7. prz. w trzech, w psięciu, w psiańciu.

Ułamki: pół, półtora, dwie trzecie zachodzą tu w formach: pu, putora, dwa trzecie, ale: o godzinie pu do trzeci i w pu do trzeci, czwarty, psiały.

#### C z a s o w n i k.

psisza	cytám	mám	banda (bende)
psieszsz	cytász	mász	bańdziesz (eń)
psisze	cytá	má	ban(eń)dzie
psiszewa	cytáwa	máwa	bańdziewa
psiszeta	cytáta	máta	bańdzieta (eń)
psiszą	cytają	mają	ban(en)dą

#### Konjugacja czasu przeszłego.

Psisáłam (m.), cytáłam (m.), mniáłam (m.), bułam  
 psisałam (f.), cytałam (f.), mniałam (f.) — m., f., n.



Kóńcówka am zachodzi w rodzaju męskim, żeńskim i nijakim. Mazur ma wyraźne: byłem, byłam, byłem. Ale na Warmji w r. męzk. wyraźne: ąlam, w ż. ąlam.

psisâłeś, psisałaś      mniâłeś, mniâłaś, bułeś (aś, oś)  
psisâł, psisała, psisało      mniâł (a, o)      buł, buła (o)  
psisalim (łym)      mnielim, mniiałym bylim, byłym  
psisališta (łyšta),      mnielišta (ałyšta) bylišta (łyšta)  
psisali (ły)      mnieli (ały)      byli, były  
łumer, łumerła, łomer (umarł), po rosyjsku: umer.

#### W czasie przyszłym:

Banda cytâł i cytać, mniâł i mnieć. Puda (pójdę) od jida, szetam, szeteś, szłeś rodz. męski, r. żeński szłam, szłaś r. nijaki szłom; szedłem(am), pudziewa, pudzieta, pudą. (U nas jak na Górnym Śląsku.)

Bezokolicznik: być-ma w trybie rozkazującym: bądź (nie bądź), bądźwa, bądźta, niech bań(en)dzie.

#### Przysłowki.

Niegodno i niegodnie, daleko i dalece, ciasam (czasem), po pańsku, na razie, corocznie, codziennie, łukradkam, milczkam. Jednakowo, setnie, po mniamniecku i po mniecku, po czesku (ciesku).

#### Przymek.

Ná, puda ná wody (po wodę, dla w łu (u) wáju), ku dźwierzom (drzwiom), przez płot (tu słyszy się często mylnie: bez płot, to pochodzi z podobnego odbrzęku: przez—bez. Nadto bez używa się poprawnie np.: bez łojca, matki), mniandzy i miedzy (między), w miastach Wartemborku i Olsztynie — mnendzy, m. nama, ku tobzie.

#### Spójniki:

Abo—abo (albo), jek (jak), mantelki (motyle) jek ksiaty; niż, tyś ziangkszy niż łona; kiedyby (gdyby).

#### Wykrzyknik.

Ach, ná, no, łoj (oj), brawo, mniau (miau), ha, hej chłopaki do roboty, kikiryki, hejże na wolnego, ha, ha! o rety, hop, hop, hoła, cyt, banc (bęc), kra-kra, pst i inne równe z mową piśmienną.



! Negacja a dopełniacz.

Warmjacy używają drugiego przypadku przy negacji, genit. partit. np.: nie jam mniajsa w psiątki, kupuja chleba, codziań; przy czasownikach wyrażających strach, żądanie, chęć, jak: boja sia grzniotu, dolewać łożaju do łognia, narwać, jepk, grochu, i błędnie jak np.: prościć Matki Boski to przyczyna (przyczynienie się).

Kilka wyrazów w armijskich.

Bziałka (starop. białogłowa) kobieta zameżna lub wdowa; na stryja (brata ojca) mówią tu zwykle wuj (jak na brata matki), na żonę stryja: stryjna i wujna, na żonę wuja: wujna, na obie: ciotko! jak na niezameżne ciotki; na męża siostry matki: sfák; dzieci od braci i sióstr mianują się: pubracia (półbracia) i pusiostry, jak dzieci od jednego ojca a różnych matek albo tejże matki a różnych ojców. Mazurzy mówią na każdego rówieśnika: bracie, bratku, siostro, siostrzycko. Człek = człowiek, grubasa = grubas, Jakubasa (nazwisko). Ruchla, ruchetka = bukiet czyli równianka; chojina = sosna; chojniak = mały las mazurski; jeglija, jeglijka, po maz. jeglaska (na Gody) = jegła, świerka, w Zakopanem: smerek; jierzba = wierzba; jebłonka = jabłoń; kruszka = grusza; zisńia = wiśnia; śwaczki, plomy = śliwki; jierzambzina = jarzębina. — Chmara (chmura) = wiele; gwałt (gewaltig) = mnóstwo, dużo; siuła (siła) = wiele, ile?; gráj (u psa) = wścieklizna; puścian (pościan) = cień; zupan = żupan (staropolska długa suknia); grzniotowa = niezdarna duża czapka; wani i kaftan = kaftanik; portki, na Mazurach buksy = spodnie; skorznie = buty. Cias = czas; zietr = wiatr; siułka, siułeczka = chwilka; párowa = parów; łonaczyć, onaczyć = kręcić w słowach, wymawiać się; ciećwerzyć = symulować, udawać. Rangka, mangka męka), szczangka (szczęka), stangká (stęka), łusina czoło).

Podobny odrzék jak nasze „ń“ znajdujemy na niemieckiej Warmji w narzeczu dolnoniemieckiem (platt-



deutsch), np.: Hańd, Huńd. W kalendarzu I. Pohla na r. 1923 piszą ten w wysokiej mowie niezwykły odbrzek: Haingd (ręka), Huingd (pies), wuniaszēn, wuingascheen (wunderschön, cudownie), runia, ruinga (herunter, na dół), kuń, kuing (konnte, mógł), sztonie, schtuinge (standen, stali i Stunden, godziny); ańre, aingre (andere, inne); mänjet (manches, nie jedno); verschwuinge (verschwunden, zginął); bekańtlich, bekaingtlich (bekanntlich, znajomo).

„R“ ginie na końcu zamieniając się na „a“, np: Pead (Pferd, koń), hia, hea (hier, tu), foats (sofort, zaraz); mea (mehr, więcej), woa wymaw. woła (war, był); wyja (wir, my) stąd chełpliwe: hija saja (wym.: zaja) wyja Herras (tu my [Niemcy] panami!).

Na niemieckiej Warmji także zachodzi a- i e-dialekt, np.: es raingt (wym.: rańt) i es reingt (reńt) es regnet, pada; śnieg kurzy — es schnajt i es schnejt (schneet); idziesz znowu: gajsst allwedda i geest allwedda (allwieder).

## 2. Wojna w Bredynku.

Bredynek, wielka wieś polsko-warmijska pod Biskupcem, malowniczo rozbudowana wokoło 20-morgowego dawnego jeziórka, nabrała dziwnego rozgłosu przez lokalną wojnę swoją w maju i czerwcu 1863 r., która atoli żadnej nie miała styczności z ostatniem powstaniem polskiem przeciw nieznośnym rządóm pod Moskalem.

Przyczyną wojny w Bredynku było gwałtowne spuszczenie owego jeziórka, czyli bagna na środku wsi, gdzie teraz dwudziestomorgowa żyzna łąka się znajduje.

Żwawi, ruchliwi i pracowici Bredyńczanie umiłowali wielkie a pożyteczne bagno swoje tak wielce, że uważali, iż bez niego ani gospodarować ani żyć się nie da. Mieli bowiem z jeziórka swego dobrą wodę przy rękę i ryb dostatek, mieli wygodę dla siebie, dla bydła, dla gęsi i kaczek, stąd było co i w „mieszek“ ostatek, były i zdrowe harce w lecie na łódce, w zimę na lodzie.



Na końcu bagna pod Biskupiec stał wodny młyn ze swym tanim i niedalekim pożytkiem, każdemu gospodarzowi i robotnikowi tak potrzebnym; przy młynie stała powabna karczma.

Lecz nastał nowy młynarz i zauważył większy zysk z wielkiej łąki, niż z małej wody . . . Wnet namówił gospodarzy w karczmie do podpisu, że woda należy do wsi a rola pod wodą jemu i na to chciał wodę spuścić. Ludzie poznawszy swój błąd sprzeciwili się i przyszło do sądów; młynarz wygrał i zaczął wodę spuszczać, ale Bredyńczanie, w strachu przed nieoszacowaną stratą, przekopaniu tamy przeszkadzali, nie zważając nawet na „wachmistrza“.

Wskutek tego sprowadził młynarz oddział żołnierzy, złożony z 24 chłopów i 1 oficera z Rastemborka czy z Leca. Żołnierze dali salwę na wzburzone, w kije, cepy, widły, rydle uzbrojony lud, który stał na tamie przed młynem. Padło na miejscu 5 osób, a 5 ciężko rannych w okropnych mękach wyzionęło wnet ducha. Tedy ludzie przerażeni uciekali z krzykiem do domów, a żołnierze rozwydrzeni za nimi strzelali i kłóli bagneta mi. Dziewczyna Anna Pliszkówna otworzywszy drzwi aby się dowiedzieć, co się dzieje, ugodzona kulą w głowę padła trupem w sieni. Podobnie padła ciężarna kobieta przebita bagnetem. Liczbę zabitych podają na 17, nadto wielu było ciężko rannych.

Naoczny świadek tej niezwyklej rzezi, b. gospodarz Kantel z Bredynka pisze dnia 15. stycznia 1923: „Chciałbym oznajmić, com był proszony, jak się robiło w Bredinku roku 1863, 6. Maja, kedi ten mynarz . . . . niedobroczyńca dał ten lud pozabijać, to na tem placu padło 5 chłopów 3 kobiety i 2 dzewczaki trupem i przez 30 czejszko rannech, a otech rannech any jeden nie wyzdrowiał, te zabite to były wszyscy zachowani w Ziskupcu na smentarzu“.

W m e t r y c e kościelnej stoi tylko następujący lakoniczny spis nazwisk ludzi padłych w owej wojnie bredyńskiej: 1. Ignatz Koziółek, Bauer, 46 Jahre, erstochen, 2. Valentin Klomfass, Altsitzer, 66 J. erstochen, 3. Rosalia Formanski geb. Jablonka 46 J. erschossen,



4. Anna Formanski geb. Jablonka 46 J. erschossen,  
5. Anna Pliszka 19 1/2 J. 6. Frau Elisabeth Skupski 28 J.  
7. Friedrich Schäfer 50 J. 8. Anton Koenigsmann 28 J.  
9. Joseph Moek 80 J. (wszyscy) erschossen. 10. Infolge  
Stichwunde (kłóty bagnetem) † Valentin Skupski 45 J.  
11. Michael Hahn 45 J. 12. Johann Stolla Eigenkät-  
ner 45 J. 13. Anton Biendara Eigenkätner 47 Jahre.  
Od 1—13 wszyscy z Bredynka. 14. † Michael Lompa  
Bauer, Stanslewo (postrzelony). — Wszyscy w Biskup-  
cu pochowani; jaki ksiądz chował nie wiadomo.

Wielu twierdzi, że zabitych najprzód przy domie  
swoim zagrzebano, a potem dopiero w Biskupcu na  
cmentarzu pochowano, ale pewności o tem nie ma, jak  
i o tem, ilu zmarło w pierwszych dniach, ilu wnet, ilu  
i kiedy zwolna wskutek ran przez żołdactwo zadanych.  
Zdaje się, że wstyd i strach przed wzburzonym słusznie  
ludem winnym usta zawarł i nie dopuszczał rozgłosu  
w tej drażliwej sprawie.

Po tem „zwycięstwie“ żołnierze pozostali w Bre-  
dynku aż bagno spuszczone i wysuszone. Młynarz wy-  
grał, lud przegrał. I aby lud utrzymać w karbach wy-  
toczono nawet procesy tym, którzy się przyglądali tej  
niecnej bitwie. 42 dostało pozew na sąd do Barsztyna;  
14 dni trwało śledztwo w Barsztynie, 9-ciu dostało 6—9  
miesiący więzienia, a bagno bredyńskie zginęło niepo-  
wrotnie. Obecnie dzierzawi utworzoną po wojnie łąkę  
aptekarz z Biskupca.

Młyn z karczmą stał gdzie dziś karczma nad drogą  
do Biskupca stoi.

Na miejscu bitwy postawiono 70 metrów od kar-  
czmy zaraz w r. 1863 krzyż; przy krzyżu sfundował po-  
bożny gospodarz i prowadnik ofiar do Świętolipki itd.  
Jan Skupski II w r. 1884 kaplicę, w której się odprawia  
corocznie po wielkanocy Msza św. dla chorych i niedo-  
magających penitentów za padłych w „wojnie“ i za kre-  
wnych. Jan Skupski II, fundator kaplicy, umarł 1915 r.

Dość obszerna kaplica z 5 oknami zawiera w so-  
bie przystrojone różne obrazy i 3 ołtarze: Matki Bo-  
skiej, św. Antoniego i Serca Jezusowego, przed któ-  
rą płonie wieczna lampa, przypominając czerwonem



swem światłem wojnę w Bredynku. Nad kaplicą dzwonek codziennie 3 razy przemawia.

Ludzie i teraz jeszcze sądzą, że im się stała bardzo wielka krzywda.

Krzyż i kaplica na miejscu, gdzie na pierwsze strzały padło nagle trupem dziesięć ludzi winnych i niewinnych wyraża zadośćuczynienie w tej ciemnej sprawie, liczne obrazy stacyj, Matki Boskiej Bolesnej, Częstochowskiej, Kordeńskiej, Ostrobramskiej, Lourdzkiej, Gietrzwałdzkiej, św. Antoniego i św. Franciszka z Asyżu z krzyżem w obłokach przypominają wołanie o zemstę i pociechę z góry głęboko religijnego ludu w Bredynku i okolicy.

### 3. Religijność i walka kulturalna na katolickiej Warmji.

Religijność na katolickiej Warmji tj. w udziale biskupim, do którego należały 4 powiaty: brunsberski, licperski, reszelski i olsztyński z dwunastu miastami, licznymi wsiami i majątkami, była tak niewzruszona, że kraik nasz otrzymał chlubną nazwę „świętej Warmji“.

Dzielnicy jej biskupi ustalili wiarę rzymsko-katolicką tak bardzo, że podczas i po tak zwanej reformacji poddani ich otoczeni ze wszech stron: to luterskimi Mazurami, to protestanckimi „oberlendrami“ w zbitej masie pozostali wiernymi bez wyjątku starej wierze ojców swoich.

Z gorliwych tych szermierzy duchownych godzi się wymienić z jednej strony kardynałów Hozjusza, Batoro i Radziejowskiego, biskupów Kromera, Szyszkowskiego, Połockiego, Grabowskiego, którzy na Warmji podnieśli poziom religijności i kraj nasz z bogacili przez racjonalną gospodarke, zakładanie instytucyj dla ubogich i dla konwertytów, postaranie się o fundusze dobroczynne (montes pietatis) i o uposażenie tych zakładów i kościołów — z drugiej strony biskupa von Hohenzollern, odnowiciela i krzewiciela szkół katolickich i kardynała Filipa Krementza, nieustraszonego pogromiciela walki kulturalnej.



Przez oddanie katolickiej na wskroś Warmji, znajdującej się w wielkim rozkwicie, luterskim Prusom dnia 13. września r. 1772 zmieniło się wszystko na jej niekorzyść. Po upadku bowiem rządów polskich, stary Fryc z polityki ryczałtem sprowadzał wyznawców Lutra najprzód do miast i na majątki po wypędzeniu szlachty polskiej.

Pomimo traktatu z królem polskim z 18. września 1773 zapewniającego w artykule 8. nietykalność religii i dóbr kościelnych, złamał rząd pruski te zaprzysiężone gwarancje wnet z lekceważeniem. Już 1797 zagrabił główne dobra biskupa, kapituły i innych instytucyj kościelnych, zabrał fundusze dobroczynne, dając je protestantom, którym zaraz sprowadzał predjuszów.

Przez okropne podatki i nowe rozporządzenia zrujnowano resztę katolickiej szlachty, po większej części polskiej. Majątki jej, których było w roku 1771 117, przeszły w ręce protestantów — oficerów.

Cały ten czas aż do roku 1852 był dla katolików na Warmji bardzo smutny i bolesny.

Naczelny prezes von Schoen wziął sobie za zadanie skrzywdzać i upokarzać kościół katolicki i dostojników jego. Świadczą o tem do sytu listy biskupa Józefa von Hohenzollerna i liczne pisma XX prof. dr. Hiplera i dr. Dittricha i innych.

Po stu latach przynależności Warmji do Prus nastąpiła w a l k a k u l t u r n a.

Już 13. września 1872 niedopuszczono biskupa Filipa Krementza do hotelu w Malborku, ale przypuszczono wolnomularzy do cesarza Wilhelma I, ich protektora, który na ich przemowy i adres odpowiedź dał! a biskupa nie chciał widzieć.

Nastąpiły ciężkie czasy, wielki ucisk. Biskupowi zakazano księży ustanawiać, kapłanom nie wolno było wypomagać w parafjach, gdzie księży nie było. Po wymarcu znacznej części proboszczów nastąpiło pomiędzy ludem rozgoryczenie, ucisk sumienia i strach przed śmiercią bez kapłana.

Z powodu w y k l ę c i a 5 starokatolickich księży: Wollmanna, Treibla, dwóch profesorów licealnych:



Michaelisa i Menzela i kuratusa Grunerta (w Wystruci, później w Królewcu) i za ustanowienie kapłanów zawieszono nad biskupem wstrzymanie wypłaty dochodów (Temporalienperre), sądownie ukarano i 5 razy wyfantowano.

Wielu księży ukarano grzywną, niektórych więzieniem, jak ks. Juljusza Pohla, ks. proboszcza Augustyna Weichsła z Gietrzwałdu i innych za to jedynie, iż obowiązki swoje wykonywali, iż przeciw prawom majowym chrzcili, publicznie Msze odprawiali, umierającym sakramentów św. udzielali, śluby dawali, umarłych po za swoją parafją grzebali, lub drugich kapłanów do swej parafji na pomoc wołali.

Także katolickich redaktorów, zwłaszcza księży często więzieniem karano.

Dnia 15. lipca 1871 odpuszczono z gimnazjum w Brunsberku 35 uczni, którzy od Wielkanocy dla naginania sumienia przez prof. Wollmanna starokatolika ekskomunikowanego na naukę religji uczęszczać nie chcieli. Tę walkę niesłuszną nałożył sławetny minister Falk gimnazjastom brunsberskim, którzy po większej części opuścili tę uczelnię i udali się na inne gimnazja. Walka ta znana pod przydomkiem: Der braunsberger Schulstreit. Było to nowe uciemżenie dla katolików warmijskich. Ale z uczni wysli nowi bohaterzy!

A lud wierny cierpiał, gromadził się w niedziele i święta w swych kościołach a czyniąc tam wielki lament odprawiał nabożeństwa swe bez kapłana. Lud znosił pokornie ten ucisk i zdumiony wyglądał pomocy z góry: Toć to równo jekos będzie! — pocieszał się.

I stało się jakos inaczej. Jak uczniowie opuścili swych niepostusznych kościołowi profesorów, tak lud gardził odszczepieńcami i ich fałszywą nauką, więc musiano ich przenieść w inne okolice, gdzie wymarli i pošli w zapomnienie.

Poszedł za nimi i dr. Falk i żelazny kanclerz Bismark po przegraniu walki „pyszałków z Panem Bogiem“ trąciwszy głową o opokę Piotrową.

Tak ustała walka „kulturalna“, walka otwarta przeciw religji, ale niestety pozostała tajna walka i ta trwa



dotąd; do niej dołączyła się dalsza walka o szkołę i język ojczysty, zaostając się coraz więcej . . .

#### 4. Objawienia gietrzwałdzkie.

Na stronie 81-szej jest mowa o pielgrzymkach i cudownych objawieniach Najśw. Marji Panny w Gietrzwałdzie r. 1877 i nast., które wywarły ogromne wrażenie na Warmję i na całą Polskę. Różaniec i inne nabożeństwa zakwitnęły, wiele tysięcy się tam wypowiedało i szczerze nawróciło do Boga. Były to czasy walki kulturalnej o ostrych prześladowań pod Moskałem. Potrzebna była pociecha dla pokutującego narodu.

Tego samego roku Ojciec św. Pius IX. błogostawił owej wielkiej pielgrzymce polskiej w Rzymie, zachęcając do cierpliwości, stałości i odwagi.

Wiele pociechy i odwagi dodały owego czasu prześladowanym katolikom zjawienia gietrzwałdzkie, więc podajemy tu krótko początek tych zdarzeń podług urzędowych sprawozdań.

X. Biskup Filip Kremenz aprobował 21. XI. 1877 książeczkę o tych objawieniach takimi słowami:

„Ponieważ przedłożona nam książeczka pod tytułem: „Objawienia Matki Boskiej w Gietrzwałdzie“ nic w sobie nie zawiera, coby było przeciwnem wierze i obyczajom katolickim, a fakta w niej wypowiedane powzięte są z urzędowych dokumentów, które względem zająć tamtejszych od Ordynarjatu zostały zaciągnięte i autorowi tego pismka do użytku powierzone, przeto dajemy nasze „Imprimatur“ z tem nadmienieniem, że to zezwolenie na druk ani wyroku kościelnego względem pochodzenia i charakteru rzeczonych zjawień w sobie nie zawiera, ani też nieuprzedzonemu i sumiennemu rozważaniu czytelnika w jakikolwiek sposób chce uszczerbek czynić“.

Proboszczem w Gietrzwałdzie od roku 1869 do 1909 był pobożny X. Augustyn Weichsel.

Dnia 27. czerwca 1877 egzaminował X. Weichsel po obiedzie dzieci, które miały w następną niedzielę przystępować do pierwszej Komunii św. Między temi była nieśmiała i mniej utalentowana 13 letnia Justyna



Szafryńska z Nowego Młyna, parafji gietrzwałdzkiej. Kiedy wyszła po zdaniu egzaminu na drogę, spotkała swą matkę, która ją najprzód pytała, czy ją ksiądz przyjmie. „Przyjmie“, odpowiada wesoło „bom też mogła wszystko, jek nigdy jeszcze; alem też sia mocno modłuła do Náswantszy Panny, by mi dopomogła“.

W tem zadzwoniono na Anioł Pański. Po zmówieniu modlitwy matka parła do domu, ale Justyna zwrócona twarzą do kościoła woła: „Czekajciano, matulku, aż łobacza, co to jest to białe tam na klonie.“ Matka się pyta, co tedy widzi. „Zidza coś, co wygląda jekby człoziek. Banda tak długo patrzyć, aż sia gdzie podzieje. Drzewo całe jest jasne, może sia pali, abo co.“

Matka niczego nie widziała i znowu nagliła do domu, bo już późno. W tem nadchodzi ksiądz i pyta się Justyny, czy się cieszy z przyjęcia do I. Komunji na niedzielę. Ale Justyna jakby nie słysząc tego nie dała odpowiedzi, więc matka mu tłumaczy przyczynę. Ksiądz każe Justynie zbliżyć się do klonu oddalonego ze 200 kroków. Justyna idąc ku drzewu, wskazała ręką na gałęzie klonu, gdzie widziała siedzącą na złotym, perłami wysadzonym tronie, piękną dziewczę, ubraną w biele z długimi, jaśniejącymi włosami, które spadały na ramiona. Ksiądz kazał Justynie odmówić „Zdrowaś Marja“. Po tem pozdrowieniu stało się wszystko jeszcze jaśniejsze. „Teraz przychodzi“ podaje Justyna „dzieciątko z nieba w białam ziánku na głozie. Teraz dzieciątko kłania sia pannie, a teraz wstaje panna i jidzie do nieba z dzieciątkam po liwy stronie. U góry zidać same niebo bez obłoków“. Po chwili: „Już wszystko znikło“. Ksiądz i matka Justyny nic nie widzieli. Do matki mówiła Justyna: „Zidziałam mocno psiankną panna, a buła żywa. Patrzyła na mnie i na ksiandza, a taka buła jasność, że ni mogłam patrzeć. Chciałam krzyczeć — ni mogłam, uciekać — nie bułam w stanie.

Na drugi dzień powtórzyło się to zjawienie. Aniołowie przynieśli jeszcze berło, koronę i jaśniejący krzyż. Zjawienie trwało, jak długo odmawiano róża-



niec pod klonem. Tego wieczora zgłosiła się 12-letnia Barbara Samulowska z Woryt do X. Weichsła z nowiną, że i ona widziała N. Pannę, dziecię, aniołów, koronę, berło, krzyż, ale ksiądz ostrożnie ją odprawił. Objawienia powtórzyły się 29 i 30 czerwca.

X. proboszcz Weichsel kazał tym dwom dzieciom zapytać się w niedzielę dnia 1. lipca: kimby było zjawisko, czegoby żądało i czy chorzy mogą przychodzić.

Justyna widząc N. Pannę tym razem samą wedle rozkazu księdza pyta cudowną dziewicę: czegoby żądała. „Ja żądam, abyście codziennie odmawiali różaniec. Na drugie zapytanie: kto Ty jesteś? słyszała głośne słowa, jakby do całego ludu zgromadzonego: „Ja jestem Najśw. Panna Marja, niepokolanie poczęta“. Tedy zjawienie znikło. Barbara tą razą nic nie widziała oprócz blasku na klonie, tak że z płaczem wyznała matce, że nie ukazała się jej „biało ubrana, jaśniejąca pani“, za to nazajutrz dnia Nawiedzenia NMP wesoła, szczęśliwa powiadała matce, że ta biała pani pokazała się we śnie i na zapytanie, kimby była, mówiła: „Ja jestem Niepokolanie Poczęta“. Ksiądz proboszcz przy różańcu odosobnił obie, żeby się nie mogły widzieć, tem mniej porozumieć, mimo to zgadzały się ich odpowiedzi. Na zapytanie, jak długo trwać będą objawienia, dostały odpowiedź: „Ja tu będę jeszcze dwa miesiące“, na pytanie, czy chorzy mają przybywać, słyszały słowo: „później!“, co mają czynić chorzy, aby byli uzdrowieni? : „Mają odmawiać różaniec“.

Jeszcze dwie osoby miały dostąpić tego samego szczęścia: Elżbieta Byliewska, starsza wdowa z Woryt i panna Katarzyna Wieczorkówna, 23 lat, z Nowego Młyna. Pierwsza widziała 14. lipca N. Pannę w postaci stojącej z dzieciątkiem Jezus, trzymającym w ręku złotą kulę z krzyżykiem. Oblicze Bogarodzicy było jaśniejące, a na głowie błyszczała korona. Prześliczna biała szata pokrywała całą postać. Prawa ręka była podniesiona jakby do błogostawieństwa.

Druga, panna Katarzyna W. widziała 15. lipca postać dziewicy w bieli na lekkim obłoku nad trzo-



nem klonowym. Oblicze jej było jaśniejsze a z rąk ku ziemi spuszczone wychodziły długie promienie.

Objawienia ukazywały się niemal co dzień. W święto Matki Boskiej Anielskiej 2 sierpnia ukazała się N. Panna w niezwykłej światłości, dwie starsze osoby widziały koło niej mnóstwo aniołów.

Gdy się ks. Biskup o tych niezwykłych rzeczach dowiedział, zażądał od ks. proboszcza W. sprawozdania. Wskutek tego przysłano 22. i 30. sierpnia 1877 biskupią komisję składającą się z kapłanów i lekarzy, która stwierdziła, że 4 wizjonerki są proste, skromne, nieco bojaźliwe a prawdę miłujące osoby, które podczas widzenia nie czuły się na wszystko, co się wkoło nich dzieje, mając oczy zwrócone ku objawieniu.

Nadto zjawienie zmierza do poprawy i udoskonalenia wiernych: wzywa do modlitwy, poprawy życia i bojaźni bożej; poleca odmawianie różańca, powstrzymanie się od gorzałki, parafjanom pozbawionym wskutek walki kulturalnej kapłanów, obieca przez modlitwę powrót kapłanów, oddanie kościołów i zwycięstwo prawdy. Za umarłych żąda modlitwy i ofiary Mszy św. Dzieci i poddanych nawołuje do posłuszeństwa. Krzywoprzysiężcom, pijakom i rozpustnym grozi karą, życie klasztorne zachwala. Komisja dalej wykazała, że wpływ objawień na lud był bardzo dobrym. Pielgrzymi prawie wszyscy przystąpili do Sakramentów św., porządek na cmentarzu, w kościele przy różańcu, we wsi wzorowy, że nawet policja zesłana wyznać musiała, iż niema co robić i zbyteczną jest w Gietrzwałdzie.

„Ztąd — pisze komisja do Arcypasterza — powzięliśmy przekonanie, że objawienia w Gietrzwałdzie mają rzeczywistą podstawę.“

To sprawozdanie komisji biskupiej nie mało przyczyniło się do wzmocnienia u ludu wiary, że to co się dzieje w Gietrzwałdzie pochodzi od Boga.

Władza duchowna nie orzekła się o prawdziwości objawień gietrzwałdzkich, więc ta kwestja otwarta.

Rozgłos o tych cudach sprowadził już w r. 1877



niezliczone zastępy ludności z wszystkich warstw z bliska i z daleka do Gietrzwałdu. Około 8-go września r. 77 sprzedano w Biesalu (Biesellen, najbl. stacja kolejowa od G.) na 40 000 biletów, a ludu zgromadzonego w Gietrzwałdzie w Narodzenie NMP. szacowano na siedemdziesiąt tysięcy mianowicie z całej Polski.

Odtąd corocznie przybywają tudotąd liczni pielgrzymi przez cały rok mianowicie w odpusty: 2 sierpnia NP Anielskiej (Porcjunkuli), 15. sierpnia NP Wniebowzięcia i 8. września Narodzenia NP i powracają ukojeni i pokrzepieni na duchu do domów swoich.

Podobne odpusty, choć nie w takich rozmiarach lecz więcej lokalnej natury, na Warmji odbywają się w Świętolipec 2 lipca, w Jonkowie św. Rocha, w Purdzie Przemienienia Pańskiego, w Wartemborku św. Antoniego 13. czerwca, w Bartęgu Opatrzności Boskiej w XIV niedzielę po Świętkach, w Brunswaldzie św. Katarzyny w ostatnią niedzielę po Świętkach — Dominica ultima.

Do odpustu przyłącza się po nabożeństwie kermas tj. przyjęcie i ugoszczenie krewnych i przyjacieli.

### 5. Bractwo Opatrzności Boskiej w Bartęgu.

Bractwo to, założone dawnymi czasy, odnowione brewem Ojca św. Klemensa XI. 30. czerwca 1710 r. dla królewskiej kaplicy w Gdańsku itp., ma ten cel:

1) żeby członkowie jego w rozmyślaniach swoich wdzięcznie rozważali cudowne drogi Opatrzności Boskiej we własnym życiu człowieka, mianowicie niezaspłażone łaski płynące z błogosławieństwa Kościoła katolickiego,

2) żeby w nieszczęściach, utrapieniach i cierpieniach się zupełnie oddać woli Opatrzności Boskiej,

3) wychwalać Opatrzność Boską gorliwymi ćwiczeniami uczynków miłosiernych,

4) codziennie odmawiać 3 Ojczy nasz i w końcu dodać: Chwała Bogu Ojcu, który mnie stworzył, chwała Synowi, który mnie odkupił, chwała Duchowi św., który mnie oświeca i ku dobremu nakłania; chwała



Trójcy przenaświętszej, Bogu naszemu po wszystkie wieki. Amen.

Na polskiej Warmji tylko w Bartęgu zaprowadzono to bractwo niedzieli XIV po Świątkach, a w poniedziałek po niej Mszę z odpustem sabatinum, stąd tak wielka frekwencja.

Pięć niedziel bractwa są; szósta po Świątkach, czwarta w październiku, druga po Trzech Królach, czwarta w poście i niedziela przed Wniebowstąpieniem Pańskim, w których różnych odpustów się dostępuje za siebie i za dusze w czyśćcu — a odpust zupełny w dzień wstąpienia do bractwa i w godzinę śmierci.

Najwięcej się przyczynił do rozpowszechnienia tego odpustu w Bartęgu X. Tomasz Grem 1776 do 1810, później kanonik przy kolegiacie w Gutsztacie.

Za jego staraniem Ojciec św. Pius VI. nadał Bractwu odpowiednie odpusty i przywileje dla Bartęga 14. 2. 1780.

Uprzywilejowany ołtarz Opatrzności Boskiej w Bartęgu po stronie ewangelji zbudowany przez tegoż proboszcza z francuskiego drzewa orzechowego jak ołtarze w Świętolipce, mieści w środku cudowny stary obraz: wzruszające oko Boskie w trójkącie między jasnymi strzałami i 4 aniołami z napisem polskim u góry: „Bóg patrzy i opatruje“, u dołu: „Bóg patrzy i opatruje“.

W starej księdze Bractwa zapisany jest X. biskup Szembek, wielu kanoników, księży i świeckich ludzi za członków.

Największy konkurs odpustowy był po pierwszych misjach, urządzonych przez OO. Jezuitów na Warmji przeciw picciu gorzałki po roku 1850 za czasów plebana X. Franciszka Kwaśniewskiego, ongi kapelana nadwornego i tłumacza pieśni misyjnej: Seelig, himmlisch ist das Leben, życie już błogosławione (1850—83).

W r. 1917 podczas wojny światowej odnowiono za plebana X. Otona Langkała to bractwo i na nowo zapisano do dziś przeszło 2000 członków z pośród szeregów księży i pobożnego ludu.

Z parafji bartęskiej pochodzi sporo zakonnic, zakonników i księży, jak:



1) X. Walenty Tolksdorf urodz. w Bartęgu r. 1816, święcony r. 1845, umarł w Olsztynie 1905, dla swych prac na Mazurach jako pierwszy proboszcz po reformacji w Lesinach pod Szczytnem i różnych dobrodziejstw wyrządzonych w swem długim życiu katolickim Mazurom „patriarchą mazurskim“ zwany.

2) X. Walenty Barczewski ur. w Jondorfie 1856, święcony podczas walki kulturalnej w Eichstaedt w Bawarii 1883, ongi polski kapelan w Świętolipecie, w Biskupcu, później proboszcz w Wielbarku i Opaleńcu na Mazurach, od r. 1894 proboszcz w Brunswaldzie na Warmiji.

3) X. Jakób Majska urodz. 1874 w Tomaszkowie, święcony we Fromborku 1899, ongi w Mikołajkach, obecnie proboszcz w Szenwizie na Powiślu.

4) Wilhelm Sznarkowski, ur. w Dorotowie 1887, święcony na kapłana 1913, obecnie jest proboszczem w Dźwierzutach (Mensguth) na Mazurach.

Wszyscy czterej odprawili swe prymicje w kościele bartęskim.

Na odpust Opatrzności Boskiej w Bartęgu dążyli jako sąsiedzi z filadelfji X. proboszcz Juljusz Dinder z Gryzlin, późniejszy arcybiskup gnieźnieńsko-poznański i ks. kuratus Paweł Jedzink z Olsztyńka, późniejszy regens i biskup sufragan w Poznaniu.

Bractwo Opatrzności Boskiej wywiera ogromny wpływ duchowny na całą ludność warmijską i dostarcza wielu pracowników we winnicy Pańskiej.

Istniało także przy kościele w Biskupcu bractwo Opatrzności Boskiej jeszcze w r. 1738 i nast., z biegiem czasu atoli zaginęło. Daje o tem świadectwo książeczka 132-stronna, drukowana w Brunsberku z pozwolenstwem przełożonych (cum facultate superiorum) w drukarni Collegii Societatis Jesu, anno 1738 z tytułem: *K l u c z do niezmiernego Opatrzności Boskiej skarbu. Albo odpust, który Klemens XII. Papież Rzymski kongregacji w kościele Biskupieckim nadał, I. O. Xiążę Imć Krzysztof Szembek, Biskup Warmiński i Sambiński S. R. I. P. T. P. P. aprobował.*

Nakładem W. Im Pana Stanisława, Michała Hoziusza, Pana dziedzicznego na Raszęgu, Nassach, Al-



Trójcy przenaświętszej, Bogu naszemu po wszystkie wieki. Amen.

Na polskiej Warmji tylko w Bartęgu zaprowadzono to bractwo niedzieli XIV po Świątkach, a w poniedziałek po niej Mszę z odpustem sabbatum, stąd tak wielka frekwencja.

Pięć niedziel bractwa są; szósta po Świątkach, czwarta w październiku, druga po Trzech Królach, czwarta w poście i niedziela przed Wniebowstąpieniem Pańskim, w których różnych odpustów się dostępuje za siebie i za dusze w czyśćcu — a odpust zupełny w dzień wstąpienia do bractwa i w godzinę śmierci.

Najwięcej się przyczynił do rozpowszechnienia tego odpustu w Bartęgu X. Tomasz Grem 1776 do 1810, później kanonik przy kolegiacie w Gutsztacie.

Za jego staraniem Ojciec św. Pius VI. nadał Bractwu odpowiednie odpusty i przywileje dla Bartęga 14. 2. 1780.

Uprzywilejowany ołtarz Opatrzności Boskiej w Bartęgu po stronie ewangelji zbudowany przez tegoż proboszcza z francuskiego drzewa orzechowego jak ołtarze w Świętolipecie, mieści w środku cudowny stary obraz: wzruszające oko Boskie w trójkącie między jasnymi strzałami i 4 aniołami z napisem polskim u góry: „Bóg patrzy i opatruje“, u dołu: „Bóg patrzy i opatrzy“.

W starej księdze Bractwa zapisany jest X. biskup Szembek, wielu kanoników, księży i świeckich ludzi za członków.

Największy konkurs odpustowy był po pierwszych misjach, urządzonych przez OO. Jezuitów na Warmji przeciw picciu gorzałki po roku 1850 za czasów plebana X. Franciszka Kwaśniewskiego, ongi kapelana nadwornego i tłumacza pieśni misyjnej: Seelig, himmlisch ist das Leben, życie już błogosławione (1850—83).

W r. 1917 podczas wojny światowej odnowiono za plebana X. Otona Langkała to bractwo i na nowo zapisano do dziś przeszło 2000 członków z pośród szeregów księży i pobożnego ludu.

Z parafji bartęskiej pochodzi sporo zakonnic, zakonników i księży, jak:



1) X. Walenty Tolksdorf urodz. w Bartęgu r. 1816, święcony r. 1845, umarł w Olsztynie 1905, dla swych prac na Mazurach jako pierwszy proboszcz po reformacji w Lesinach pod Szczytnem i różnych dobrodziejstw wyrządzonych w swem długim życiu katolickim Mazurom „patriarchą mazurskim“ zwany.

2) X. Walenty Barczewski ur. w Jondorfie 1856, święcony podczas walki kulturalnej w Eichstaedt w Bawarii 1883, ongi polski kapelan w Świętolipecie, w Biskupcu, później proboszcz w Wielbarku i Opaleńcu na Mazurach, od r. 1894 proboszcz w Brunswaldzie na Warmji.

3) X. Jakób Majśka urodz. 1874 w Tomaszkowie, święcony we Fromborku 1899, ongi w Mikołajkach, obecnie proboszcz w Szenwizie na Powiślu.

4) Wilhelm Sznarkowski, ur. w Dorotowie 1887, święcony na kapłana 1913, obecnie jest proboszczem w Dźwierzutach (Mensguth) na Mazurach.

Wszyscy czterej odprawili swe prymicje w kościele bartęskim.

Na odpust Opatrzności Boskiej w Bartęgu dążyli jako sąsiedzi z filadelfji X. proboszcz Juljusz Dinder z Gryżlin, późniejszy arcybiskup gnieźnieńsko-poznański i ks. kuratus Paweł Jedzink z Olsztynka, późniejszy regens i biskup sufragan w Poznaniu.

Bractwo Opatrzności Boskiej wywiera ogromny wpływ duchowny na całą ludność warmijską i dostarcza wielu pracowników we Winnicy Pańskiej.

Istniało także przy kościele w Biskupcu bractwo Opatrzności Boskiej jeszcze w r. 1738 i nast., z biegiem czasu atoli zagięło. Daje o tem świadectwo książeczka 132-stronna, drukowana w Brunsberku z pozwolenstwem przełożonych (cum facultate superiorum) w drukarni Collegii Societatis Jesu, anno 1738 z tytułem: *K l u c z* do niezmiernego Opatrzności Boskiej skarbu. Albo odpust, który Klemens XII. Papież Rzymski kongregacji w kościele Biskupieckim nadał, I. O. Xiążę Imć Krzysztof Szembek, Biskup Warmiński i Sambiński S. R. I. P. T. P. P. aprobował.

Nakładem W. Im Pana Stanisława, Michała Hoziusza, Pana dziedzicznego na Raszęgu, Nassach, Al-



brichtsдорffie etc I. K. Mci Kapitana, Fundatora kongregacji Opatrzności Boskiej.

### 6. Uprawa lnu, separacja, ablucja na Warmji. \*)

Wypada nam jeszcze zastanowić się, jak na polskiej Warmji zatrudniano się uprawą lnu, co sprawiła za przeistoczenie na Warmji separacja i ablucja tacy.

Uprawa lnu, tak wielce w światowej wojnie zachwalana i tak skrzętnie znowu zaprowadzana, kwitnęła na Warmji jak i w całej ziemi pruskiej od niepamiętnych czasów. Z Indji i Egiptu przez Fenicjan przeniesiona już u starych Prusaków znana była uprawa lnu i zachowały się niektóre zwyczaje i gusta z tamtych czasów n. prz. nie prząć lnu w dwunastki (t. j. od wigilji Bożego Narodzenia do Trzech Króli.) Tak samo i u Słowian w czasach przedchrześcijańskich uprawiano len i wełnę dla okrycia swego. Lecz przyznać trzeba, że sprowadzeni przez pierwszych biskupów koloniści z Holandji i ze Ślązka udoskonalili na Warmji uprawę lnu tak, że obok Ślązka i Warmja zaślęnęła z hodowli lnu, odstawiając niezliczone centnary na Brunsberk w dalszy świat. Przez uprawę lnu ludność się zaopatrzwała w potrzebną bieliznę i ubiory, w dostatek, a gospodarz i służba za sprzedane kamienie lnu (po 40 funtów) schowali w mieszek ostatek, ztąd zamożność rosła.

Dodać tu wypada niektóre historyczne wzmianki o hodowli lnu.

Tacyt w swej Germ. c. 17 pisze, że niewiasty w Germanji ubierają się w lniane suknie, które sobie wedle Plinjusza (hist. nat. 19, 2) same sprawiały.

W średnich wiekach głównem zajęciem kobiet była robota ze lnem. Całe pola były obsiane siemieniem, len kwitnący przedstawiał się jako kobierzec boży.

Herulowie idąc w pochodzie nad Dunajem uważali pola lnem pokryte za wielkie jeziora (Warnefried de gest. Longob. 1, 20).

\*) Wyjęte głównie z „Geografji polskiej Warmji“ autora.



Litwini przed nawróceniem swoim nosili tylko płócienne ubrania i futra, dla tego królewskie podarunki wełniane, które im Jagiełło do chrztu przysyłał tym większą im sprawiały radość.

Na Warmji tak wiele pola obsiewano lnem, że biskupi, panowie kraju, z braku żywności w latach 1525, 1529, 1625 zakazywać tego musieli, rozporządzając, że na 2 włóki tylko 3 korce, na 3 włóki 4 korce siemienia siać było wolno. Biskup Jan Dantyszek wydał dnia 12. marca 1545 rozkaz, że kto chce siać len musi przynajmniej 10 korcy żyta wysiać. W roku 1766 złagodzone ten rozkaz na korzec od włóki, ale tylko po wsiach wolno było siemię siać, nie na miejskich polach.

Dopiero okupacja przez Prusaków zmieniła te nakazy i pozwoliła każdemu siać lnu, ile chciał.

Główna odstawa lnu była do Brunsberka, kamień lnu (40 funtów) kosztował na cierlicy dobrze „tarty“ 6 marek, a klepany 12 marek.

Procedura lnu w krotkości jest taka:

Na Warmji siemię sieją w maju — len majowy — lub przed św. Antonim (13 czerwca). Len dojrzewa w sierpniu lub we wrześniu, kiedy główki ma żółte, aż brunatne czas len rwać, rałować, główki suszyć na „górze“ (nad mieszkaniem), knoty pod ścianą, młócić już na adwent siemię do oleju, a sztywny len w wodę 8—14 nocy, z wody na rżysko — miejscami, jak w Rydbachu, bez moczenia tylko na rosę — 2—4 tygodni; kiedy się kruszy i włókno odwstaje — zgrabić, młócić, trzeć na cierlicach i pocieraczkach. Dawniej gromadnie len tarli. Wieczorem po jedzeniu sucharów-surgałów w mleku i świeżych kołaczy bywały wesołe zabawy z tańcem, — zwykle w październiku — kiedy październik ze lnu spadały. Złąd też nazwa miesiąca „październik“, jak listopada, kiedy lecą listki z drzewa.

W zimę poczęto przysuszyć przy piecu len klepać ręcznem klepadłem na stojącym klepadle. Nie raz przy suszeniu lnu z nieostrożności ogień powstał.



Klepany len czesano na szczotkach i przędzono z krack na kołku. Odpadki lnu z cierlicy i pocieraczki zowią się paździora, i nie są do potrzeby, chyba do posłania bydłu, z pod klepadła—pakoły, odpadki z grubej szczotki—zgrzebi, z cienkiej szczotki—paciesi, z krack — kłakry.

Len przędło się do postawy, zgrzebi i paciesi do wątku; długą nić ze szpulki motowali na motowidle, co 40 nici dokoła motowidła było pasmo, które przewiązali motowężkiem, 10 pasem tworzy pynał, 15 pasem półtorak, 20 pasm łokieć. Kiedy chłopcy i chłopaki od 3 rano młócili w stodole (w czterech 4 ławy), dziewczki uprzedły do śniadania o 8 i znowu po każdym oprzęcie aż na wieczór do wieczerzy o 8 po łokciu lub po dwa półtoraki i dostały za to płótna po 5 ścian lub po dwa mendle (mendel—30 lask, ściana—10, półściany—5, okno—2 i pół laski, metr—półtory laski.)

Te łokcie, półtoraki, pynały, pasma przędzy wazryli, suszyli i reżyli, szpulowali, snowali na dużem kole do snowania i tę osnowę wkręcili we czwórkę przez retki (drewniane ząbki) na duży nawój u krosien, przy końcu osnowę przełożyli z retk w napletacze (dwie cienkie listewki), przecięli nożycami, kładli po jednej nici ręką w niciennice (po litewsku nicielnice), z niciennic haczykiem w płochę i przywiązali tę nabieraną przez płochę przędę do końców małej płachty, która ściągała tkaninę (płótno, pstrocinę, sukno, obrusy, ręczniki, płachty, derki itp.) po dwóch mieczach na dół na mały wałek.

Tak była podstawa gotowa na krosnach. Do wątku uwili cewki na kołku do szpulowania, włożyli w cewkę spionek i oba w czołek, który wprowadzał wałek w podstawę, kiedy tkacz lub tkaczka deptali podnóże 2, 3, lub 4 lub 6, 8, w ile cepów tkanina być miała. Do pstrocin, gdzie zachodzą różne kolory trzeba było i więcej czołnków przyrządzić.

Płótno tce się jednym czołkiem we dwa cepy. Płótno utkane przyszło na bielnik, tedy w ług z popiołu parę razy i znowu parzone i bielone, nareszcie



wałkowane, żeby się świeciło. Jeżeli postawa kręto przędziona jest, płótno trzyma lepiej, ale jest twarde, jeżeli wolno, płótno jest miększe, równiejsze, bo się lepiej zbije.

Długa to toń, niż się przyjdzie do bielizny — „złodziej nie odpowie za kradzież koszuli“ — mawiają na Warmji.

Tak uprawiano tu len jeszcze przed pół wiekiem w gospodarstwach i w rasztubach. W ostatnim jednak czasie zaniechano tych trudnych robót bo można było bez wysiłku taniej kupić fabryczne wyroby, dopiero w wojnie światowej powrócono do dawnej praktyki.

### Separacja 1840—60.

Baniaste hełmy na romańskich wieżach kościelnych w Sząbruku i w Bartęgu, jako i krzyże gotyckie na innych kościołach katolickiej Warmji patrzą dziś w okna niezliczonych separantów na polach wiosek, gdzie dawniej nikt nie mieszkał, a nasi starzy ludzie za młodu wspólnie swe trzody paśli w rykach, sztukach, na przeczach i działach, które separacja zdmuchnęła, dając każdemu udzielne, własne pole, gdzie wybudował mieszkanie dla siebie i gumna dla zwierząt. Przejście to z wspólnej gospodarki do pojedynczej, własnej, działo się na polskiej Warmji w latach 1830—1860 — w separacji.

Wsie przed separacją więcej zaludnione były jak dziś, kiedy połowa gminy na polach mieszka. Przy każdym gospodarstwie był sad owocowy, o czym świadczą kilkaset letnie grusze i inne stare drzewa ogrodowe w każdej wsi. Ztąd mieli ludzie owoc suszony na post. Pola były w kawałach, nieraz bardzo daleko ode wsi, w 3 lub 4 stronach, które każde, żeby je znaleźć, miały swoją nazwę, które po separacji po większej części poszły w zapomnienie.

Separacja sprawiła tej mozolnej gospodarce zasłużony koniec, każdy na swoim miał więcej wolności i dochodów, a mniej bałamuty i zależności, za to dawny stan patrijarchalny coraz więcej nikał.



Podajemy opis takiej przełomowej chwili z separacji w Sząbruku r. 1840:

Każdy pod swoim gruntem musiał mieć porządną plot. Nadto po obu stronach wsi, tj. na dworznicach były tak zwane grodze, tak na 4—5 gon w pole. W tych grodzach każdy na swej sztuce siał i sadił, co tam chciał. Poza temi grodzami były ugory i tam pasły się w s p ó l n i e t r z o d y wiejskie wszelkiego rodzaju. Gmina posiadała wspólnych pasterzy, dawała im utrzymanie i osobne chałupy na mieszkanie. I tak: była k o n i a r n i a, w o l a r n i a i p a s t o r n i a. Gęsi pasły każda swoje w gromadkach i to swoje dzieci lub też urządzone służebne; na ugorze o w c e i t r z o dę chlewną pasł pasterz wiejski na obszarach pól za grodzami. K r o w y, jałochy itp. pasał pasterz osobny i na południe przyganiał do wsi do dojenia. Woły robocze i porosłe nieuki (wolczaki) pasał wolarz aż w tyłach — opodal wsi, aż w lasach; a wolarz wypędzał zwykle woły ledwo się rozwidniało. Konie pasał koniarz, a wypędzał je zwykle w pole na noc, gdyż we dnie potrzebowano koni do roboty. Koniarzowi do pomocy na noc przydawano zwykle najmniej dwóch gburskich parobków, a to się nazywało: iść za „cachą“. Koniarz trąbił na rogu na czas wypędzenia koni, które gromadziły się we wsi pod Barłowym klonem.

Wolarz trąbił na kręconej trąbce własnej roboty z drzewa; a trąbił o świcie. Parobcy musieli wstać rano, aby woły na czas wypędzić.

Pasterz krowiarz trąbił na długiej, z drzewa wystruganej trąbie i to tak przeraźliwie, że każda dziewczka słyszeć musiała. Więc też dziewczka, czy tam gospodyni musiała bardzo rychło wstawać, aby krowy wydoić i do pasterza (krowiarza) zagnać; lecz gdy która zaspiała musiała potem swe krowy sama pędzić aż daleko w pole. Gdy się z wiosny krowy na mleku poprawiły, krowiarz przyganiał je i na południe do domu do dojenia. Po południu swoim porządkiem znowu trąbił i pędził trzodę w pole. Podobnie też było z pasterzem owiec i świń.



Separacya gruntów rozpoczęła się w Sząbruku około roku 1830-go, a skończyła się aż w 10 lat później. Gdy pomiar gruntów na odpowiednie kawały (plany) przyszedł do skutku i do zgody, i rozpoczęto rozorywać granice stare, a tworzyć granice nowe, i każdy począł wychodzić i wyjeżdżać na osobny sobie odmierzony dział (plan) — wtedy powstał między ludem płacz i lament za rozłączenie się na pojedynek. A gdy poczęto żywninę, tj. konie, bydło, owce itp. wypędzać osobno, każdy na swoje pole — to powstało pomiędzy zwierzętami domowymi zamieszanie: ogromny ryk, rżenie, bek, kwik: bo zwierzęta ciągnęły każde do owej gromady, a rozłączyć się nie chciały. I na polu bydło jednego sąsiada uciekało do gromady drugiego. Aż po długim i długim uganianiu się zdołano zaprowadzić ten rozdział i nowy porządek rzeczy.

#### Ablucya tacy i kolędy.

Pod ablucyą (Ablösung) rozumie się zamienienie naturalistów jak zboża, wosku, chleba, lnu, drzewa, torfu, które corocznie oddawano kościołowi lub sługom jego — na pieniądze, które naprzód wypłacił bank rentowy kościołowi i włożył w formie podatków na dłużników przez lat przeszło dwadzieścia. Jak separacya, tak ablucya jest dla gospodarstw dobrodziejstwem nowoczesnem. Bałamutna zwózka naturalistów, odbieranie, krytykowanie tychże sprowadzało nieraz niepotrzebne gniewy, skargi z kościołem, z duszpasterzem, organistą, co teraz ustaje, jak za dwadzieścia kilka lat wszelka dalsza opłatnia ustanie. Razem z ablucyą tacy i kolendy abluowano i różne renty, resztki pańszczyzny i inne nieprzyjemne obowiązki. Gospodarze opierali się z razu ablucyi, jak każdej nowince, lecz teraz są kontenci, zwłaszcza że widzą, tak tania w ten czas korzec żyta, owsa itd. obliczono. Ablucje odbywały się na polskiej Warmji głównie w latach 1873—1899 i przyczyniły się nie mało do podniesienia wartości gospodarstw i majątków. Majątki małą, tylko tace miały, gospodarze od włóki zwykle tacowy korzec żyta i korzec owsa i kolędę.



Tacowy korzec był w Brunsberku najmniejszy, im dalej od B. gdzie z początku biskup mieszkał, tem większy, największy w parafii klewkowskiej, klebarskiej i purdzkiej.

### 7. Skąd pochodzą Warmjacy?

Co do pochodzenia naszego a-dialektu ze Śląska to znana jest rzeczą, że kilku biskupów warmijskich pochodzi ze Śląska i że właśnie około roku 1300 sprowadzono do Warmji kolonistów niemieckich i polskich ze Śląska — może od Nysy, Prudnika itd.

Nasze a- i e-dialekty znajdziesz i dziś jeszcze na G. Śląsku. Po lewej stronie Odry mówią bańdzie, Jandra (Andrzej, u nas Jandrys), mniajso, rangka, gamba, jak n. p. w Opolskiem, Wielkostrzeleckiem, w Frydlandzie, w prudnickim i raciborskim powiecie. Z prawej strony Odry, jak w tarnogórskim i przemysłowych powiatach mówią e-dialektem, w pszczyńskim, rybnickim także, ale tu nadto sycą (syczą) tj. scypią (szczypią) jak nasi Mazurzy. Syczą także w kluczborskiem i oleśnickim powiecie; w Lublińcu mówią e-dialektem i nie „sycą“. W Opolskiem zaś i Wielkostrzeleckiem z prawej strony Odry mówią a-dialektem i nie „sycą“.

Mięczenie si i zi (psiwo, zino) zamiast ji nie zachodzi na Śląsku, jest to więc naleciałością z starodawnej pruskiej lub niemieckiej mowy. Kilka wyrazów ślązkich przypomina nasze stosunki warmijskie: starzyk, u nas grózek, dziadek; starka, u nas grózka, babka; księżoszek, u nas książulek; klebań, jak i u nas, co znaczy pleban (proboszcz, z łacińskiego plebanus, praepositus), falarz (dziekan) ze śląskiego farrarz, fararzyk.

Wielce ciekawe byłoby tu zestawienie górnośląskich dialektów w porównaniu do warmijskich i do naszego mazurskiego dialektu.

Nie dziw tedy, że polscy Górnoślązacy poznają domową mowę swoją w naszych „Kiermasach“, jak się o tem sami wyrażają. Nasza mowa ludowa w a- i e-dialekcie robi na nich wrażenie swojskie i czu-



ją się u siebie pomiędzy ludem naszym. Tylko bronią się mówić gwarą domową, którą Niemcy, tępiący wszystko co polskie nazywają szyderczo „Wasser-polnisch“, podobnie jak u nas.

Mowa jest pewnym oznakiem pochodzenia człowieka z pewnej okolicy, stąd moje twierdzenie, że pierwsza nasza polska kolonizacja około roku 1300 w okolicy Olsztyna pochodzi ze Śląska mianowicie z okolic lewej strony Odry, gdzie mówią także a dja-lektem, nie jest bez podstawy. Także rozpowszechnio- na na Warmji hodowla lnu, tkanie płótna i sukna swojskiego wskazuje na jakąś wspólność ludności naszej ze Ślązkiem, słynącym do dziś swem ślą-kiem płótnem.

Temu twierdzeniu sprzeciwia się zasłużony literat warmijski pan Eugenjusz Buchholz z Ornety, który pomiędzy innemi pisze:

„Żałuję, że autor „kiermasów“ zostaje przy zda- niu, że i polscy koloniści ze Śląska przybyli. Brak mi rzeczywiście jednego ogniwa do całości argumen- tów, ale to nie polscy Ślązacy, pewnie na niskim stojący poziomie i dla tego nie przydatni na koloni- stów, ale niemieccy Warmjacy, którzy przed napły- waniem Polaków przecież nie wymarli w zupełności. A ciż pozostali niem. Warmjacy przyjmując polski język, wymawiali go twardo, w zamian oddali im zwyczaje i kulturę warm.“

„Jest też faktem (podług Kętrzyńskiego)“ że zie- mia ostródzka skolonizowaną została przez szlachtę chełmińską. Wzdłuż pogranicza powiatu lubawskiego i od zachodu Ostróda zupełnie czysty język polski.“

Nie tu miejsce do dyskusji, ale w Ostródzkim nie mówią naszym a-djalektem.

Zresztą pozostawiam tę b a r d z o ciekawa sprawę naszym lingwistom i ludoznawcom; chciałem ją tylko naruszyć i podać szerszej publiczności pod dy- skusję, dodając jeszcze, że i za Wisłą np. pod Świe- ciem lud po wsiach używa a-djalektu.

Nazwy niemieckie jak Allenstein (Olsztyn), Brauns- walde, Dietrichswalde, Goetkendorf, Klaukendorf (Klew-



ki), Märtinsdorf (Marcinkowo), Lemkendorf (Lamkowo), Wartenburg, Bischofsburg (Biskupiec) wskazują nasamprzód na władzę, które je nadała, więc u nas władza niemiecka we Fromborku, która r. 1300 zakładała osady w nie niemieckiej tj. pruskiej ziemi pod Olsztynem. Nie musiała ta władza wtenczas wielu Niemców osiedlić, kiedy ci nie przeprowadzili niemieckiej kolonizacji, jak w sąsiedztwie pod Gutsztatem, lecz przeciwnie dali się zupełnie spolszczyć.

Owszem w olsztyńskim zakęcie Warmji złączyła się staropruska mowa z polską istniejącą tu na pograniczu już przy kolonizacji, czy z napływającą z różnych stron i obie pochłoneły wnet niemiecki język kilku założycieli, którzy się do silniejszego prądu przyzwyczaić musieli, zwłaszcza że z sąsiedniej Polski coraz więcej przybywało ludności, kiedy do Niemiec było daleko.

Tak powstała nasza gwara warmijska na pograniczu prusko-mazowieckiem ze swym a- i e-djalektem i trudno ją będzie zupełnie wyplenić.

### 8. Przysłowia na polskiej Warmji.

Jak każda okolica ma swoje właściwości, które uchwycił dowcip ludu, tworząc z nich przysłowia lokalne i ogólne, tak i lud warmijski nie mógł się obyć bez tego. Podajemy tu kilka:

1. „Jedzie jek ksiądz“ — mówią na gospodarza, który ma dobre konie i dobry powóz. Wiadomo pewnie jest, że na Warmji księża mają także gospodarstwa i np. do chorych jeżdżą własną furmanką.

2. „Jechać na gnadem konu nã mnodu“ — chcąc smagać dialekt miejski.

3. „Ma żyto jek na Dajtkach jarka“ tj. liche, bo na dajtkich piaskach, które niedawno fiskus dla ćwiczeń wojskowych wykupił, nic się nie rodziło.

4. Podobnie dla karciarzy: „Mieć zolo kolier z 3 matadorami (atutami), to lepsi jek w Kaletce mieć 3 włóki, a z 5 to lepsi jek w K. mieć 3 włóki i być do tego szołysem.“



5. „Leży jek rek na kiecie (łańcuchu) pod mostem kiele Szelałogowa“ — mawiają na leniwego.

6. „Ojce tu Prusy, nie syneeku tu Warmija“. Ojciec Mazur jadąc z krupami (z kaszą) do Olsztyna przebył codopiero granicę Warmji, kiedy synek spostrzegłszy jak się kasza pruszyła z podartego miecha na ziemię raz po raz wołał: ojce tu prusy! Ale ojciec, znając granicę Warmji doskonale, nie uwierzył niestety zaraz — a „niesek prusyl“. Okazuje się tu, jak dialekt mazurski do straty doprowadził.

7. „Gadają całą gambą jek Kośliny pod Gusztatam“. Polscy Warmjanie zwią wszystkich Niemców mówiących „platt“-dialektem Koślinami (Kaeslauer), choć pod Guształem mówią niemieccy Warmjacy wrocławskim (breslauer), a pod Reszlem i Brunsberkiem kiezlawskim dialektem (kaeslauer).

8. „Hola, fela, skorznie w Kielu!“

9. „Pomalušku z górki stąpacie!“ Dwa dowcipy na Warmji z pielgrzymki do Świętoliłki: Prowadnik kompanji i zarazem przepowiadacz przy śpiewie za późno spostrzegł, że na wypoczynku w Kielu (Gr. Koellen) zapomniał swych długich butów, obwieścił więc to głosem wielkim, a ludzie nie chcąc takich wierszy śpiewać, z zdziwieniem oglądali się na swego promotora. Po skorznie poleciał ktoś uwinny. I tak po tej małej przerwie kompanja zgodnie doszła na miejsce święte.

10. „Zgniły i rączy, razem skończy“.

11. „Wszyscom chorzy, jeno garkom to nągorzy“. I w chorobie jeść się chce.

12. „Pomrze ubogi szkoda za drogi (dla organisty), pomrze bogaty — kieby i jutro taki“.

13. „Kto się czemu poświęci, niech się w koło tego kręci“.

14. „Kto komu ujmie czci i sławy, ten sam tam jest kulawy“.

15. „Kto jest taki, daje drugiemu znaki“.

16. „Błądzisz — póki dążysz“.

17. „W społecznej rzeczy zawdy złe skrzedzy“.

18. „Kręci się jak kurek na kościele“.



19. „Bez pracy ni ma kołaczy“.
20. „Lepsi (lepiej) ze swojemi płakać, niż z cudzemi skakać“.
21. „Pies a szurek — szczeka i ucieka a swoje porze (robi). Pies szczeka a pan jedzie“.
22. „Przykład lepszy niż nauka. Czyń co możesz, to mi sztuka. Słowa pouczają, przykłady porywają“.
23. Sw. Pawła pustelnika (15 stycznia) mawiają „pu (pół) zimy — pu chleba, z sąsieków, z szopy połowa precz“.
24. „Robota nie zając, to nie ucieknie, co nie zrobisz dziś zrobisz jutro. cf. Sal. Prov. XX, 14. Dla zimna leniwiec orać nie chciał: pójdzie w lato po żebraniu, a nie dadzą mu“.
25. „Bądź pracowitym jak pszczołka a wszędzie wkoło ciebie pełno miodu będzie“.
26. „Będzie lichym panem kto roli nie orze przed św. Janem“ (24. czerwca).
27. „Idź do brata co trzy lata. A do siostry co rok szósty. Po trzech dniach śmierdzi ryba i gość“.
28. „Od wódki rozum krótki“.
29. „Gdzie dwóch szaleje, trzeci się śmieje“.
30. „Ona ma rozum jakby trzy złożyła na nic się nie podało. — Długie włosy a krótki rozum“.
31. „Nie uzierzy (uwierzy) zdrowy choremu a syty głodnemu“.
32. „Michałkowe siano a Marcinkowe zboże pożal się Boże!“ (kiedy sieką na św. Michał a sieją na św. Marcin).
33. „Kto w Kościół wrzuci, duszy nie zasmuci“.
34. „Kto służy Maryji, nie pyta się o ziliji“ (ale chętnie pości).
35. „Názianszzy (największy) rozum — do ciasu milczyć, do ciasu gadać“.
36. „W tem mało wątku“ albo „Postawy dosyć, wątku mało“.
37. „Z małego talerzyka, a zierkiem, to nak lepsi podje, niż z duży mnisy, a z próżny“,
38. „Siej doły, siej gory, bo nie zies, jaki oto rok który“ (mazurskie).



39. „Gdzie buł, to buł — ale doma to nâlepsi“.

40. „Každy domek ma swój ułomek“.

41. „Idzie mu jek z płatka. Sypie jek z rękawa“.

42. „Wełna doleży się błota — len złota“ tj. kiedy wełna długo leży dostaje mole, len starszy — lepszy.

43. „W biedzie tusty opada, chudy przepada; — nim tusty opadnie, chudy przepadnie“.

44. „Nie ma ni woza, ni prowoza“ (powroza).

Przysłowia na różne czasy:

45. Św. Lucy (13. XII.) dnia przyrzuci.

46. Do Gód — tysiąc pogód.

47. Na św. Szczepan każdy jest pan.

48. Na Nowy Rok pogoda — w polu uroda.

48. W dzień św. Trzech Króli człek w kozuch się tuli. Na Trzy Króle dzień na kurzej stopce dłuższy.

50. Kiedy w Gromnicę słońko świeci, choć jeno tak długo, jek chłop na konia siada, to len sia obrodzi, a kiedy chmurno, to nie (bo nastąpi upał i wypali go).

51. Kiedy w św. Walenty (14. II.) deszcze, będzie ostry mróz jeszcze.

52. Św. Maciej (24. II.) zimę traci, albo ją zbożaci. Św. Macieja niosą gęsi pierwsze jeja.

53. Św. Kazimierza (4. III.) dzień z nocą przymierz.

54. Św. Grzegorza (12. III.) wszystka zima do morza.

55. Na św. Józef (19. III.) wiezie się trawy wózek; ale czasem zasmuci, bo śniegiem przyrzuci.

56. Kiedy św. Józef zamknie powietrze, Najśw. Panna roztworzy (N. P. roztwornej 25. III).

57. Na Matkę Bożą (25. III.) gnoje wożą.

58. Św. Wojciecha (23. IV.) wołowa pociecha. Kiedy św. Wojciecha wrony z żyta nie widać, można ze stodoły resztę pastwy wydać.

59. Św. Marka ostatek grochu do garka.

60. Kto sieje groch w marcu, będzie go warzył w garcu, kto go sieje w Marku, ten go warzy w garku, a kto w maju, ten warzy w jajku.



61. Kiedy Silipa Jekuba (1. V.) deszcz pada, suchy rok będzie. Kiedy nie pada — to mokry rok będzie.

62. Suchy Apryl, mokry maj, będzie żytko jako gaj.

63. Pada deszcz św. Florjana (4. V.) skrzynia złotem napchana.

64. Żytko z niebem gada (takie wysokie).

65. Brat brata nie widzi — brat brata szuka (kiedy liche zboże).

66. Maj — bydłu daj, za piec uciekaj.

67. Pada deszcz św. Jekuba (25. VII.) na pszeniczkę pewna zguba.

68. Kiedy św. Jadwigi (17. X.) deszcz pada, to kapusta nie słodka (ale kwaśna, tj. dobra) będzie.

69. Jeszcze jedna nocka — wielkanocka, mięsko ham, ham (kto sobie życzy końca wielkiego postu).

70. Św. Ducha wyleź chłopie z kożucha, po św. Duchu znowu w kożuchu (gdyż kożuch zawdy się przyda).

71. Św. Bartłomiej (24. VIII.) kartofle podsypuje (dojrzałe do jedzenia).

#### M o r a l n e :

72. Cóż mi z roli, kiedy nie orana; cóż mi z żony, kiedy nie kochana (kiedy zła).

73. Nie ten bogaty, co ma skarbów krocie ale ten, co życie opiera na cnocie.

74. Czapką, papką, chlebem i wodą ludzie ludzi sobie uwiodą.

75. Kupsiulbyś zieś, ale psieniądze gdzieś.

76. Kto zinien, łoddać pozinien.

77. Spsiewać darmo boli gardło.

78. Czego sia za młodu skorupka napsije, to sia z ni potam nigdy nie wymyje.

79. Jaka mać, taka nać; jeki klin, taki syn.

80. Kto się ze złym wdaje, sam się takim staje.

81. Lepszy jeden przewodnik głupsi, niż 10 mądrych (bo się wadzą).

82. Ubogiemu zawdy zietrz w łoczy zieje.

83. Ubogiemu chleba, to mu noża nie trzeba.



84. Kiedy przydziesz między wrony, musisz kra-  
kać jak i one.

85. Cały tydzień chorować, a w niedzielę tańco-  
wać. Cały tydzień chorować, a w niedzielę nie po-  
chować.

86. Kogo nie proszą tego kijem wynoszą.

87. Tu na świecie, dziwnie się plecie.

88. Gorszy nałuk (nałóg) niż przyrodzenie.

89. Starszy — to trwalszy.

90. Mni ziewa (mniej wiemy) mni łodpoziewa.

91. Siedzi jek na mniamnieckim kázaniu (jeżeli  
kto jakiej mowy nie rozumie).

92. Trzymaj się swego, a nie żądaj cudzego.

93. Co głowa to rozum.

94. Co się pytają, nie redzi dają.

95. Rób co każą, jedz co warzą.

96. „Pan Gąsiorowski się przeniósł z Garnkowa do Torbowa“. Dowcip ten, głośny na Warmji, powstał z następującego zdarzenia: Dziad jakich wielu chodził po żebraniu, zbierał szperki (słoninę) i mąkę. Było to podczas żniw; gospodyni sama w domu gotowała na obiad gęsie mięso. Kiedy dla dziada poszła „na górę“ po mąkę, dziad wyjął mięso z garnka do torby. Gospodyni wracając z mąką pyta się: „Dziadku, co też tam nowego słyszeć?“ „Nic tak, pani, je-no Gąsiorowski z Garnkowa przeniósł się do Torbowa“ i poszedł. Za chwilę zajrzała gospodyni, czy gęsie mięso się już „uwarzyło“ i zrozumiała dopiero sens nowiny dziadowskiej — ale dziad już był w mili...

K O N I E C.



54953



## Spis rzeczy.

---

	str.
Wstęp . . . . .	3
I. Opis Warmji . . . . .	5
II. Historia Warmji . . . . .	10
III. Dialekt warmijski . . . . .	15
IV. Ludność warmijska . . . . .	17
V. Kiermas warmijski . . . . .	21
VI. Przygotowanie na kiermas . . . . .	23
VII. Odpust w Bartegu . . . . .	26
VIII. Kiermas . . . . .	34
1. Powrót z kościoła . . . . .	34
2. Izba warmijska . . . . .	37
3. Obiad na kiermasie . . . . .	38
4. Po obiedzie w ogrodzie . . . . .	54
5. Gry dzieci . . . . .	55
6. Nieszpory . . . . .	55
7. Karciarze . . . . .	59
8. Ciotki . . . . .	62
9. Wuje w polu . . . . .	83
10. Wieczera i rozjazd . . . . .	101
1. Dodatek gramatyczny . . . . .	107
2. Wojna w Bredynku . . . . .	113
3. Religijność i walka kulturalna na Warmji . . . . .	116
4. Objawienia gietrzwałdzkie . . . . .	119
5. Bractwo Opatrzności Boskiej w Bartegu . . . . .	123
6. Uprawa lnu, separacja, ablucja na Warmji . . . . .	126
7. Skąd pochodzą Warmjacy . . . . .	132
8. Przysłowia na polskiej Warmji . . . . .	134

---